

**LUCY MAUD MONTGOMERY**

**POŻEGNANIE Z AVONLEA**

Tytuł oryginału Further Chronicles of Avonlea

Przełożyła Ewa Fiszer

## PERSKA KOTKA CIOTKI CYNTHII

Ilekróć ktoś wspomni o kotce, Maks rozplywa się nad tym zwierzakiem i nie mogę zaprzeczyć, że w końcu wszystko obróciło się na dobre. Ale kiedy pomyślę, co obie z Iza wycierpiałymy przez tę podłą kocicę, nie czuję do niej życzliwości.

Nigdy nie przepadałam za kotami, choć je doceniam i nic nie mam przeciwko staremu poczciwemu kotu, który zna swoje miejsce i z którego jest jakiś pożytek. Za to Iza kotów nienawidzi i zawsze ich nienawidziła.

Ciotka Cyntia, która w przeciwieństwie do nas koty uwielbia, nigdy nie potrafiła zrozumieć, że ktoś może ich nie lubić. Była głęboko przekonana, że obie z Izą w gruncie rzeczy koty kochamy i tylko z wrodzonej perwersyjnej przekory nie chcemy się do tego przyznać.

Spośród wszystkich kotów największą niechęć wzbudzała we mnie biała perska kotka ciotki Cyntii. Zresztą później okazało się, że - jak to od dawna podejrzewałyśmy - ciotka nie tyle ją kochała, ile była z niej bardzo dumna. Na pewno dużo więcej przyjemności dostarczyłoby ciotce towarzystwo zwykłego podwórzowego kocura niż tej rozpieszczonej pięknotki. Ale posiadanie perskiej kotki z rodowodem, i to wartej co najmniej sto dolarów, tak łechtało dumę ciotki Cyntii, iż wmówiła sobie, że kocha ją niczym żrenicę własnego oka.

Ciotce Cyntii przywiózł z Persji małe kocię jej siostrzeniec misjonarz i przez następne trzy lata cały dom ciotki tańczył wokół tego zwierzaka. Kotka była śnieżnobiała, na koniuszku jej ogona widniała niebieska plamka, miała błękitne oczy, była głucha i wątpa. Ciotka Cyntia wciąż się zamartwiała, że kotka gotowa jest zaziębić się i zdechnąć. Iza i ja marzyłyśmy o tym, miałyśmy naprawdę dość wysłuchiwania opowieści o wyczynach i kaprysach owego kota. Ale oczywiście nie powiedziałyśmy tego ciotce Cyntii. Pewnie by się do nas więcej nie odezwała, a niemądrze byłoby ją sobie zrazić. Kiedy ma się niezamężną ciotkę z pokaznym rachunkiem w banku, należy być z nią w jak najlepszych stosunkach. Zresztą bardzo ją w gruncie rzeczy lubiłyśmy - tyle że nie zawsze. Ciotka Cyntia należała do tych męczących osób, które wciąż wiercą ci dziurę w brzuchu, a kiedy zaczniesz ich nienawidzić, nagle okazują ci taką dobroć i uczynność, że musisz je znów kochać.

Zatem potulnie wysłuchiwałyśmy opowieści ciotki o Fatimie - kotka nazywała się Fatima - a później zostałyśmy srogo ukarane za to, że tak podle życzyłyśmy jej śmierci.

W listopadzie ciotka Cyntia „przyplęnęła” do Spencervale. To znaczy przyjechała koczem, do którego zaprzężony był tłusty siwy kucyk, ale widząc nadjeżdżającą ciotkę Cyntię, zawsze myślało się o nadpływającym okręcie.

Był to feralny dzień. Od rana nękały nas niepowodzenia. Iza popryskana tłuszczem aksamitny żakiecik, bluzka, którą szłam, leżała na mnie krzywo, piec kuchenny dymił, a chleb skwaśniał. Co gorsze. Hilda Keyson, nasza zaufana rodzinna niańka i kucharka, która rządziła nami żelazną ręką, dostała „podagry” w ramieniu. Hilda Keyson była zwykle najmilszą starszą panią, ale kiedy dostawała podagry, reszta domowników marzyła, żeby uciec z domu, a ponieważ było to niemożliwe, czuliśmy się jak święty Wawrzyniec na stosie.

I wreszcie ta wizyta ciotki Cyntii i jej prośba.

- No, no - mruknęła ciotka Cyntia pociągając nosem. - Czuję dym. Widać, że nie umiecie się obchodzić z piecem. Mój nigdy nie dymi. Ale czegoż można oczekiwać po dwóch dziewczynach, które bez męskiej pomocy próbują prowadzić dom.

- Świetnie sobie bez tej męskiej pomocy radzimy, droga ciociu - oświadczyłam wyniośle. Maks się akurat od czterech dni nie pokazał i choć nikt specjalnie nie miał ochoty go widzieć, zastanawiałam się, co się z nim stało. - Mężczyźni potrafią tylko plątać się pod nogami.

- No, nie udawaj, że tak myślisz - oświadczyła ironicznie ciotka Cyntia. - Żadna kobieta tak nie uważa. Jestem pewna, że ta ładna Ania Shirley, która przyjechała z wizytą do Eli Kimball, wcale tak nie sądzi. Widziałam ją dziś po południu z doktorem Irvingiem i mieli bardzo zadowolone miny. Jeśli ty, Zuziu, będziesz dalej grymasić, Maks prześlizgnie ci się między palcami.

Nie była to nazbyt taktowna wypowiedź, wiadomo było, że tyle już razy odpowiadałam odmownie na oświadczyzny Maksa, iż zupełnie straciłam rachubę. Poczułam wściekłość, zatem uśmiechnęłam się słodko do mojej potrafiącej doprowadzić do szału ciotki.

- Ciociu, niech mnie ciocia nie rozśmiesza - powiedziałam grzecznie. - Ciocia mówi tak, jakbym miała wobec Maksa jakieś zamiary.

- Bo masz - odparła ciotka Cyntia.

- Czemu zatem nie przyjmuję jego oświadczyń? - spytałam z uśmiechem. Ciotka Cyntia świetnie o tym fakcie wiedziała. Maks za każdym razem jej się zwierzał.

- Tego nikt nie wie - mruknęła ciotka. - Ale on gotów cię wziąć za słowo. Ta Ania Shirley jest fascynującą panną.

- Ależ tak - zgodziłam się. - Ma najładniejsze oczy, jakie widziałam w życiu. Byłaby dla Maksa bardzo odpowiednią żoną, mam nadzieję, że uda mu się ją zdobyć.

- Hm - prychnęła ciotka Cyntia. - Cóż, nie będę cię prowokować do dalszych kłamstw. Nie przyjechałam tu w taki wiatr po to, żeby wbić ci do głowy trochę zdrowego rozsądku. Jadę na dwa miesiące do Halifaxu i chcę oddać wam pod opiekę moją Fatimę.

- Fatimę! - zawołałyśmy.

- Tak. Boję się zostawić ją ze służbą. Pamiętajcie, że trzeba jej podgrzewać mleko i pilnować, żeby nie wyszła z domu.

Spojrzałam na Izę. Iza spojrzała na mnie. Wiedziałyśmy, że nie ma wyjścia. Gdybyśmy odmówiły, ciotka Cyntia śmiertelnie by się na nas obraziła. Co więcej, gdybym próbowała wyrazić sprzeciw, ciotka Cyntia byłaby pewna, że robię to tylko dlatego, że uraziły mnie jej uwagi na temat Maksa, i dręczyłaby mnie przez długie lata. Niemniej zebrałam się na odwagę i spytałam:

- Ale jeśli w czasie cioci nieobecności coś się jej stanie?

- Właśnie po to, by nic jej się nie stało, chcę powierzyć ją waszej opiece - oświadczyła ciotka Cyntia. - Musicie o to zadbać. Przyda wam się odrobina odpowiedzialności. I nareszcie przekonacie się, jakie to czarujące stworzenie. No, załatwione. Jutro ją wam Przyślę.

- Sama się będziesz musiała zająć tą wstrętną Fatimą - oznajmiła Iza, gdy tylko zamknęły się za ciotką drzwi. - Ja się jej nie dotknę. Jakim prawem zgodziłaś się ją wziąć?

- Ja się zgodziłam? - zapytałam ze złością. - To ciotka Cyntia uznała naszą zgodę za coś zupełnie oczywistego. Wiesz równie dobrze jak ja, że nie mogłyśmy odmówić. Więc nie zrzędź!

- Jeśli coś jej się stanie, ciotka Cyntia nam tego nigdy nie wybaczy - zauważyła ponuro Iza.

- Czy Ania Shirley jest rzeczywiście zaręczona z Gilbertem Blythe? - zapytałam z ciekawością.

- Tak słyszałam - odparła z roztargnieniem Iza. - Powiedz, czy ona jada coś oprócz mleka? Czy można jej dać mysz?

- Chyba tak. Jak sądzisz, czy Maks naprawdę się w niej zakochał?

- Niewykluczone. Nareszcie się od ciebie odczepi.

- No właśnie - oświadczyłam chłodno. - Życzę powodzenia Ani Shirley albo jakiejś innej Ani, która będzie miała na mego ochotę. Ja nie mam. Izo Meade, jeżeli ten piec nie przestanie dymić, pęknę ze złości. Co za potworny dzień. Ach, jak ja jej nie cierpię!

- Nie powinnaś tak mówić, przecież jej wcale nie znasz - zaprotestowała Iza. - Wszyscy uważają, że Ania Shirley jest bardzo miła i...

- Mówię o Fatimie! - wrzasnęłam.

- Aha.

Iza czasem bywa niemądra. To jej aha zabrzmiało bardzo niemądrze.

Fatima pojawiła się następnego dnia. Maks przyniósł ją w zamkniętym koszyku wysłanym jedwabną poduszką. Maks lubi koty i bardzo lubi ciotkę Cyntię. Wyłożył nam, jak się mamy z Fatimą obchodzić, a kiedy Iza wyszła z pokoju - Iza zawsze wychodzi, gdy wie, że mi zależy na jej obecności - znów się oświadczył. Oczywiście, tak jak zwykle odpowiedziałam „nie”, ale bardzo się ucieszyłam. Maks od dwóch lat oświadcza mi się co dwa miesiące. Tym razem od ostatnich oświadczyń upłynęły trzy i zastanawiałam się nad powodami. A więc jednak nie interesuje się Anią Shirley, poczułam ulgę. Nie miałam zamiaru wychodzić za Maksa, ale lubiłam jego towarzystwo i bardzo by mi go brakowało, gdyby go złapała jakaś inna dziewczyna. Miałyśmy z niego masę pożytku, przybijał na dachu gonty, woził nas do miasta, rozkładał dywany - krótko mówiąc w każdej potrzebie służył nam swoją pomocą.

Wobec tego miło się uśmiechałam mówiąc sakramentalne nie. Maks zaczął coś liczyć na palcach. Kiedy doszedł do ośmiu, pokiwał głową i zaczął liczyć od początku.

- O co chodzi? - spytałam.

- Próbuję policzyć, ile razy ci się oświadczyłem. Ale nie mogę sobie przypomnieć, czy oświadczyłem się tego dnia, kiedy kopaliśmy w ogródku. Jeśli oświadczyłem się, to razem będzie...

- Nie, wtedy się nie oświadczyłeś - przerwałam.

- No to dziś jest jedenasty raz - oznajmił z namysłem Maks. - Zbliżyliśmy się do górnej granicy. Moja męska duma nie pozwoli mi oświadczyć się tej samej dziewczynie więcej niż tuzin razy. Zatem pamiętaj, kochanie, że następnym razem będzie to raz ostatni.

- Hm - szepnęłam i nawet zapomniałam obrazić się na to „kochanie”. Pomyślałam sobie, że kiedy Maks przestanie mi się oświadczać, czeka mnie bardzo nudne życie. Była to moja jedyna rozrywka. Ale - rzecz jasna - tak będzie najlepiej, nie może się to wlec w nieskończoność. Więc, żeby zrećcznie zmienić temat, zapytałam go o pannę Shirley.

- Urocza dziewczyna - oświadczył Maks. - Wiesz, że zawsze podobały mi się szarookie dziewczęta z tycjanowskimi włosami.

Ja jestem brunetką i mam piwne oczy. Poczułam do Maksa nienawiść. Wstałam i poszłam po mleko dla Fatimy.

W kuchni zastałam wściekłą Izę. Poszła po coś na strych i po nodze przebiegła jej mysz. Myszy zawsze źle działały na Izę.

- Niewątpliwie przydałby się nam kot - wybuchła. - Kot, nie ta rozpuszczona Fatima! Na strychu roi się od myszy. Więcej mnie tam nikt nie zobaczy.

Z Fatimą miałyśmy mniej kłopotu, niż oczekiwałyśmy. Hilda polubiła ją, a Iza wbrew swoim deklaracjom starannie dbała o jej potrzeby. Czasem nawet wstawiała w nocy i sprawdzała, czy Fatimie nie jest zimno. Co dzień przychodził Maks i udzielał nam dobrych rad.

Ale oto pewnego dnia, w trzy tygodnie po wyjeździe ciotki Cyntii. Fatima znikła dosłownie rozplynęła się w powietrzu. Poszłyśmy z wizytą i zostawiłyśmy ją zwiniętą w kłębek przy piecu, gdzie spała sobie pod czujnym okiem Hildy. Kiedy wróciłyśmy, po Fatimie nie było śladu.

Hilda płakała i zachowywała się tak, jakby bogowie pokarali ją utratą zmysłów. Przysięgała, że przez cały czas nie spuszczała Fatimy z oczu, z wyjątkiem trzech minut, kiedy pobiegła na stryszek po cząber. Kiedy wróciła, drzwi były otwarte, a Fatima znikła.

Obie z Izą szalałyśmy. Biegałyśmy po ogrodzie, przeszukałyśmy wszystkie szopy i lasek za domem, nawoływałyśmy. Wszystko na próżno. Iza usiadła na frontowych schodkach i rozplakała się.

- Zabłądziła gdzieś, przeiębi się i umrze, a ciotka Cyntia nigdy nam tego nie wybaczy.

- Idę do Maksa - oświadczyłam. I pobiegłam przez świerkowy lasek i pola ile sił w nogach, dziękując niebiosom, że istnieje Maks, do którego mogę się udać z prośbą o pomoc.

Przyszedł Maks, jeszcze raz przeszukaliśmy całe obejście - ale na próżno. Mijały dni, a nam nie udawało się odnaleźć Fatimy. Gdyby nie Maks, na pewno postradałabym zmysły. W ciągu tego okropnego tygodnia jego obecność była na wagę złota. Nie ośmieliłyśmy się dać ogłoszenia, bo mogłaby je zobaczyć ciotka Cyntia, ale wszędzie wypytywałyśmy o białego perskiego kota z błękitną plamką na ogonie i ofiarowałyśmy dużą nagrodę. Nikt jednak takiego kota nie widział, choć dniem i nocą pojawiali się ludzie z kotem w koszyku pytając, czy nie jest to przypadkiem ten kot.

- Nigdy już nie zobaczymy Fatimy! - oświadczyłam któregoś popołudnia zrozpaczonym tonem. Właśnie odprawiłam jakąś starą kobietę, która przyniosła wielkiego żółtego kota i upierała się, że musi to być nasz kot... Przyszedł do nas i strasznie miauczał, a nikt na drodze do Grafton nigdy go przedtem nie widział..."

- I ja tak myślę - odparł Maks. - Musiała już dawno zdechnąć z zimna.

- Ciocia Cyntia nigdy nam nie wybaczy - powtarzała ponurym tonem Iza. - Od chwili kiedy ta kotka pojawiła się w naszym domu czułam, że to się źle skończy.

Nigdy co prawda o tym nie wspominała, ale Iza często miewała przeczucia, o których mówiła dopiero później. - Co zrobimy? - spytałam. - Maksie, wymyśl coś.

- Dajcie ogłoszenie w gazetach Charlottetown, że chcecie kupić białą perską kotkę - zaproponował Maks. - Może ktoś zechce taką kotkę sprzedać. No to ją kupicie i oddacie waszej kochanej ciotce jako Fatimę. Ciotka jest mocno krótkowzroczna, więc nie powinna się zorientować.

- Ale Fatima ma na ogonie błękitną plamkę - zauważyłam.

- No to musicie dać ogłoszenie, że szukacie kotki z błękitną plamką na ogonie.

- Będziemy musiały wydać całe nasze oszczędności. A tak nam potrzeba nowych futer - zauważyłam smutnie. - Ale nie ma innego wyjścia. Jeszcze drożej kosztowałby nas gniew ciotki Cyntii. Ona gotowa pomyśleć, że umyślnie wypuściłyśmy Fatimę.

No i dałyśmy ogłoszenie. Maks pojechał do miasta i zaniósł je do najbardziej poczytnej gazety. Prosiłyśmy, żeby właściciel białej perskiej kotki, którą zechciałby odstąpić, napisał do Gońca na nazwisko pana M. J.

Nie miałyśmy wielkiej nadziei, bardzo więc zdziwiłyśmy się i ucieszyły, kiedy w cztery dni później Maks przywiózł z miasta list. List był napisany na maszynie, wysłany z Halifaxu i oznajmiał, że jego nadawca gotów jest odstąpić białą perską kotkę z błękitną plamką na ogonie. Cena wynosi sto dziesięć dolarów, pan M. J. może się zgłosić i obejrzeć kotkę w Halifaxie, na ulicy Hollis pod numerem 10.

- Nie ciescie się zbyt - zauważyła ponuro Iza. - Kotka może być zupełnie inna. Ta błękitna plamka może być za duża albo za mała, albo w zupełnie innym miejscu. Nie wierzę, żeby ta rozpaczliwa historia mogła się dobrze skończyć.

W tym momencie zastukano do drzwi, więc wyszłam. Chłopak z poczty przyniósł telegram. Otworzyłam go, spojrzałam i wróciłam pędem do pokoju.

- Co się stało? - zawołała Iza widząc mój wyraz twarzy.

Podaliśmy jej telegram. Wysłała go ciotka Cyntia. Prosiła, żebyśmy natychmiast przysłały Fatimę do Halifaxu.

Po raz pierwszy Maks nie pospieszył z dobrą radą. To ja musiałam zabrać głos.

- Maksie - poprosiłam. - Pomożesz nam? Ani ja, ani Iza nie możemy teraz jechać do Halifaxu. Pojeźdź jutro rano. Idź na ulicę Hollis i spytaj o tę perską kotkę. Jeśli przypomina Fatimę, kup ją i zanieś ciotce Cyntii. Jeżeli nic przypomina... nie, to niemożliwe! Pojedziesz?

- To zależy - odparł Maks.

Spojrzałam na niego z niedowierzaniem, takie to było do niego niepodobne.

- Chcesz mnie wysiać z bardzo niebezpieczną misją - oświadczył chłodnym tonem. A jeśli ciotka Cyntia mimo swej krótkowzroczności zorientuje się? Ładnie będę wtedy wyglądał.

- Och, Maksie - szepnęłam bliska łez.

- Inaczej by to wyglądało zauważył Maks wpatrując się i namysłem w ogień na kominku - gdybym był członkiem waszej rodziny. Ale tak...

Iza wstała i wyszła.

- Maksie, proszę cię - szepnęłam.

- Zuziu, czy wyjdiesz za mnie? - spytał surowo Maks. - Jeśli zgodzisz się za mnie wyjść, pojedę do Halifaxu i stawię czoło lwu w jego jaskini. W najgorszym razie zawiozę ciotce Cyntii czarnego ulicznego kota i przysięgnę, że to Fatima. Wyciągnę cię z tych tarapatów. Udowodnię ciotce, że nigdy nie miałaś Fatimy albo że Fatima czeka bezpiecznie w domu, albo że Fatima w ogóle nie istniała. Zrobię wszystko i powiem wszystko, ale tylko dla mojej przyszłej żony.

- W żadnym innym wypadku?

- W żadnym.

Zebrałam myśli. Maks zachowywał się ohydnie, ale... ale... w gruncie rzeczy był cudownym człowiekiem... i to był ten dwunasty raz... no i istniała Ania Shirley! W głębi serca wiedziałam, że życie bez Maksa będzie nie do zniesienia. No i na pewno dawno bym już za niego wyszła, gdyby ciotka Cyntia od chwili jego przyjazdu do Spencervale nie usiłowała nas wyswatać.

- Dobrze - oświadczyłam gniewnym tonem.

Maks wczesnym rankiem wyjechał do Halifaxu. Nazajutrz otrzymaliśmy telegram, że wszystko jest w porządku. I następnego dnia wieczorem Maks wrócił do Spencevale. Iza i ja usadowiliśmy go w fotelu i niecierpliwie czekałyśmy.

Maks zaczął się śmiać i śmiał się tak, że aż zsiniał.

Bardzo się cieszymy, że tak się dobrze bawisz - zauważyła chłodno Iza. Ale Zuzia i ja także byśmy się chętnie pośmiały.

- Trochę cierpliwości, dziewczęta poprosił Maks. Gdybyście wiedziały, z jakim trudem udało mi się zachować powagę w Halifaxie, darowałybyście mi ten wybuch śmiechu.

- Darujemy, darujemy - zawołałam. Ale nam wreszcie powiedz, co się stało!

- Zaraz po przyjeździe do Halifaxu pobiegłem na ulicę Hollis. À propos, dlaczego powiedziałyście mi, że wasza ciotka mieszka na ulicy Przyjemnej?

- Bo mieszka.



- Nie. Gdybyście spojrzwały na adres na telegramie, zobaczyłybyście, że mieszka przy ulicy Hollis. Przed tygodniem przeprowadziła się tam do innej przyjaciółki.

- Maksie!

- To szczerą prawdą. Zadzwoiłem do drzwi i kiedy miałem już podać pokojówce hasło „perski kot”, w holu pojawiła się ciotka Cyntia i zaraz się na mnie rzuciła.

- Maksie! - zawołała. - Przywiozłeś mi Fatimę?

- Nie - odparłem, próbując zebrać myśli, a ona zaprowadziła mnie do biblioteki. - Nie, jestem przejazdem w Halifaxie, mam tu coś do załatwienia.

- Coś podobnego - rozgniewała się ciotka Cyntia. - Gdzie te dziewczyny mają głowę? Depeszowałam do nich, żeby natychmiast przysłały mi Fatimę. I ciągle jej nie ma, a ja z minuty na minutę oczekuję wizyty kogoś, kto chce ją kupić.

- Ach tak - szepnąłem usiłując zebrać myśli.

- Tak - ciągnęła wasza ciotka. - W Gońcu pojawiło się ogłoszenie, że ktoś szuka perskiej kotki, i odpowiedziałam na nie. Z Fatima jest mnóstwo zachodu, w każdej chwili gotowa jest przeziębic się i zdechnąć, a to by była straszna strata, więc choć jestem do niej bardzo przywiązana, postanowiłam się z nią rozstać.

Przyszedłem już do siebie i zrozumiałem, że najmądrzej będzie powiedzieć część prawdy, zręcznie ją ubarwiając.

- Co za przedziwny zbieg okoliczności! - zawołałem. - Ależ panno Ridley, to ja właśnie umieściłem to ogłoszenie. Prosiła mnie o to Zuzia. Obie z Izą doszły do wniosku, że chcą mieć taką samą kotkę jak Fatima.

- Szkoda, że nie widziałyście, jak się ona rozpromieniła. Oświadczyła, iż zawsze wiedziała, że wy w gruncie rzeczy lubicie koty, tylko nie chcecie się do tego przyznać. Zaraz więc załatwiliśmy transakcję - bez zmruczenia oka wzięła wasze sto dziesięć dolarów - i jesteście odtąd właścicielkami Fatimy. Winszuję!

- Stare skąpiradło - prychnęła Iza. Miała na myśli ciotkę Cyntię i przypomniawszy sobie nasze wyleniałe futra musiałam jej przyznać rację.

- Ale przecież Fatimy nie ma - zauważyłam niepewnym tonem. - Co powiemy, jak ciotka Cyntia wróci do domu?

- Wasza ciotka ma wrócić dopiero za miesiąc. Gdy wróci, powiecie jej, że kotka zginęła, ale nie musicie jej mówić, kiedy zginęła. Skoro odtąd Fatima należy do was, ciotka Cyntia nie będzie mogła robić wam wyrzutów. Tyle że nabierze jeszcze gorszej opinii o waszych umiejętnościach zajmowania się domem.

Kiedy Maks wyszedł, wyjrzałam za nim przez okno. Był naprawdę przystojny i byłam z niego dumna. Przy bramie odwrócił się, by pomachać ręką, i spojrzał w górę. Nawet z tej odległości zobaczyłam, jak mu się zmieniła twarz. I zaczął biec w kierunku domu.

- Izo, chyba pali się dach - krzyknęłam i pobiegłam do drzwi.

- Zuziu - zawołał Maks - w okienku strychu zobaczyłem ducha Fatimy.

- Co za bzdury! - zaprotestowałam. Ale Iza była już na schodach i pobieглиśmy za nią. Aż na strych. A tam w okienku wygrzewała się w słońcu tusta i zadowolona Fatima.

Maks znów zaczął się zaśmiewać.

- Przecież nie mogła tam siedzieć cały czas - jęknęłam. - Usłyszałybyśmy, jak miauczy.

- Ale nie usłyszałyście - zauważył Maks.

- Mogła umrzeć z zimna - martwiła się Iza.

- Ale nie umarła.

- Mogła się zagłodzić na śmierć! - zawołałam.

- Tu aż się roi od myszy - zauważył Maks. - Nie, dziewczęta, nie ma żadnych wątpliwości. Ta kotka spędziła na tym strychu całe dwa tygodnie. Widać owego dnia wślizgnęła się za Hildą. Dziwne, że nie słyszałyście miauczenia - ale może nie miauczała. A zresztą wy śpicie na parterze. I pomyśleć, że żadnej z was nie przyszło do głowy tu zajrzeć!

- Kosztowało nas to sto dziesięć dolarów - zauważyła Iza patrząc z obrzydzeniem na Fatimę.

- Mnie znacznie więcej - odparłam idąc w kierunku schodów.

Maks zatrzymał mnie i poczekał, aż Iza z Fatima zejda na dół.

- Zuziu, czy naprawdę uważasz, że cię to zbyt wiele kosztowało? Spojrzałam na niego spod oka. Był kochany i aż biło od niego ciepło.

- Nnie... - szepnęłam. - Ale kiedy się pobierzemy, sam będziesz musiał zająć się Fatimą. Ja się jej nie tknę.

- Kochana Fatima! - zauważył Maks, a w jego głosie brzmiała wdzięczność.

## O TYM, JAK ZMATERIALIZOWAŁ SIĘ CECIL

Nie wyszłam za mąż i choć całe Avonlea patrzy z góry na stare panny, wcale się tym nie martwiłam, szczerze jednak przyznaję, że było mi przykro, iż nikt się nigdy o mnie nie starał. Wiedziała o tym nawet Nancy, moja dawna piastunka, i bardzo się nade mną litowała. Nancy była także starą panną, ale w swoim czasie miała dwóch konkurentów. Nie przyjęła żadnego z nich, gdyż jeden był wdowcem z siedmiorgiem dzieci, a drugi znanym lekkoduchem, niemniej jeśli ktoś wypomniałby Nancy jej staropanieństwo, mogłaby z dumą oświadczyć, że to ona nie chciała wyjść za mąż. Gdybym nie spędziła całego życia w Avonlea, nie oparłabym się może chęci opowiadania o kimś, kto zabiegał o moje względy, ale niemal się stąd nie ruszałam i wszyscy wszystko o mnie wiedzieli, a przynajmniej sądzili, że wiedzą.

Często zastanawiałam się, czemu nikt się nigdy we mnie nie zakochał. Byłam niebrzydka, kiedyś Jerzy Adoniram Maybrick napisał nawet wiersz, w którym wychwalał moją urodę: co prawda Jerzy Adoniram pisał wiersze do wszystkich ładnych dziewczyn, choć w gruncie rzeczy obchodziła go tylko zezowata i ruda Flora King, niemniej świadczy to o tym, że nie zawinił mój wygląd. Ani fakt, że ja także pisałam wiersze, gdyż utrzymywałam to w głębokiej tajemnicy. Kiedy nawiedzało mnie natchnienie, zamykałam się w sypialni i wyjmowałam album, który zawsze znajdował się pod kluczem. Album ten jest już obecnie niemal zapisany, nigdy bowiem nie przestałam układać wierszy. Była to jedyna rzecz, którą udało mi się zachować w tajemnicy przed Nancy. Nancy i tak uważała, że nie umiem sobie radzić w życiu, ale drzę na myśl, co by powiedziała, gdyby dowiedziała się o istnieniu tego albumu. Jestem przekonana, że posłałaby z punktu lekarza, a nim by przyszedł, obłożyłaby mnie gorczycznymi plastrami.

Niemniej nie przestałam pisać wierszy i żyłam sobie naprawdę szczęśliwie wśród moich kwiatów, kotów i ilustrowanych pism. Choć bolało mnie, gdy Adela Gilbert z przeciwka, która sama ma męża pijaka, litowała się nad „biedną Karoliną”, że nie udało jej się wyjść za aż Biedna Karolina! Gdybym używała metod Adeli Gilbert to... nie powinnam tak myśleć, to nie po chrześcijańsku.

W dzień moich czterdziestych urodzin odbywało się u Marii Gilespie zebranie Kółka Robótek Ręcznych. Od dawna już nie wspominałam o moich urodzinach, choć nie na wiele się to mogło zdać w Avonlea, gdzie wszyscy dobrze wiedzą, ile kto ma lat - a jeśli się czasem mylą, to nie na korzyść ofiary. Ale Nancy przyzwyczaiła się obchodzić moje urodziny i nie

mogłam jej tego wyperswadować, a zresztą miło jest, kiedy ktoś koło ciebie skacze. Nancy przyniosła mi do łóżka śniadanie - w żadnym innym wypadku nie pozwoliłaby mi na takie leniuchowanie. Przygotowała wszystkie moje ulubione przysmaki i przybrała tacę różami z ogródka i liśćmi paproci, które rosły w lasku za domem. Rozkoszowałam się każdym kęsem tego śniadania, potem wstałam i włożyłam muślinową sukienkę. Chętnie włożyłabym moją najładniejszą sukienkę, ale nie zrobiłam tego ze strachu przed Nancy, wyobrażam sobie, co by zaczęła wygadywać, urodziny nie urodziny!... Podlałam kwiaty, nakarmiłam koty, potem zamknęłam się na klucz i napisałam wiersz o czerwcu. Przystałam pisać urodzinowe ody już wówczas, gdy skończyłam trzydzieści lat.

Po południu wybrałam się na zebranie Kółka, Kiedy ubrałam się, spojrzałam w lustro chcąc zobaczyć, czy naprawdę wyglądam na czterdziestoletnią kobietę. Upewniłam się, że nie. Włosy błyszcząły, miałam zaróżowione policzki i niemal nie widać było zmarszczek, choć to można by przypisać ciemnowemu światłu, lustro bowiem powiesiłam możliwie najdalej od okna. Nancy nie mogła tego zrozumieć. Oczywiście, wiedziałam, że mam zmarszczki, ale skoro ich nie wdziałam, łatwo mi przychodziło o nich zapomnieć.

Mnóstwo kobiet uczestniczyło w zebraniach naszego Kółka, i to zarówno starych jak młodych. Nie mogę powiedzieć, żeby dotąd te spotkania sprawiały mi przyjemność, ale pilnie na nie uczęszczałam uważając to za swój święty obowiązek. Mężatki rozmawiały o mężach i dzieciach, więc rzecz jasna nie mogłam zabierać głosu, dziewczęta gadały po kątach o swoich wielbicielach i milkły, gdy się do takiej grupki zbliżałam, zupełnie jakby były przekonane, że stara panna, która nigdy nie miała wielbiciela, nie jest w stanie ich zrozumieć. Inne stare panny plotkowały na potęgę, a ja tego nie lubiłam. Wiedziałam, że za moimi plecami plotkują także o mnie, dają do zrozumienia, że farbuję włosy, i utrzymują, że kobieta pięćdziesięcioletnia ośmiesza się wkładając różową muślinową sukienkę przyozdobioną koronką.

Tego dnia znalazłyśmy się w pełnym składzie, gdyż przygotowywałyśmy wentę ozdobnej galanterii na rzecz remontu plebanii. Dziewczęta były wesolutkie i zachowywały się jeszcze głośniejsze niż zwykle. Rej wodziła Wilhelmina Mercer. Mercerowie zamieszkali w Avonlea zaledwie dwa miesiące temu.

Siedziałam przy oknie, a tuż przede mną grupka dziewcząt: Wilhelmina Mercer, Madzia Henderson, Zuzia Cross i Georgie Hali. Nie przysłuchiwałam się ich paplaninie i zdziwiłam się, gdy Georgie zawołała nagle:

- Panna Karolina się z nas śmieje. Pewnie uważa nas za niemądre gąski, które wciąż paplają o chłopcach.

Rzeczywiście uśmiechałam się, bo przyszedł mi do głowy pomysł wiersza o różyczkach wspinających się na okno. Słowa Georgie sprowadziły mnie na ziemię i jak to zwykle bywa - zabołały.

- Panno Holmes, czy pani miała kiedyś konkurenta? - spytała ze śmiechem Wilhelmina Mercer.

Akurat w pokoju zapadła cisza i wszyscy usłyszeli pytanie Wilhelminy.

Nie wiem do dziś, co we mnie wstąpiło. Na ogół jestem prawdomówna i brzydę się kłamstwem. Ale nie potrafiłam - w tym pokoju pełnym kobiet - odpowiedzieć Wilhelminie, że nie. Myślę, że złożyły się na to wszystkie przycinki, które znosiłam przez piętnaście lat, „skumulowały się w organizmie”, jak to określał nasz nowy lekarz.

- Tak, raz - odparłam spokojnie.

Moje słowa wywołały sensację. Wszystkie obecne kobiety przestały szyc i spojrzały na mnie. Większość z niedowierzaniem. Ale Wilhelmina nie miała wątpliwości. Na jej ładnej buzi pojawiła się ciekawość.

- Och, niech nam pani o nim opowie, panno Holmes! - poprosiła przymilnie. - Dlaczego pani za niego nie wyszła?

- Tak, panno Mercer, niech ją pani namówi, żeby nam opowiedziała - wtrąciła się Józefina Cameron z obrzydliwym uśmieszkiem. - Nigdy nie słyszałyśmy o żadnym konkurencie Karoliny.

Gdyby Józefina tego nie powiedziała, pewnie bym umilkła. Ale w dodatku zobaczyłam, jak Maria Gillespie i Adela Gilbert wymieniają porozumiewawcze spojrzenia. Wstąpił we mnie duch przekory. „Powiedziało się a, trzeba powiedzieć b” - pomyślałam i oświadczyłam z rozmarzonym uśmiechem:

- Nikt o tym nie wiedział, a było to dawno, dawno temu.

- Jak on się nazywał? - spytała Wilhelmina.

- Cecil Fenwick - odparłam bez namysłu. Cecil było to moje ulubione imię. A nazwisko Fenwick widniało na złożonej gazecie, którą trzymałam w ręku, by odmierzać nią szerokość obrębka. „Stosuj tylko plastry Fenwicka”.

- Gdzie go pani spotkała? - spytała Georgie.

Szybko przebiegłam myślą całą moją przeszłość. Tylko raz wyjechałam na dłużej z Avonlea w odwiedziny do ciotki w Nowym Brunszwiku.

- W Blakely, w Nowym Brunszwiku - odpowiedziałam i sama niemal w to uwierzyłam, widząc, że nie wzbudziłam żadnych podejrzeń. - Miałam wtedy osiemnaście lat, a on dwadzieścia trzy.

- Jak wyglądał? - chciała się dowiedzieć Zuzia.

- Był bardzo przystojny. - Muszę ze wstydem przyznać, że zaczęłam się świetnie bawić. Zobaczyłam w oczach dziewcząt szacunek i wiedziałam, że odtąd nikt nie zarzuci mi staropanieństwa. Będę kobietą z romantyczną przeszłością, wierną jedynej miłości swego życia.

- Był wysoki, miał gęste kędzierzawe czarne włosy i bystro patrzące oczy. Miał piękny nos, mocno zarysowaną brodę i czarujący uśmiech.

- Kim był? - spytała Madzia.

- Młodym prawnikiem. - O wyborze zawodu mego konkurenta zdecydował stojący obok mnie na sztalugach portret zmarłego brata Marii Gillespie. On był prawnikiem.

- Dlaczego pani za niego nie wyszła? - zaciekawiała się Zuzia.

- Pokłóciliśmy się - odpowiedziałam ze smutkiem. - Byliśmy oboje młodzi i niemądrzy. To ja zawiniłam. Cecil rozgniewał się, do flirtowałam z innym mężczyzną -- zdecydowanie szło mi coraz lepiej i w; jechał na zachód. Nigdy go odtąd nie widziałam, nie wiem nawet, czy żyje. Ale nigdy już, nigdy, nie potrafiłam się zainteresować innym mężczyzną.

- Jakie to piękne! - westchnęła Wilhelmina. - Uwielbiam smutne historie miłosne. Ale, panno Holmes, on przecież może jeszcze wrócić.

Och, teraz już na pewno nie - powiedziałam kręcąc przecząco głową. - Dawno już musiał o mnie zapomnieć. A jeśli nawet nie zapomniał, to mi nie wybaczył.

W tym momencie Maria Gillespie zaprosiła nas na podwieczorek i bardzo się ucieszyłam, bo już zaczęła mnie zawodzić wyobraźnia, a nie wiedziałam, o co te dziewczęta zechcą się mnie jeszcze spytać. Ale czułam już, że stosunek obecnych do mnie zmienił się, otaczała mnie zupełnie inna atmosfera i byłam podniecona i zachwycona. Ani się nie wstydziłam, ani nie żałowałam tego, co powiedziałam. Szkoda, że już dawno nie wpadłam na ten pomysł.

Przez następne dwa miesiące żyłam sobie miło i wesoło. Nikt już nie wypytywał mnie o Cecila Fenwicka, a dziewczęta zaczęły mi się zwierzać. Było to bardzo przyjemne, polubiłam więc posiedzenia naszego Kółka. Sprawiałam sobie parę nowych sukienek oraz śliczny kapelus, przyjmowałam wszystkie zaproszenia.

Ale jednej rzeczy każdy może być pewny. Że za każde wykroczenie czeka go kiedyś kara. Mnie spotkało to po dwóch miesiącach i było straszne.

Tej wiosny oprócz rodziny Mercerów zamieszkali też w Avonlea Maxwellowie. Była to zamożna para w średnim wieku. Pan Maxwell kupił tartak i dawną posiadłość Spencerów,

czyli miejscową „rezydencję”. Prowadzili spokojny tryb życia, a pani Maxwellowa była wątpa i niemal nigdzie nie bywała. Nigdy jej nie spotkałam, bo nie było mnie w domu, gdy przyszła złożyć mi wizytę, a kiedy ja z kolei wybrałam się do niej - także jej nie zastałam.

Znów odbywało się zebranie naszego Kółka, tym razem u Sary Gardiner. Spóźniłam się i kiedy przyszłam, wszystkie panie siedziały już w saloniku i od razu zorientowałam się, że coś musiało się stać. Wszyscy patrzyli na mnie jakimś dziwnym wzrokiem. Oczywiście pierwsza wyrwała się Wilhelmina Mercer.

- Panno Holmes, czy pani go już widziała?

- Kogo? spytałam wyjmując naparstek i mci.

- No jak to? Cecila Fenwicka. Przyjechał do Avonlea odwiedzić swoją siostrę, panią Maxwellową.

Zachowałam się chyba tak, jak tego po mnie oczekiwano. Upuściłam wszystko, co trzymałam w ręku, a Józefina Cameron powtarzała później na lewo i na prawo, że zbladłam jak trup.

- Niemożliwe szepnęłam.

- Ależ to prawda! - wykrzyknęła Wilhelmina zachwycona romantycznością sytuacji. - Byłam wczoraj wieczorem u pani Maxwell i go poznałam.

- To nie może być ten sam Cecil Fenwick - oznajmiłam, bo wszyscy oczekiwali, że coś powiem.

- Ależ tak, to on. Pochodzi z Blakely w Nowym Brunszwiku, jest prawnikiem i dwadzieścia dwa lata temu wyjechał na zachód. Jest strasznie przystojny, wygląda zupełnie tak, jak go pani opisała, tyle że osiwiął. Jest nieżonaty - pytałam pani Maxwellowej nigdy się nie ożenił, więc na pewno o pani nie zapomniał. Teraz wszystko cudownie się ułoży.

Nie była w stanie zarazić mnie tym swoim entuzjazmem. Przeraziłam się i byłam tak zmieszana, że nie wiedziałam, co powiedzieć. Miałam uczucie, że to jakiś koszmarny sen - to musiał być sen - przecież Cecil Fenwick nie istniał! Trudno wyrazić, co przeżywałam. Na szczęście wszyscy przypisali moje wzburzenie zupełnie innym powodom i uprzejmie zostawili mnie w spokoju. Nigdy nie zapomnę tego potwornego popołudnia. Zaraz po podwieczorku przeprosiłam gospodynię i wróciłam jak najszybciej do domu. A tam zamknęłam się w sypialni, tym razem nie po to, by pisać wiersze. Nie wiersze były mi w głowie.

Próbowałam spojrzeć faktom w oczy. Zatem Cecil Fenwick istnieje a co gorsze znajduje się w Avonlea. Wszyscy moi przyjaciele - a także wrogowie sądzili, że jest moim dawnym ukochanym. Jeśli pozostanie dłużej w Avonlea albo usłyszy o tej historii, zaprzeczy

- a ja przez resztę życia będę wystawiona na pośmiewisko, albo odjedzie - a wszyscy dojdą do wniosku, że o mnie zapomniał, i będą się nade mną litować. Ale i tak pierwsza możliwość była dużo gorsza i całą noc modliłam się, ach, jak ja się modliłam, żeby wyjechał natychmiast. Opatrzność jednak zrządziła inaczej.

Cecil Fenwick nie wyjechał. Został w Avonlea, a Maxwellowie rozpoczęli na jego cześć prowadzić ożywione życie towarzyskie. Pani Maxwellowa urządziła przyjęcie, dostałam zaproszenie i oczywiście nie poszłam, choć Nancy bardzo nalegała. Potem wszyscy urządzali przyjęcia na cześć pana Fenwicka i zapraszali mnie. Odmawiałam. Wilhelmina Mercer przyszła do mnie i błagała, żebym się pokazała, bo pan Fenwick gotów pomyśleć, że wciąż żywię do niego urazę, i nie ośmieli się zrobić pojednawczych kroków. Wilhelmina miała jak najlepsze zamiary, ale niestety nie grzeszy ona rozumem.

Cecil Fenwick spodobał się wszystkim, tak starym, jak młodym. Był bardzo bogaty i Wilhelmina twierdziła, że połowa dziewcząt stara się mu zawrócić w głowie.

- Gdyby to nie chodziło o panią, panno Holmes, sama próbowałabym go uwieść, mimo tych jego siwych włosów i mimo że pani Maxwellowa utrzymuje, iż straszny z niego złośnik - oświadczyła pół żartem, pół serio Wilhelmina.

Tymczasem ja w ogóle przestałam wychodzić z domu, nawet do kościoła. Zamartwiałam się, straciłam apetyt i przestałam pisać wiersze. Nancy rozpaczła i usiłowała faszzerować mnie swymi ulubionymi pigułkami. Potulnie łykałam pigułki, bo sprzeciwianie się Nancy to czysta strata czasu i energii, ale .rzecz jasna, nic mi one nie pomogły. Srogo zostałam ukarana za moje kłamstwa. Przestałam abonować *Przewodnik Tygodniowy*, bo wciąż się tam ukazywała reklama plastrów i nie mogłam tego widoku znieść. Przecież gdyby nie to ogłoszenie, nie wymyśliłabym nazwiska Fenwick i nie miała teraz kłopotu.

Któregoś wieczoru, kiedy siedziałam osowiała w swojej sypialni, weszła na górę Nancy.

- Panno Karolino, czeka na panią w saloniku jakiś pan.

Zamarło mi serce.

- Nancy, kto to jest? - wyjąkałam.

- Chyba to ten pan Fenwick, o którym się teraz tyle mówi - powiedziała Nancy, która na szczęście nic nie wiedziała o moim wymyślonym romansie. - Wygląda na rozwścieczonego.

- Powiedz mu, że zaraz zejść - oświadczyłam spokojnie. Narzuciłam koronkowy szal i zatknęłam za pasek dwie chusteczki do nosa, pewna bowiem byłam, że jedna nie wystarczy.



Znalazłam stary numer *Przewodnika* i zesłam do bawialni czując się jak skazaniec, którego prowadzą na egzekucję. Od tej pory jestem zażartą przeciwniczką kary śmierci.

Weszłam do saloniku i starannie zamknęłam za sobą drzwi, bo Nancy lubi podsłuchiwać. Ugięły się pode mną nogi i nawet dla ocalenia życia nie mogłabym zrobić kroku. Stałam z ręką na klamce i trzęsłam się jak listek.

Przez okno wyglądał jakiś pan, teraz odwrócił się i jak to słusznie zauważyła Nancy wyglądał na rozwścieczonego. Był bardzo przystojny, a siwizna dodawała mu dystynkcji. Choć uprzytomniłam to sobie dopiero później, w danej chwili nie byłam w stanie zebrać myśli.

Nagle zdarzyło się coś dziwnego... z jego twarzy znikł gniew. Teraz wyglądał na zdziwionego. Zaczerwienił się. Ja stałam i wpatrywałam się w niego, niezdolna wymówić słowa.

- Czy mam przyjemność z panną Holmes? - spytał. - Ja... ja... ach, niech to licho. Przybiegłem tu wściekły, bo usłyszałem głupie plotki. Kretyn ze mnie, widzę, że to nieprawda. Niech mi pani wybaczy. Już uciekam.

- Nie - z trudem odzyskałam głos. - Proszę zostać i mnie wysłuchać. Muszę panu coś wyznać. Te plotki... tak, ja to wymyśliłam, ale nie wiedziałam wówczas, że istnieje prawdziwy Cecil Fenwick.

Tak jak miał do tego pełne prawo, zrobił zdumioną minę. Potem uśmiechnął się, wziął mnie za rękę - wciąż jeszcze trzymałam się klamki - i zaprowadził na kanapę.

- Usiądźmy i pogadajmy - zaproponował, więc opowiedziałam mu całą tę zawstydzającą historię. Czułam się okropnie upokorzona, ale słusznie mi się to należało. Opowiedziałam mu, jak zawsze kpiono ze mnie, że nie miałam wielbiciela, i jak do tego doszło, że w końcu zdecydowałam się na kłamstwo. Jako dowód pokazałam mu reklamę plastrów.

Wysłuchał mnie bez słowa, a potem odchylił do tyłu głowę i zaczął się śmiać.

- Nareszcie rozumiem te wszystkie tajemnicze aluzje, z którymi zetknąłem się w Avonlea - oświadczył. - A dziś po południu przyszła do mojej siostry pani Gilbertowa i opowiedziała jej jakąś bzdurną historię o mojej rzekomej miłości do zamieszkałej w Avonlea Karoliny Holmes. I twierdziła, że słyszała o tym z pani ust. Wyznaję, że wpadłem w szal. Jestem w gorącej wodzie kąpany i pomyślałem sobie, co u licha, jakaś zwariowana stara panna zabawia się opowiadając o mnie zmyślane historyjki. Ale kiedy panią zobaczyłem, od razu zrozumiałem, że to nie pani wina.

- Owszem, moja - zaprzeczyłam ze skrucą. - Nie powinnam była kłamać. Ale kto mógł przypuścić, że w Blakely naprawdę mieszkał Cecil Fenwick. To niezwykle zbieg okoliczności.

- To więcej niż zwykły zbieg okoliczności - zaprotestował pan Fenwick. - Tak chciało przeznaczenie! No, mówmy o czymś innym.

I zaczęliśmy rozmawiać, a właściwie był to monolog pana Fenwicka, bo ja wciąż jeszcze czułam się zbyt zawstydzona. Trwało to długo, aż Nancy zaczęła tupiąc krążyć po sieni, ale pan Fenwick nie przyjmował tego do wiadomości. Kiedy wreszcie zdecydował się wyjść, zapytał, czy może znów do mnie wpaść.

- Najwyższy czas, by położyć kres tej starej sprzeczce - oznajmił ze śmiechem.

A ja, czterdziestoletnia stara panna, zarumieniłam się jak młoda dziewczyna. Bo poczułam się młodą dziewczyną. Wyjaśnienie tej sprawy przyniosło mi wielką ulgę. Nie żywiłam nawet urazy do Adeli Gilbert. Zawsze była urodzoną intrygantką, ale jak się już ktoś taki urodzi, to nie należy go obwiniać, tylko mu współczuć. Przed pójściem spać napisałam wiersz - od miesiąca nie mogłam pisać i przyjemnie było znów chwycić za pióro.

Pan Fenwick przyszedł po dwóch dniach. I zaczął przychodzić tak często, że nawet Nancy pogodziła się z jego obecnością. Wreszcie musiałam jej coś oznajmić. Bardzo się przed tym wzdragałam, bo obawiałam się, że sprawię jej przykrość.

- Och, dawno tego oczekiwałam - oświadczyła ponurym tonem. Jak tylko pojawił się w domu, wiedziałam, że będą z nim kłopoty. No cóż, panno Karolino, życzę pani szczęścia. Nie wiem, jak zniosę ten kalifornijski klimat, ale będę się musiała przyzwyczać.

- Ależ Nancy - zawołałam - nie mogę cię prosić, żebyś ze mną pojechała. To by było zbyt wielkie poświęcenie.

A niby dokąd mam pojechać? - spytała autentycznie zdziwiona Nancy. - Jak by sobie panienka beze mnie poradziła z domem? Nic mam zaufania do tych żółtków z warkoczami. Nie, panno Karolino, nie ma co, jadę z panią.

Bardzo się ucieszyłam, bo nawet dla Cecila przykro by mi było rozstać się z Nancy. Nie opowiedziałam jeszcze memu mężowi o albumie wierszy, ale kiedyś to na pewno zrobię. I znów zaabonowałam *Przewodnik Tygodniowy*.

## CÓRKA SWEGO OJCA

No i oczywiście zaprosimy ciotkę Janinę - oświadczyła pani Spencerowa.

Rachela podniosła w proteście duże kształtne białe dłonie, jakże różne od chudych, sękatych i ciemnych dłoni matki. Dłonie te nie wyglądały tak dlatego, że zniszczone były robotą - Rachela też całe życie ciężko pracowała. Takie ręce obie kobiety odziedziczyły po swoich przodkach. Spencerowie, żeby nie wiadomo co robili, mieli pulchne białe dłonie o długich toczonych palcach, a ręce Chiswicków, nawet tych, którym nie śniło się tknąć roboty, były sękaty i kościste.

- Nie widzę powodu, żeby zapraszać ciotkę Janinę - zaprotestowała niecierpliwie Rachela, choć niecierpliwosc ta wcale nie pasowała do jej miękkiego głosu. - Ciotka Janina mnie nie lubi, a ja też za nią nie przepadam.

- Nie rozumiem, czemu jej nie lubisz - zdziwiła się pani Spencerowa. - Jesteś niewdzięczna. Zawsze była dla ciebie bardzo dobra.

- Jedną ręką dawała, drugą odbierała - uśmiechnęła się Rachela. - Nigdy nie zapomnę, jak poznałam ciotkę Janinę. Miałam wówczas sześć lat. Dała mi aksamitną poduszeczkę do szpilek, haftowaną paciorkami. Byłam bardzo nieśmiała i nim zdobyłam się, by jej podziękować, stuknęła mnie napastrkiem w głowę, żeby mnie nauczyć „dobrych manier”. Pamiętam, jak rozboleła mnie głowa. Ciotka Janina zawsze się tak zachowywała. Kiedy byłam już za duża, by stukać mnie napastrkiem, posługiwała się językiem i to było znacznie gorsze. I chyba nie zapomniała mama, co ona wygadywała o moich zaręczynach. Jeśli będzie w złym humorze, zatruje nam całą uroczystość. Nie chcę, żeby przyszła na mój ślub.

- Musi zostać zaproszona. Nie możemy dawać powodu do plotek.

- Jakich plotek? Przecież ona jest moją cioteczną babką tylko przez małżeństwo. Zresztą niech sobie ludzie plotkują. Tak czy owak znajdą jakiś powód.

- Ciotka Janina będzie na twoim ślubie - oświadczyła pani Spencerowa z determinacją, która cechowała wszystkie jej wypowiedzi i czyny. Nie warto było z tym walczyć. Nikt, kto ją dobrze znał, nie próbował, obcy tracili niekiedy czas zwiedzeni pozorami.

Izabella Spencerowa była niewysoką kobietką, miała bladą ładną twarz, szarawe oczy o długich rzęsach, gęste jedwabiste długie brunatne włosy, drobne rysy i dziecięce czerwone usteczka. Wyglądała tak, jakby byle powiew mógł ją zbić z nóg. Ale w rzeczywistości nawet tajfun nie zmusiłby jej do zboczenia o centymetr z obranej drogi.

Przez chwilę Rachela wyglądała tak, jakby zamierzała się zbuntować, zaraz jednak ustąpiła jak zwykle wówczas, gdy miała inne zdanie niż matka. Nie warto było się kłócić o względnie mało ważną obecność ciotki Janiny. Czekąca ją poważniejsza batalia, należało oszczędzać sił. Wzruszyła ramionami i na listę gości wpisała dużymi niezbyt kształtnymi literami nazwisko ciotki Janiny. Jej charakter pisma zawsze irytował matkę. Rachela nie potrafiła tego zrozumieć. Nie wiedziała, że podobny charakter pisma widniał na wypłowiałych kartkach listów spoczywających na dnie kufra w sypialni pani Spencerowej. Stemple na kopertach pochodziły ze wszystkich portów świata. Pani Spencerowa nigdy do tego kufra nie zaglądała, ale dobrze pamiętała kształt każdej litery.

Izabelli Spencer dzięki jej sile woli i wytrwałości udawało się uporać z niemal każdą sprawą. Ale nic nie mogła poradzić na to, że Rachela pod każdym względem podobna jest do ojca. Izabella Spencer znienawidziłaby ją - gdyby jej tak bardzo nie kochała. Ale i tak często odwracała od jej twarzy zniecierpliwiony wzrok.

Za dwa tygodnie miał się odbyć ślub Racheli z Franciszkiem Bellem. Pani Spencerowa pochwalała ten związek. Lubiła Franciszka, jego farma znajdowała się dosyć blisko, miała więc nadzieję, że nie całkiem utraci córkę. Rachela była matce bardzo oddana i uważała, że nic nie jest w stanie ich rozdzielić, ale Izabella Spencer miała dość doświadczenia, by się nie łudzić.

Siedziały w saloniku omawiając szczegóły weselnego przyjęcia i przygotowując listę gości. Wrześnie słońce przesączało się przez liście jabłoni rosnącej pod niskim oknem. Żłociste plamki płały po alabastrowej twarzy Racheli. Grube złote warkocze upięte były w koronę. Miała wysokie jasne czoło. Była młoda i pełna nadziei. Serce matki ścisnęło się. Jakże ta dziewczyna była podobna do... była podobna do Spencerów. Łagodne rysy i duże uśmiechnięte błękitne oczy, ładnie zarysowana broda. Izabella Spencer zacięła usta i próbowała zdławić niemiłe sercu wspomnienie.

- Przyjdzie mniej więcej sześćdziesiąt osób oświadczyła tonem osoby, która myśli o czymś innym. - Musimy stąd wynieść wszystkie meble i wstawić duży stół. Jadalnia jest za mała. Trzeba będzie pożyczyć od pani Brown noże i widelce. Nigdy bym jej nie poprosiła, ale sama mi to zaproponowała. Jutro wybielimy nasz adamaszkowy obrus. Nikt w Avonlea nie ma tak pięknego obrusa. A na podeście schodów ustawimy stolik na prezenty.

Rachela nie myślała ani o prezentach, ani o kłopotach związanych z organizacją przyjęcia. Zarumieniła się, przyspieszony oddech świadczył o zdenerwowaniu. Wiedziała, że zbliża się krytyczny moment. Zdecydowanym ruchem dopisała do listy gości jeszcze jedno nazwisko i podkreśliła je.

- No co, skończyłaś? - spytała niecierpliwie matka. - Pokaż, sprawdzę, czy o nikim nie zapomniałaś.

Rachela bez słowa podała przez stół kartkę. Wydało jej się, że w pokoju zapanowała straszna cisza. Słyszała, jak na szybach bzyczą muchy, słyszała szum wiatru i bicie własnego serca. Była przerażona i zdenerwowana, ale gotowa na wszystko.

Pani Spencerowi półgłosem odczytywała nazwiska, kiwając z aprobatą głową. Ale ostatniego nazwiska nie wymówiła. Spojrzała ostro na Rachelę i w jej wyblakłych oczach pojawiła się iskra. Na twarzy odmalował się gniew, zdziwienie, niedowierzanie.

Ostatnim nazwiskiem na liście było nazwisko Dawida Spencera. Dawid Spencer mieszkał samotnie w Zatoczce. Był żeglarzem i rybakim. I był także mężem Izabelli i ojcem Racheli.

- Rachelo Spencer, chyba postradałaś zmysły! Co ci strzeliło do głowy?

- Chcę po prostu, żeby na moim ślubie był także mój ojciec.

- Nie w moim domu - wykrzyknęła pani Spencerowa zbielełymi wargami.

Rachela nachyliła się, oparła o siódł ręce i spojrzała rozgoryczonej matce prosto w oczy. Przestała się bać. Teraz, kiedy już doszło do otwartej sprzeczki, poczuła zadowolenie. Trochę ją to zdziwiło, pomyślała, że musi być z natury zła. Nie miała żadnych skłonności do analizowania swoich uczuć, inaczej doszłaby do wniosku, że przyjemność sprawiło jej zajęcie wreszcie własnego stanowiska, gdyż dotychczas podporządkowywała się zawsze matce.

- Zatem, mamó, wesele się nie odbędzie. Franek i ja pójdziemy wziąć ślub do pastora i wrócimy prosto do domu. Skoro nie mogę zaprosić własnego ojca, nie interesują mnie inni goście.

Zacisnęła usta. I Izabella Spencer po raz pierwszy zobaczyła w twarzy córki własną twarz, dziwne nieokreślone podobieństwo należące do strefy ducha. Mimo gniewu poczuła miły dreszcz. Uświadomiła sobie lepiej niż dotychczas, że ta dziewczyna, dziecko jej i dziecko jej męża, stanowi łączący ich żywy węzeł. I zrozumiała, że potulna i posłuszna Rachela zamierza tym razem przeprowadzić własną wolę.

- Trudno mi zrozumieć, czemu ci zależy, żeby ojciec był na twoim ślubie zauważyła szyderczo. - On nigdy nie pamiętał, że jest twoim ojcem. Jemu nigdy na tobie nie zależało.

Rachela nie zareagowała na gorzkie szyderstwo matki. Nie mogło jej ono zboleć, wiedziała bowiem coś, o czym nie wiedziała matka.

- Albo zaproszę ojca na wesele, albo się ono nie odbędzie - powtórzyła stanowczo, uciekając się do taktyki matki, która zawsze trwała przy swoim nie odpowiadając na argumenty.

- No to go zaprosz - warknęła pani Spencerowa. Przyzwyczajona, że zawsze udaje jej się przeprowadzić swoją w cję, nie umiała ustępować. - I tak to się na mc nie zda. On nie przyjdzie.

Rachela nie odpowiedziała. Teraz, kiedy odniosła zwycięstwo, miała ochotę się rozplakać. Szybko wstała i poszła do siebie na górę, do swego malutkiego panińskiego pokoiku, pod którego oknami rosły brzozy. Położyła się na białobłękitnej narzucie i gorzko się rozplakała.

Serce wrywało jej się do tego prawie nieznanego ojca. Wiedziała, że matka ma rację twierdząc, że on nie przyjdzie. Rachela czuła, że sakrament małżeństwa nie będzie prawdziwym sakramentem, jeśli ojciec nie usłyszy wypowiedzianych przez nią słów przysięgi.

Ślub Dawida Spencera i Izabelli Chiswick odbył się dwadzieścia pięć lat temu. Złośliwcy utrzymywali, że Izabella niewątpliwie wyszła za Dawida z miłości, gdyż nie mogła wyjść dla pieniędzy, skoro on nie miał grosza przy duszy. Dawid był pięknym mężczyzną, a w jego żyłach płynęła krew żeglarzy.

Był tak jak jego ojciec i dziad marynarzem, ale kiedy ożenił się z Izabellą, ona namówiła go, by zrezygnował z morza i zajął się farmą, którą pozostawił jej ojciec. Izabella lubiła pracę na roli, kochała swoją żyzną ziemię i bujne sady. Czuła odrazę do morza. Nie tyle bała się go, ile była głęboko przekonana, że marynarze zajmują dość podrzędne miejsce w hierarchii społecznej - należą do gatunku może pożytecznych, ale jednak włóczęgów. Uważała, że zawód ten ma w sobie coś hańbiącego. Dawid musi się stać solidnym, miłującym dom rolnikiem.

Przez pięć lat wszystko się jakoś układało. Jeśli Dawida nawoływał zew morza, to umiał mu się oprzeć. Byli oboje bardzo szczęśliwi, smucił ich tylko brak dziecka.

W szóstym roku nastąpił kryzys. Kapitan Barrett, stary druh Dawida, poprosił go, by wyruszył z nim na morze jako mat. I Dawid nie potrafił dłużej tłumić tęsknoty za błękitnym przestworem oceanu i słonym morskim wiatrem. Musi odbyć tę podróż z Jakubem Barrettem, musi. Potem znów wróci do osiadłego życia.

Izabella wyrażała swój sprzeciw zapalczywie i niemądrze, obsypywała go niezasłużonymi wymówkami, szydziła z jego namiętności. I nagle dał o sobie znać drzemający w naturze Dawida upór i przyszedł w pomoc tęsknocie, której Izabella, mająca za sobą pięć pokoleń związanych z ziemią przodków, nie umiała i nie chciała zrozumieć.

Dawid postanowił, że popłynie, i oświadczył to Izabelli.

- Obrzydło mi dojenie krów! - zawołał zapalczywie.

- Chcesz powiedzieć, że obrzydło ci cnotliwe życie - zakpiła Izabella.

- Możliwe - zgodził się Dawid, wzgardliwie wznosząc ramionami. Tak czy owak wyruszam na morze.

- Dawidzie Spencer, jeżeli pojedziesz, możesz tu więcej nie wracać. Dawid nie potraktował tych słów poważnie i wyjechał. Izabella uznała, że ją zlekceważył. Dawid nie wiedział, że żegna się z kobietą, zewnętrznie niby to spokojną, ale w której sercu wrze wulkan gniewu i której duma została głęboko zraniona.

I kiedy wrócił, opalony, radosny, zaspokoiwszy chwilowo tę swoją wanderlust, gotów znów chętnie zająć się rolą i bydłem - powitała go właśnie taka kobieta.

Izabella stała w drzwiach, ponura, zimna, z zaciętymi wargami.

- Czego sobie życzysz? - spytała tonem, którym zwracała się do włóczęgów i wędrownych handlarzy.

- Czego sobie życzę? - Dawid był tak zdziwiony, że zabrakło mu słów. - Wróciłem do mojej żony i do mojego domu.

- To nie jest twój dom. I ja nie jestem twoją żoną. Dokonałeś wyboru wyjeżdżając - odpowiedziała Izabella. Potem wróciła do domu i zatrzasnęła mu przed nosem drzwi.

Dawid przez parę minut stał jak ogłuszony. Potem odwrócił się i odszedł wysadzając brzoziakami alejkę. Nie powiedział słowa - ani wówczas, ani później. Od tego dnia nigdy już nie wymówił imienia żony.

Pojechał prosto do portu i zaciągnął się na statek kapitana Barretta. Kiedy po miesiącu wrócił, kupił domek i postawił go w „Zatoczce”, na pustkowiu, gdzie nikt nie mieszkał. I tam, między podróżami morskimi, żył jak pustelnik, łowiąc ryby i grając na skrzypcach. Rzadko wychodził z domu i nikogo nie zapraszał.

Izabella Chiswick obrała tę samą taktykę milczenia. Kiedy oburzeni Chiswickowie z ciotką Janiną na czele próbowali z nią dyskutować, robiła taką minę, jakby nie słyszała, i nigdy nie raczyła odpowiadać. Pokonała ich bez wysiłku. Jak to określiła ciotka Janina: „Co można zrobić z kobietą, która nie raczy się odezwać?”

Rachela urodziła się w pięć miesięcy po tym, jak jej matka wyrzuciła za drzwi Dawida Spencera. Może gdyby wtedy pojawił się skruszony Dawid, zmiękłoby serce Izabelli rozradowane długo oczekiwanym macierzyństwem, może wyzbyłaby się urazy. Ale Dawid nie przyszedł i niczym nie okazał, że obchodzi go narodziny upragnionego dziecka.

Kiedy Izabella wstała, jej blada twarz przybrała jeszcze surowszy wyraz. Gdyby ktoś ją obserwował, zauważyłby, że w jej sposobie bycia nastąpiła pewna zmiana. Przedtem objawiało się nerwowe napięcie, zupełnie jakby czegoś oczekiwała, teraz stała się spokojniejsza i smutniejsza. Przestała podświadomie oczekiwać powrotu męża. W głębi

duszy sądziła bowiem, że się pojawi, i gotowa była mu wybaczyć, jeśli dość pokornie będzie ją o to prosił przyznając się do winy. Ale teraz wiedziała, że nie przyjdzie jej przeprosić, i resztką dawnej miłości zamieniła się w nienawiść.

Rachela odkąd pamiętała, wiedziała, że jej życie różni się od życia znajomych dzieci. Długo zastanawiała się, na czym to polega. Wreszcie jej dziecinny umysł rozwiązał zagadkę - różnica polegała na tym, że inne dzieci miały ojca, a ona nie. Nie miała nawet ojca na cmentarzu tak jak Kara Bell i Lilka Boulter. Dlaczego? Poszła do matki, oparła się o jej kolano i wznosząc błękitne oczęta zapytała:

- Mamo, dlaczego nie mam tatusia tak jak inne dziewczynki?

Izabella Spencer odłożyła robótkę, wzięła na kolana siedmioletnią córeczkę i opowiedziała całą historię nie szczędząc ostrych słów, które zapadły w pamięć dziecka. Mała Rachela zrozumiała, że sprawa jest beznadziejna.

- Wybij sobie z głowy ojca - oświadczyła na koniec Izabella Spencer. - Nic go nie obchodzisz i nigdy nie obchodziłaś. Więc nigdy i z nikim o nim nie mów.

Rachela w milczeniu ześlizgnęła się z kolan matki i z ciężkim sercem wybiegła do ogrodu. Tam rozplakała się żałośnie. To straszne - ojciec jej nie kocha, to straszne - nie wolno jej o nim mówić.

Może to dziwne, niemniej Rachela wysłuchawszy opowieści matki o tamtej kłótni, stanęła po stronie ojca. Nigdy nie ośmieliłaby się być nieposłuszną matce. Nigdy więc o ojcu nie wspomniała - jednakże Izabella nie zabroniła jej o nim myśleć. Zatem Rachela wciąż o nim rozmyślała i stał się w ten sposób niewidzialnym świadkiem jej wszystkich poczynań.

Była dzieckiem obdarzonym bujną wyobraźnią, często więc przeżywała w myślach spotkanie z ojcem. Nigdy go nie widziała, był jednak dla niej kimś bardziej rzeczywistym niż większość otaczających ją osób. Bawił się z nią, a ona rozmawiała z nim tak, jak nigdy nie rozmawiała z matką. Towarzyszył jej w spacerach po sadzie i łąkach, o zmierzchu zasiadał koło jej łóżka i to jemu zwierzała się ze swoich sekretów.

Kiedyś matka spytała ją gniewnie, czemu wciąż coś do siebie mówi.

- Nie mówię do siebie. Rozmawiam z kimś z moich przyjaciół - oświadczyła poważnym tonem.

- Niemądre dziecko - roześmiała się matka, bez złości, ale z dezaprobatą.

W dwa lata później Rachela przeżyła piękny dzień. Któregoś popołudnia wybrała się z kilkoma koleżankami nad zatokę. Takie wyprawy zdarzały się rzadko, zwykle wolno jej było wychodzić z domu jedynie w towarzystwie matki. A Izabella nie była dobrą kompanią. Zatem wycieczki Racheli z matką nie należały do udanych.



Dziewczynki uszły brzegiem morza spory szmat drogi i znalazły się w zakątku, którego Rachela nie знаła. Zatoka była tu płytka, spod szemrzącej wody prześwitywał złoty piasek. A dalej mieniło się w słońcu granatowe niespokojne morze. Tu wiatr był łagodny i miękki, tam musiał być porywisty i silny. Na brzegu leżała na deskach łódź obok dziwnego domku, który wyglądał jak wyrzucona przez fale muszla. Rachela patrzyła z zachwytem. I ona, tak jak jej ojciec, kochała morze i samotność.

- Zmęczyłam się - oświadczyła. - Zostanę tu i odpocznę. Idźcie same do Przylądka Mew. Poczekam tu na was.

- Sama? - spytała ze zdziwieniem Kara Bell.

- Ja się nie boję być sama - odparła dumnie Rachela.

Dziewczynki odeszły, a Rachela usiadła na deskach w cieniu wielkiej białej łodzi. Oparła o nią jasną główkę i oddała się marzeniom, zapatrzona w perłowy horyzont.

Nagle usłyszała z tyłu kroki. Kiedy odwróciła głowę, zobaczyła, że stoi za nią jakiś mężczyzna i patrzy na nią roześmianymi błękitnymi oczyma. Rachela była pewna, że nigdy go nie widziała, ale te oczy wydały jej się znajome. Poczowała do niego sympatię. I nie była onieśmielona, choć zwykle obawiała się obcych ludzi.

Był to wysoki, tęgi mężczyzna w rybackim kombinezonie. Miał jasne faliste gęste włosy i ogorzałą twarz, a kiedy się uśmiechał, widać było białe i równe zęby. Rachela pomyślała, że musi już być niemłody, jego skronie przyprószone były siwizną.

- Wypatrujesz syren?

Rachela poważnie skinęła głową, choć normalnie wstydziła się do tego przyznać.

- Tak - oznajmiła. - Mama mówi, że syren nie ma, ale ja lubię je sobie wyobrażać. Czy pan widział kiedyś syreny?

Wysoki mężczyzna spojrział na wyrzucony przez morze biały i uśmiechnął się.

- Niestety nie. Za to widziałem wiele innych cudownych rzeczy. Usiądźmy, to ci opowiem.

Rachela podeszła do niego bez wahania. Posadził ją sobie na kolanach i bardzo jej się to spodobało

- Miła z ciebie dziewczynka - powiedział. Dasz mi całusa? Na ogół Rachela nie znosiła, by ktoś ją całował. Nie chciała całować nawet swoich wujów, a oni wiedzieli o tym i tak się z nią droczyli, że kiedyś wykrzyknęła, iż nie cierpi mężczyzn. Ale teraz objęła tego obcego mężczyznę za szyję i głośno cmoknęła w policzek.

- Lubię pana - wyznała.

Poczuła, że obejmuje ją jeszcze mocniej. Jego błękitne oczy zamglily się, pojawiła się w nich wielka czułość. I nagle Rachela domyśliła się, kim on jest. To był ojciec. Nic nie powiedziała, ale oparła o tego ramię główkę i ogarnęło ją uczucie szczęścia.

Jeśli Dawid Spencer zorientował się, że go rozpoznała, to niczym tego nie okazał. Zaczął opowiadać o cudach, które widywał podczas wypraw do odległych krajów. Zafascynowana Rachela słuchała jak najpiękniejszej bajki. Tak, on był takim, jakim go sobie wyobrażała. Wiedziała, że będzie snuł najcudowniejsze opowieści.

- Chodź do mnie do domu, to ci coś pokażę - zaproponował. Nastąpiła wspaniała godzina. Mały niski pokój z kwadratowymi okienkami pełen był pamiątek z jego wędrówek - znajdowały się tam przedmioty piękne i dziwne, i takie, których się w ogóle nie da opisać. Najbardziej zachwyciły Rachelę dwie wielkie muszle na parapecie kominka. Bładoróżowe muszle w pasowe cętki.

- Nie wiedziałam, że na świecie może być coś aż tak pięknego! - zawołała.

- Jeśli chcesz... - zaczął mężczyzna i zaraz urwał. Po chwili powiedział: - Pokażę ci coś jeszcze ładniejszego.

Rachela czuła, że zdanie to miało brzmieć początkowa zupełnie inaczej, ale przestała się nad tym zastanawiać, gdy zobaczyła, co wyjął z kredensiku. Był to purpurowy czajniczek w złote smoki. Pokrywka wyglądała jak złocisty kwiat. Rachela usiadła i wpatrzyła się z zachwytem.

- Obecnie jest to jedyna cenna rzecz, jaką posiadam - powiedział.

Rachela wyczuła w jego głosie smutek, smutek pojawił się w oczach.

Miała ochotę pocałować go i pocieszyć. Ale on nagle zaczął się śmiać, przyniósł jej talerz przepysznych łakoci. Zaczęła je pałaszować, on zaś wziął skrzypce i grał, a ta muzyka wzywała do śpiewu i tańca. Rachela była uszczęśliwiona. Pragnęła na zawsze pozostać w tym pokoiku pełnym skarbów.

- Widzę, że nadchodzą twoje przyjaciółki - powiedział mężczyzna. -- Musisz iść. Zabierz słodycze.

Objął ją i przez chwilę mocno przyciskał do piersi. Czuła, że całuje ją we włosy.

- Biegnij, mała. Do widzenia.

- Dlaczego pan mnie nie zaprasza, żebym tu znów przyszła? - spytała Rachela bliska łez. - I tak przyjdę.

- - Przyjdź, kiedy tylko będziesz mogła - powiedział. - Jeśli nie przyjdiesz, zrozumieć, że to dlatego, iż nie możesz. Jestem szczęśliwy maleńka, że choć raz mogłem cię tu gościć.

Kiedy koleżanki wróciły, Rachela siedziała grzecznie na deskach. Nie widziały, jak wychodziła z tego domku, a ona nie opowiedziała im o swojej przygodzie. Uśmiechnęła się tylko tajemniczo, gdy pytały, czy nie czuła się osamotniona.

Tego wieczoru podczas pacierza po raz pierwszy pomodliła się za ojca. Odtąd nigdy o tym nie zapomniała. Co wieczór kończyła modlitwę słowami: „Pobłogosław, Panie Boże, mamę... i ojca”. Ta krótka pauza mówiła o ich tragicznym rozstaniu. I słowo „ojca” wymawiała czulszym tonem.

Rachela nigdy już nie odwiedziła Zatoczki. Kiedy Izabella Spencer dowiedziała się, że dzieci tam były, zabroniła córce wycieczek na tamtą część wybrzeża.

Rachela opłakała ten zakaz, ale była mu posłuszna. I odtąd nie miała już kontaktu z ojcem, jeśli nie liczyć tajemnego porozumienia serc.

Zaproszenie na ślub córki zostało wysłane do Dawida Spencera wraz z innymi zaproszeniami, a ostatnie dni panieństwa Racluzia spędziła w wirze przygotowań, w których wyżywała się matka, a które były jej przykre.

Wreszcie nadszedł dzień ślubu, wrześniowy dzień tak ciepły i piękny, jakby to był czerwiec.

Ceremonia ślubu została wyznaczona na ósmą wieczór. O siódmej ubrana już Rachela stała w swej sypialni. Nie miała drużny i poprosiła kuzynki, by zostawiły ją samą. Ślicznie wyglądała w przesącającym się przez liście brzoź blasku zachodzącego słońca. Ślubna sukienka z cienkiej białej organdy była skromna, ale śliczna. Na rozpuszczonych włosach miała wianek z biało-różowych kwiatów, przysłanych przez oblubieńca. Czuła się bardzo szczęśliwa, choć szczęście zabarwione było smutkiem, który nieodłącznie towarzyszy każdej zmianie.

Weszła matka z koszyczkiem w rękę.

Przyniósł to dla ciebie. Rachelo, chłopak z portu. Miał przykazane oddać ci to osobiście. Wzięłam ten koszyczek i odesłałam go.

Matka mówiła chłodnym tonem. Dobrze wiedziała, kto przysłał ten koszyczek, i była bardzo niezadowolona. Niemniej nie mogła opanować ciekawości. I pilnie przyglądała się, jak Rachela otwiera koszyk.

Racheli drżały ręce. Najpierw wyjęła dwie różowe muszle. Nigdy ich nie zapomniała! A pod nimi leżał owinięty starannie w jedwabną, dziwnie pachnącą chustkę czajniczek ze smokami. Wzięła go do ręki i w jej oczach pojawiły się łzy.

- Przysłał to twój ojciec - powiedziała dziwnym tonem Izabella Spencer. - Pamiętam ten czajniczek. Odesłałam mu go wraz z innymi rzeczami. Jego ojciec przywiózł go z Chin dobre pięćdziesiąt lat temu. Mówiono, że jest bardzo cenny.

- Mamo, proszę cię, zostaw mnie na chwilę samą - szepnęła Rachela. Zobaczyła pod czajniczkiem kartkę i czuła, że nie może jej przeczytać w obecności matki.

Pani Spencerowa po raz pierwszy w życiu potulnie wyszła i Rachela podbiegła do okna, by w gasnącym świetle dnia przeczytać list ojca... Był bardzo krótki, pismo było pismem człowieka, który rzadko bierze do ręki pióro.

*Moja kochana dziewczynko! Bardzo żałuję, ale nie mogę przyjść na twój ślub. Wiem, że to Ty mnie zaprosiłaś, takie to do Ciebie podobne, gardzę chciałbym zobaczyć Twoje zaślubiny, ale nie mogę przyjść do domu, z którego mnie wyrzucono. Z całego serca życzę Ci szczęścia, posyłam Ci muszle i czajniczek, które tak Ci się podobały. Czy pamiętasz ten dzień, kiedy tak nam było z sobą dobrze? Chciałbym Cię zobaczyć, nim wyjdiesz za mąż, ale to niemożliwe.*

*Twój kochający ojciec*

*Dawid Spencer*

Rachela przymknęła powieki, by zatrzymać łzy. Ogarnęła ją niepohamowana chęć zobaczenia ojca. Musi go zobaczyć, musi otrzymać jego błogosławieństwo na nową drogę życia. I podjęła nagłą decyzję, odsuwając na bok konwenanse.

Było już niemal ciemno. Goście zjawiają się dopiero za pół godziny. Do Zatoczki można dojść skrótem przez wzgórze w piętnaście minut. Rachela pospiesznie włożyła nowy płaszcz od deszczu i zarzuciła na głowę ciemną chustkę. Otworzyła drzwi i cichutko zbiegła na dół. Pani Spencerowa i jej pomocnice były w kuchni. Rachela znalazła się w ogrodzie. Pójdzie przez pola. Nikt jej nie zobaczy.

Kiedy doszła do Zatoczki, było już ciemno. Na kryształowym sklepieniu nieba mrugały gwiazdy. Ciszę przerywał szum fal. Miękki wiatr pojękiwał na poddaszu szarego domku, w którym samotnie siedział Dawid Spencer trzymając na kolanach skrzypce. Próbował grać, ale jakoś mu to nie wychodziło. Serce wyrywało mu się do córki - a także do dawno utraconej żony. Zaspokoił tęsknotę za morzem, miłość do żony i dziecka okazała się silniejsza niż gniew i uraza.

Nagle otworzyły się drzwi i stanęła w nich Rachela, zrzuciła płaszcz i chustkę, była śliczna i promienna.

Ojcze! - zawołała zduszonym głosem i znalazła się w jego ramionach.

Tymczasem w jej domu zaczęli się pojawiać goście. Śmiano się i żartowano. Przyszedł także pan młody i potajemnie wszedł na Palcach na górę, na podeście schodów spotkał panią Spencerową. Chciałem zobaczyć Rachelę, nim zejdziemy na dół - wyznał rumieniąc się.

Pani Spencerowa położyła trzymany w ręku ozdobny obrus na pełnym już ślubnych upominków stole, otworzyła drzwi pokoju Racheli i zawołała ją. Nikt się nie odezwał, w pokoju było ciemno. Zaalarmowana Izabella Spencer chwyciła stojącą na podeście lampę. W pokoiku panowała pustka, nie było w nim panny młodej. Ale na stoliczku leżał list Dawida Spencera. Przeczytała go.

- Rachelę wyszła - jęknęła. Domyśliła się, dokąd poszła jej córka.

- Wyszła! - powtórzył blednąc Franciszek. Jego rozpacz pomogła jej się opanować. Roześmiała się gorzko.

- Nie bój się, Franku. Nie uciekła ci, wejdz i zamknij drzwi. Nikt nie powinien się o tym dowiedzieć. Dopiero by się zaczęły plotki. Ta wariatka pobiegła do Zatoczki do... do swego ojca. Tak, tak, to do niej podobne. Przysłał jej prezenty i ten list. Przeczytaj go. Pewno poszła go namówić, by się pojawił. Strasznie jej na tym zależało. A tu już przyszedł pastor, jest pół do ósmej. Zniszczy sukienkę i zakurzy pantofelki. Nie daj Boże, żeby ją ktoś zobaczył! To dziecko zupełnie zwariowało.

Franciszek przyszedł do siebie. Rachelę opowiedziała mu o ojcu.

- Pójdę po nią - oznajmił. - Wezmę tylko kapelusz i płaszcz. Zbiegnę tylnymi schodami.

- Musisz wyjść przez okno spiżarni - nakazała stanowczo pani Spencerowa, wprowadzając jak zwykle akcent komiczny. - W kuchni jest pełno pań. Nie chcę, żeby się o tym dowiedziały.

Franciszek mimo młodego wieku wiedział, że kobietom należy w drobiazgach ustępować, przecisnął się więc przez okienko spiżarni i pobiegł przez brzezinę. A pani Spencerowa stała na straży, póki nie zniknął.

Zatem Rachelę poszła do ojca. Te wszystkie lata poszły na marne...

„Na nic się nie zda walczyć z naturą człowieka - pomyślała gorzko. - Zostałam pokonana. Widać mu jednak na niej zależało, skoro przysłał jej ten czajniczek i napisał. I co to znaczy, że było im tak dobrze z sobą. Cóż, pewnie już kiedyś go odwiedziła i ukryła to przede mną”.

Pani Spencerowa zamknęła głośno okno.

- Oby tylko wróciła szybko z Franciszkiem, to uda się uniknąć plotek i będę mogła jej wybaczyć - szepnęła do siebie, wracając do kuchni.

Kiedy Franciszek wszedł do szarego domku, Rachela siedziała na kolanach ojca obejmując go za szyję. Zerwała się, zarumieniła, jej twarz przybrała błagalny wyraz, a w oczach pojawiły się łzy. Franciszek pomyślał, że nigdy jeszcze nie była taka śliczna.

- To już tak późno? Franciszku, gniewasz się na mnie? - spytała nieśmiało.

- Nie, nie, kochanie. Nie gniewam się, skąd. Ale chyba powinnaś już wrócić? Zbliża się ósma i wszyscy czekają.

- Próbuje namówić tatę, żeby przyszedł - powiedziała Rachela. - Pomóż mi.

- Tak, ja też bardzo proszę, żeby pan przyszedł - zaczął serdecznie nalegać Franciszek. Dawid Spencer pokręcił stanowczo głową.

- Nie, nie mogę pójść do tego domu. Pokazano mi tam drzwi. Nie zwracajcie na mnie uwagi. I tak jestem szczęśliwy, że zobaczyłem moją dziewczynkę. Chętnie byłbym na jej ślubie, ale to niemożliwe.

- Owszem, możliwe! - rezolutnie oświadczyła Rachela. - Będziesz. Franku, chcę wziąć ślub tutaj, w domu mojego ojca! Tak być powinno. Idź i sprowadź tu pastora i gości.

Franciszek przeraził się. Dawid Spencer zaprotestował: - Nie, malutka, to by było...

- Tym razem nie ustąpię - oznajmiła Rachela z pełną serdeczności stanowczością. - Idź, Franku. Będę ci posłuszna całe życie, ale teraz musisz to dla mnie zrobić. Spróbuj mnie zrozumieć - dodała błagalnym tonem.

- Och, rozumiem cię - zapewnił ją Franciszek. - I chyba masz rację. Ale co z twoją matką? Przecież nie zechce tu przyjść.

- Powiedz jej, że jeśli nie przyjdzie - to ślub się nie odbędzie - nagle Rachela ujawniła, że potrafi postępować z ludźmi. Wiedziała, że tym oświadczeniem skłoni Franciszka, by nie dał się zbyć matce.

Franciszek ku rozpaczy pani Spencerowej wszedł frontowymi drzwiami. Rzuciła się i zabrała go do bocznego pokoju.

- Gdzie Rachela? Dlaczego wszedłeś tędy? Wszyscy cię zobaczyli.

- To już nie ma znaczenia. I tak się zaraz o wszystkim dowiedzą. Rachela chce wziąć ślub w domu ojca, grozi, że inaczej w ogóle nie wyjdzie za mąż. Kazała mi to pani powtórzyć.

Izabella spurpurowiała.

- Rachela oszalała. Umywam ręce. Róbcie, co chcecie. Zabierz gości... i kolację także, jeśli będziesz w stanie ją unieść.

- Na kolację wrócimy tutaj - powiedział Franciszek, nie zwracając uwagi na szyderstwa Izabelli. - No, pani Spencerowo, musimy się z tym pogodzić, proszę się szykować.

- Czy naprawdę sądzisz, że ja pójdę do domu Dawida Spencera? - spytała ostro Izabella Spencer.

- Błagam panią! Musi pani przyjść - zawołał z rozpaczą biedny Franciszek. Zaczął się obawiać, że upór tych trzech osób uniemożliwi jego ślub. - Rachela powiedziała, że jeśli pani odmówi, nie wyjdzie za mnie. Niech pani tylko pomyśli, jak ludzie będą plotkować. A Rachela uparła się i nie zmieni zdania.

Izabella Spencer też była o tym przekonana. I mimo gniewu postanowiła nie dopuścić do skandalu. Strach przed skandalem był silniejszy niż wściekłość.

- Skoro muszę, to muszę - powiedziała lodowatym tonem. - Nie przebiję się głową muru. Idź i zawiadom gości.

W pięć minut później sześćdziesięcioro gości maszerowało polami w stronę Zatoczki. Byli zbyt zdumieni, by omawiać to niesłychane wydarzenie. Z tyłu szła samotnie Izabella Spencer.

Wszyscy stłoczyli się w małym pokoiku, zapadła uroczysta cisza przerywana tylko zawodzeniem wiatru i pomrukiem fal. Dawid Spencer podprowadził córkę do narzeczonego, ale po ceremonii ślubnej pierwsza chwyciła ją w ramiona Izabella Spencer. Objęła ją i ucałowała, po bladej twarzy spływały łzy, zapomniała o wszystkim, instynkt macierzyński zwyciężył.

- Rachelo, Rachelo, modlę się o twoje szczęście - szepnęła łamiącym się głosem.

Zebrani tłoczyli się radośnie, by składać życzenia młodej parze i Izabella znalazła się w kącie, gdzie wisały żagle i liny. Zobaczyła koło siebie Dawida Spencera. Mąż i żona spotkali się po raz pierwszy od dwudziestu lat. Izabelli zakołatało serce, drżała.

- Izabello! - usłyszała głos Dawida, pełen czułości i prośby, głos wielbiciela z dziewczęcych lat. - Czy nie możesz mi wybaczyć? Czy już za późno? Byłem niemądrym uparciuchem, ale przez te wszystkie lata bez przerwy myślałem o tobie i o małej. Tęskniłem do ciebie.

Izabella Spencer nienawidziła tego człowieka, ale ta nienawiść była sztucznym tworem. I teraz pod wpływem jego słów znikła, pojawiła się jawna miłość.

- Dawidzie... to była moja wina - wyjąkała i pocałunek męża zamknął jej usta.

Kiedy umilkła wrzawa, Izabella Spencer przemówiła do zebranych. Ona też wyglądała na oblubienicę, zarumieniała się, zabłyśły jej oczy.

- Teraz pójdziemy na kolację, tak będzie najrozsądniej - oświadczyła zwięźle. - Rachelo, twój ojciec też z nami pójdzie i już zostanie w domu. - Tu spojrzała wyzywająco. - No, ruszajmy.

Wszyscy ze śmiechem wracali przez pola wysrebrzone poświatą księżyca, który pojawił się nad wzgórzami. Młoda para pozostawała w tyle, oboje byli bardzo szczęśliwi, ale nie aż tak jak rodzice Racheli, którzy szybkim krokiem szli na czele orszaku. Dawid trzymał Izabellę za rękę, a ona chwilami nie widziała księżyca, gdyż łzy zamgłyły jej oczy.

- Dawidzie - westchnęła, gdy pomagał jej przejść przez płot. - Czy naprawdę potrafisz mi wybaczyć?

- Nie mam ci nic do wybaczenia - oznajmił. - Przed chwilą wzięliśmy ślub. Kto to widział, żeby pan młody miał żal do panny młodej? Zaczynamy nowe życie.



## CÓRECZKA JANKI

Kiedy pan Natan Patterson wjechał na podwórze, panna Rosetta Ellis z głową owiniętą kraciastym fartuchem, spod którego wзираły papiloty, trzepała właśnie dywany. Panna Rosetta widziała, jak pan Patterson wjeżdża na wzgórze, ale nie przypuszczała, że o tak wczesnej porze zechce złożyć jej wizytę. Zatem nie schowała się w domu. Panna Rosetta nie dopuszczała nigdy, by ktoś zobaczył ją w papilotach na głowie; nawet jeśli chodziło o sprawę życia i śmierci, gość musiał czekać, aż panna Rosetta się uczesze. Wiedzieli o tym wszyscy w Avonlea, zresztą w Avonlea wszyscy o wszystkich wiedzieli absolutnie wszystko.

Ale pan Patterson zjawił się tak szybko i niespodziewanie, że panna Rosetta nie zdążyła uciec. Z trudem udało jej się zachować spokój.

- Dzień dobry, panno Ellis - powiedział pan Patterson tak ponurym tonem, że od razu zrozumiała, że pojawił się jako zwiastun hiobowych wieści. Zazwyczaj okrągła twarz pana Pattersona promieniała jak księżyc w pełni, ale dziś malowała się na niej melancholia i przemawiał grobowym tonem.

- Dzień dobry - panna Rosetta odparła ochotczo i radośnie, nie zamierzała bowiem pograżać się w otchłani smutku, a w każdym razie nie przedtem, nim się dowie, o co chodzi. - Mamy dziś piękny dzień!

- Bardzo piękny - przyświadczył pan Patterson. - Zajrzałem przed chwilą do Wheelerów i muszę panią, panno Ellis, zawiadomić z żalem...

- Karolina zachorowała! - wykrzyknęła panna Rosetta. - Od dawna się tego spodziewałam! Wiedziałam, że do tego dojdzie. Kobieta, która nie potrafi usiedzieć w domu, musi dostać ataku serca. Ja nie wychodzę za furtkę, a wciąż widzę, jak ona gdzieś pędzi. Ciekawe, kto zajmuje się gospodarstwem? Nie ufałabym temu najemnemu parobkowi... Cóż, bardzo to uprzejmie z pana strony, panie Patterson, że przyjechał pan powiadomić mnie o chorobie siostry, ale naprawdę szkoda było fatygi. Pan, panie Patterson wie lepiej niż ktokolwiek, że nic mnie to nie obchodzi. Odkąd Karolina zwariowała i wyszła za mąż za tego podstępного nicponia Jakuba Wheelera... Pani Wheelerowa cieszy się dobrym zdrowiem - panu Pattersonowi udało się wreszcie przerwać potok słów panny Rosetty. - Nic jej nie jest. Przyjechałem powiedzieć pani...

- No to czemu utrzymywał pan, że zachorowała? Śmiertelnie się przeraziłam! - zawołała z oburzeniem panna Rosetta. - Ja też mam słabe serce, u nas to rodzinne i lekarz

ostrzegął mnie, żebym unikała nagłych wzruszeń. Więc nie zamierzam się wzruszyć, nawet gdyby Karolina miała dostać ataku. Niech pan nie próbuje mnie roztkliwić, panie Patterson.

- Święci pańscy, o czym pani mówi? - zaprotestował doprowadzony do rozpacz pan Patterson. - Przyjechałem powiedzieć pani...

- O czym? - spytała ponuro Rosetta. - Czy długo jeszcze zamierza pan trzymać mnie w niepewności? Pan, panie Patterson, ma pewnie mnóstwo czasu, ale ja nie!

Powiedzieć, że pani siostra, pani Wheelerowa, otrzymała list od waszej kuzynki, tej z Charlottetown, jak ona się nazywa? Chyba pani Roberts.

- Janina Roberts - wtrąciła panna Rosetta. - Przed ślubem nazywała się Janina Ellis. No i co napisała do Karoliny? To znaczy, mało mnie to obchodzi, nie interesuje mnie korespondencja Karoliny. Ale jeżeli Janka musiała napisać, to powinna napisać do mnie. Jestem starsza. Karolinie nie wolno przyjmować od niej listu nie zawiadamiając mnie. Zawsze była podstępna. Bez słowa uciekła z domu, by wyjść za tego nikczemnika Jakuba Wheelera...

Pani Roberts jest ciężko chora - panu Pattersonowi udało się wreszcie dojść do słowa, by powiedzieć, co miał do powiedzenia. - Ona umiera...

Janka chora! Janka umiera! - zawołała panna Rosetta. - Przecież zawsze była najzdrowsza w świecie. Co prawda nie widziałam jej, odkąd piętnaście lat temu wyszła za mąż. Pewnie z tego męża był brutal i to ją powoli wykończyło. Wiem, co myśleć o mężach! Proszę spojrzeć na Karolinę. Wszyscy wiedzą, jak traktował ją Jak Wheeler. Zasługiwała na to, tak, ale...

- Mąż pani Roberts nie żyje - powiedział pan Patterson. - Umarł dwa miesiące temu. A ona ma półroczne dziecko i pomyślała, że może pani Wheelerowa ze względu na dawną przyjaźń zechce...

- Czy Karolina prosiła, by pan mnie o tym zawiadomił? - spyta skwapliwie panna Rosetta.

- Nie, nic o pani nie wspominała, ale kiedy mi o tym opowiedziała, pomyślałem, że trzeba dać pani znać...

- Wiedziałam! - oświadczyła z goryczą panna Rosetta. - Z góry wiedziałam. Karolina sama nie zawiadomiłaby mnie o chorobie Janki. Karolina bałaby się, że zechce wziąć dziecko, przecież to ja byłam przyjaciółką Janki. I to ja mam do tego prawo. To ja jestem starsza I mam doświadczenie w wychowywaniu dzieci. Niech Karolina sobie nie wyobraża, że będzie rządziła naszą rodziną tylko dlatego, że wyszła za mąż.

- Muszę już jechać - oświadczył pan Patterson chwytając lejce.

- Jestem panu bardzo wdzięczna, że zawiadomił mnie pan o chorobie Janki, choć zmarnowałam przez pana mnóstwo czasu - oświadczyła panna Rosetta. - Gdyby nie pan, pewno bym się o tym w ogóle nie dowiedziała. Spakuję się i ruszam do miasta.

- Musi się pani pospieszyć, jeśli chce pani wyprzedzić panią Wheelerową - poradził pan Patterson. - Ona już się spakowała i jedzie jutro porannym pociągiem.

- Ja pojedę dziś, popołudniowym - odpowiedziała triumfalnie panna Rosetta. - Pokażę Karolinie, że nie będzie się rządziła u Ellisów. Wyszła za Wheelera, więc niech się trzyma Wheelerów. Jakub Wheeler był...

Ale pan Patterson już odjechał. Czuł, że spełnił swój obowiązek i nie chciał znów wysłuchiwać obelg pod adresem Jakuba Wheelera.

Rosetta Ellis i Karolina Wheeler od dziesięciu lat nie odzywały się do siebie. Przedtem były sobie bardzo oddane i mieszkały razem w domku Ellisów przy drodze do Białych Piasków; mieszkały tam od śmierci rodziców. Nieporozumienia zaczęły się, kiedy pojawił się Jakub Wheeler i ruszył w konkury do Karoliny, młodszej i ładniejszej z dwóch panien, które, szczerze mówiąc, przestały być już młode i ładne. Rosetta od początku ostro się temu małżeństwu sprzeciwiała. O Jakubie Wheelerze miała jak najgorsze zdanie. Złe języki utrzymywały, że to dlatego, iż wyżej wymieniony Jakub zaszczycił swymi względami nie tę siostrę, którą należało. Jakkolwiek by było, panna Rosetta głośno i zapalczywie utrudniała zaloty Jakuba. Wreszcie któregoś poranka Karolina po cichutku wymknęła się z domu i bez wiedzy panny Rosetty poślubiła Jakuba Wheelera. Panna Rosetta nigdy jej tego nie wybaczyła, a Karolina nie potrafiła jej zapomnieć słów, które padły, gdy przyszła ze świeżo poślubionym Jakubem do domu Ellisów. Odtąd między siostrami zapanowała wrogość. Panna Rosetta swoje pretensje do siostry głosiła wszem wobec, Karolina zaś nie wymówiła już nigdy imienia Rosetty. Nawet śmierć Jakuba Wheelera, która nastąpiła w pięć lat po ślubie, nie przyczyniła się do polepszenia stosunków.

Panna Rosetta wyjęła papiloty, spakowała walizkę i tak jak groziła, zdążyła na popołudniowy pociąg do Charlottetown. Przez całą drogę siedziała sztywno wyprostowana i w myślach wyklócała się z siostrą.

„Nie, Karolino Wheeler, nie dostaniesz dzieciaka Janki, mylisz się bardzo, jeśli sądzisz, że ci się to uda! No dobrze - zobaczymy. Choć wyszłaś za męża, nigdy nie miałaś do czynienia z dziećmi! A ja tak. Czy po śmierci żony Williama Ellisa nie wzięłam do domu ich dzidziusia? Co ty na to Karolino? I wychowałam go na zdrowego chłopca. Tak, Karolino Wheeler, nawet ty musisz przyznać, że mały był zdrowy i silny. A mimo to masz czelność zabiegać o dziecko Janki. Tak, to po prostu zwykła bezczelność! Czy nie pamiętasz, jak malec

William czepiał się mnie i płakał, kiedy ojciec ożenił się powtórnie i chciał go zabrać? Wiesz dobrze, że tak było, Karolino Wheeler. Możesz sobie robić, co chcesz, ale to ja wezmę dziecko Janki. Gdybym tak jak ty wykradła się z domu, by wziąć ślub, wstydziłabym się przez resztę życia spojrzeć ludziom w oczy”.

Panna Rosetta tak była zajęta prawieniem kazania Karolinie i planowaniem przyszłości dziecka Janki, że podróż do Charlottetown wcale jej się nie dłużyła. Szybko odszukała dom, w którym mieszkała jej kuzynka. Tam ku swemu przerażeniu dowiedziała się, że pani Robertsowa zmarła o czwartej po południu.

- Strasznie chciała doczekać wiadomości od krewnych z Avonlea - poinformowała pannę Rosettę jakaś kobieta. - Pisała do nich, czy by się nie zajęli jej córeczką. Jestem jej bratową, zamieszkała u mnie po śmierci męża. Robiłam dla niej, co mogłam, ale sama mi liczną rodzinę i nie mogę zatrzymać małej. Biedna Janka, tak czekaj żeby się pojawił ktoś z Avonlea, no i nie doczekała się. Strasznie nieboga nacierpiała, a taka była cierpliwa...

- Jestem jej kuzynką - oświadczyła panna Rosetta ocierając łzy - i przyjechałam po dziecko. Zaraz po pogrzebie zabiorę je do domu, ale chciałabym, pani Gordon, żeby do mnie przywykła. Nieszczęsna Janka. Tak żałuję, że nie zdążyłam jej zobaczyć, kiedyś bardzośmy się przyjaźniły. Byłam z nią bliżej niż Karolina i Karolina dobrze o tym wie.

Zdanie to ogromnie zaskoczyło panią Gordon, która w ogóle . wiedziała, o co chodzi. Zaraz jednak zaprowadziła pannę Rosettę pokoju, w którym spało dziecko.

- Kochane maleństwo! - zawołała panna Rosetta i przestała być zdziwaczalą starą panną, a twarz jej rozpromieniła się macierzyński uczuciem. - Jaki to rozkoszny dzidzius!

Dzidzius był rzeczywiście słodki, złociste loczki okalały małą główkę. Kiedy panna Rosetta nachyliła się nad kołyską, mała otworzyła oczka i z pełnym zaufaniem wyciągnęła do niej rączki.

- Moje śliczności! - szepnęła z zachwytem panna Rosetta biorąc dziewczynkę na rękę. - Teraz należysz do mnie, kochanie, a nie do tej podstępnej Karoliny! Pani Gordon, jak ona ma na imię?

- Jeszcze nie ma imienia - odparła pani Gordon. - Może ją pani nazwać, jak pani chce.

- Będzie się nazywała Kamilla Janina - oświadczyła bez namysłu panna Rosetta. - Janina po matce, a imię Kamilla zawsze uważałam za najładniejsze. Karolina na pewno wymyśliłaby jej jakieś pogańskie imię. Gotowa by to niebożątka nazwać na przykład Penelopą.

Panna Rosetta postanowiła zostać w Charlottetown aż do pogrzebu. Tej pierwszej nocy leżała z dzieckiem w ramionach i ze wzruszeniem wsłuchiwała się w jego oddech.

Wolała rozmyślać niż zdać się na łaskę snów. A od czasu do czasu wykrzykiwała jakąś złośliwość pod adresem Karoliny.

Oczekiwała, że ta pojawi się skoro świt i przygotowała się do utarczki. Ale Karolina nie pojawiła się. Ani rano, ani wieczorem, ani następnego dnia. Panna Rosetta nie wiedziała, co o tym myśleć.

Co się stało? Czyżby Karolina dostała ataku serca dowiedziawszy się, że ona pierwsza dotarła do Charlottetown? Było to zupełnie możliwe. Wszystkiego można było oczekiwać po kobiecie, która poślubiła Jakuba Wheelera!

Tymczasem zdarzyło się zupełnie coś innego, a mianowicie zaraz po wyjeździe panny Rosetty parobek pani Jakubowej Wheeler złamał nogę i trzeba było odesłać go do odległego domu. A pani Wheelerowa nie mogła się ruszyć, póki nie znalazła innego parobka. I do Charlottetown dotarła dopiero wieczorem po pogrzebie, a kiedy wchodziła do domku Gordonów, spotkała pannę Rosettę niosącą biały becik.

Spojrzały na siebie spod oka. Na twarzy panny Rosetty malował się triumf obok żałobnego smutku. Twarz pani Wheelerowej nie wyrażała jak zwykle nic - tylko oczy były wymowne. Pani Wheelerowa nie przypominała w niczym wysokiej, tłustej, jasnowłosej panny Rosetty, była mała, ciemna, chudziutka i miała zatroskaną twarz.

- Co z Janką? - spytała, po raz pierwszy od dziesięciu lat odzywając się do siostry.

- Zmarła biedaczka i właśnie pochowaliśmy ją - oświadczyła spokojnie panna Rosetta.

- Zabieram do domu małą Kamillę Janinę.

- Ta mała należy do mnie! - krzyknęła porywczo pani Wheelerowa. - Janka mi ją powierzyła. Tak napisała. Właśnie po nią przyjechałam.

- To wrócisz bez niej - odparła panna Rosetta, spokojna, że posiadanie to dziewięć dziesiątych prawa. - Mała jest moja i pozostanie moja. Musisz się z tym pogodzić, Karolino Wheeler. Zresztą nie należałoby powierzać dziecka kobiecie, która uciekła z domu, by wyjść za mąż. Jakub Wheeler...

Ale pani Wheelerowa przebiegła obok niej i wpadła do domu. Panna Rosetta spokojnie wsiadła do dorożki i pojechała na dworzec. Zadzierała triumfalnie głowę, a jednocześnie radowała się potajemnie, że po raz pierwszy od lat przemówiła do niej siostra. Panna Rosetta nigdy by się do tego nie przyznała, ale naprawdę się cieszyła.

Panna Rosetta z Kamillą Janiną w ramionach bezpiecznie dojechała do Avonlea i w ciągu dziesięciu godzin cała wieś dowiedziała się, co zaszło, i każda kobieta, która mogła się utrzymać na nogach, odwiedziła domek Ellisów, by obejrzeć dziecko. Pani Wheelerowa po dwudziestu czterech godzinach wróciła z Charlottetown i zaszła się w domu. Kiedy sąsiedzi

wyrażali jej swoje współczucie, nic nie odpowiadała, ale czuło się, że jest gotowa na wszystko. W tydzień później pan William Blair, sklepikarz z Carmody, opowiedział swym klientom dziwną historię. Oto pani Wheelerowa przysłała do sklepu i kupiła wiele metrów cienkiej flanelki i muślinu, i koronek. Na co jej to mogło być potrzebne? Pan William Blair na próżno się nad tym zastanawiał i wcale mu się to nie podobało. Dotąd zawsze wiedział, czemu ma służyć kupiony u niego przedmiot.

Panna Rosetta już od miesiąca rozkoszowała się obecnością małej Kamilli. Czuła się tak szczęśliwa, że już nawet przestała obrzucać inwektywami swoją siostrę. Dotąd każda rozmowa z nią zbaczała na temat Jakuba Wheelera, teraz zastąpiła go Kamilla i wszyscy uznali to za duży postęp.

Któregoś popołudnia panna Rosetta zostawiła w kuchni śpiącą w kołysce Kamillę i pobiegła na koniec ogródka nazrywać porzeczek. Kępa czereśni zasłaniała dom, ale panna Rosetta zostawiła w kuchni otwarte okno, by usłyszeć, jeśli mała obudzi się i zacznie płakać. Panna Rosetta podśpiewywała. Po raz pierwszy od czasu, gdy Karolina wyszła za Jakuba Wheelera, czuła się szczęśliwa, tak szczęśliwa, że w jej sercu nie było już miejsca na gniew. Rozmyślała o przyszłości, wyobrażała sobie Kamillę jako urzekającą i śliczną młodą panienkę.

„Będzie piękna - cieszyła się. - Janka była przecież ładną dziewczyną. Sprawię jej mnóstwo wytwornych sukienek, kupię organy, będzie się uczyła grać i malować. Kiedy skończy osiemnaście lat, urządzę bal i dostanie najmodniejszą suknię. Już się tego nie mogę doczekać, choć z drugiej strony jest teraz taka słodka, że chciałoby się, by na zawsze pozostała małym dzieckiem”.

Kiedy panna Rosetta wróciła do kuchni, zobaczyła pustą kołyskę. Kamilla Janina znikła.

Panna Rosetta wydała okrzyk rozpacz. Od razu wiedziała, co się stało. Półroczne dziecko nie wyłazi samo z kołyski i nie otwiera sobie zamkniętych drzwi.

- To Karolina - jęknęła panna Rosetta. - Karolina wtargnęła tu i ukradła Kamillę. Tego należało się spodziewać. Powinnam się była domyślić, kiedy dowiedziałam się, że kupiła muślin i flanelkę. To do niej podobne. Ale ja jej pokażę. Przekona się, że ma do czynienia z Rosetą Ellis, nie z tymi swoimi Wheelerami.

Zapomniała o papilotach i jak oszalała zbiegła ze wzgórza kierując się w stronę farmy Wheelerów, choć zawsze twierdziła, że jej noga tam nie postanie.

Wiatr wiał od łądu i pomarszczył powierzchnię zatoki. Drobne chmurki rzucały cienie na błękitną wodę.

Szary domek stojący tak blisko morza, że podczas sztormów fale zalewały schodki, wyglądał na pusty. Panna Rosetta zaczęła łomotać do drzwi. Bez rezultatu. Obeszła więc domek dookoła i zastukała do kuchennych drzwi. Żadnej odpowiedzi. Panna Rosetta nacisnęła klamkę. Drzwi były zamknięte.

- Oho, ma nieczyste sumienie i nie otwiera - prychnęła panna Rosetta. - Cóż, choćbym miała całą noc spędzić na tym podwórzu, doczekam się tej podłej Karoliny.

Panna Rosetta była do tego na pewno zdolna, ale okazało się to niepotrzebne. Gdy zajrzała przez okno kuchni, poczuła, jak serce wzbiera jej gniewem, gdyż przy stole siedziała spokojnie Karolina trzymając na kolanach Kamillę. Obok stała ozdobiona muślinem kołyska, a na krześle leżała sukieneczka, w którą panna Rosetta rano ubrała małą. Teraz Kamilla miała na sobie nowe szatki i wyglądała na zadowoloną z życia. Śmiała się i gruchała usiłując tłustą łapką dotknąć twarzy Karoliny.

- Karolino Wheeler! - krzyknęła panna Rosetta stukając w szybę. - Przyszłam po małą. Natychmiast mi ją oddaj! Jak śmiałaś wkraść się do mojego domu i zabrać dziecko? Jesteś zwykłą włamywaczką. Oddaj mi zaraz moją Kamillę Janinę.

Karolina podeszła do okna trzymając małą w ramionach, a w jej oczach błyszczał triumf.

- Nie ma w tym domu dziecka, które nazywałoby się Kamilla - oświadczyła. - To jest Barbara Janina i należy do mnie.

I pani Wheelerowa spuściła żaluzję.

Panna Rosetta musiała jak niepyszna wrócić do domu. Nic jej innego nie pozostało. Wracając spotkała pana Pattersona i opowiedziała mu całą historię. Przed wieczorem znało ją całe Avonlea i wywołała ona sensację. Od dawna już nie zdarzyła się taka pyszna okazja do plotek.

Przez sześć tygodni pani Wheelerowa radowała się posiadaniem Barbary Janiny, a panna Rosetta usychała z tęsknoty i próbowała coś wymyślić, by odzyskać małą. I ona z kolei próbowałaby ją ukraść, ale wyglądało to beznadziejnie. Wiedziała od parobka pani Wheelerowej, że pani Wheelerowa nie spuszcza małej z oczu ani w dzień, ani w nocy. Nawet idąc doić krowy zabiera ze sobą dziecko.

- Ale przyjdzie jeszcze moja kolej - powtarzała ponuro panna Rosetta. - Kamilla Janina jest moją Kamillą i nic nie zmieni tego faktu, choćby przez sto lat przezywano ją Barbarą. Barbara, coś podobnego! Mogłaby ją od razu nazwać Matuzalemem.

Któregoś popołudnia, kiedy panna Rosetta zrywała jabłka i rozmyślała smętnie o utraczonej Kamilli, wbiegła na podwórze zdyszana kobieta. Panna Rosetta aż krzyknęła ze

zdziwienia i upuściła koszyk z jabłkami. Coś takiego! Tą kobietą była Karolina, która nie pojawiała się tutaj od dziesięciu lat, załamująca ręce Karolina z rozwianym włosom i przerażonymi oczyma. Panna Rosetta wybiegła jej naprzeciw.

- Pewnie poparzyłaś Kamillę! Wiedziałam, że tak się stanie!

- Na litość Boską, Rosetto, chodź - wyjąkała Karolina. - Barbara dostała konwulsji. Nie wiem, co robić. Posłałam parobka po lekarza. Ty mieszkasz najbliżej, więc przyleciałam do ciebie! Zostawiłam małą z Jenny, która akurat wpadła. Błagam cię. Rosetto, jeśli masz Boga w sercu, to ze mną pójdiesz. Pamiętam, jak wyleczyłaś z konwulsji malca Ellisów. Błagam cię, ocal życie Barbary Janiny.

- Masz na myśli Kamillę Janinę? - spytała bardzo poruszona, ale nieugięta panna Rosetta.

Karolina Wheeler zawahała się. Ale zaraz zawołała porywcz.

- Tak, tak, Kamillę, możesz ją nazwać, jak chcesz. Tylko chodź!

Panna Rosetta przysła dosłownie w ostatniej chwili. Dziecko było w okropnym stanie, a lekarz mieszkał o osiem mil stamtąd. Obie kobiety z pomocą Jenny White przez wiele godzin nie ustawały w wysiłkach. Kiedy mała usnęła, było już ciemno. Lekarz wyszedł oświadczywszy pannie Rosette, że ocaliła życie Kamilli. Wtedy dopiero siostry uświadomiły sobie sytuację, w jakiej się znalazły.

- Cóż - westchnęła z ulgą panna Rosetta opadając na fotel - przyznasz chyba sama. Karolino Wheeler, że nie jesteś osobą, której można powierzyć dziecko. A ty je ukradłaś. Mam nadzieję, że czujesz wyrzuty sumienia, o ile oczywiście kobieta, która mogła ukradkiem poślubić Jakuba Wheelera, wie, co to sumienie i...

- Tak strasznie pragnęłam tego dziecka - łkała Karolina. - Czułam się tu taka sama... I przecież Janka powierzyła je w liście mojej opiece. Ale ty, Rosetto, ocaliłaś mu życie, więc masz prawo je zabrać, choć złamie mi to serce. Tylko pozwól mi czasem przyjść i zobaczyć tę moją maleńką. Tak bardzo ją kocham.

- Karolino - oświadczyła stanowczo panna Rosetta. - Najmądrzej będzie, jeśli razem z małą wrócisz do domu. Zaharowywałaś się na śmierć, żeby utrzymać tę zadłużoną farmę. Sprzedaj ją i wracaj. I razem zajmujemy się Kamillą.

- Tak, tak, Rosetto - bąkała Karolina. - Od dawna... od dawna już marzyłam, żeby się z tobą pogodzić. Ale byłaś taka sroga, że bałam się próbować.

- Niewykluczone, że zbyt wiele gadałam - przyznała panna Rosetta - ale powinnaś mnie na tyle znać, żeby wiedzieć, że to nic nie znaczy. Byłam wściekła, bo żeby nie wiem co mówiła, ty na to nie odpowiadałaś. Puśćmy wszystko w niepamięć i wracajmy do domu.



- Tak, wróć - zdecydowanym tonem odrzekła Karolina. - Obrzydła mi samotność i tarapaty z parobkami. Jak najchętniej, Rosetto, wróć do domu, mówię ci szczerą prawdę. Przeżyłam wiele ciężkich chwil. Powiesz pewnie, że na to zasłużyłam, ale pokochałam Jakuba i...

- Jasne, jasne. Dlaczego nie miałybyś pokochać? - chętnie zgodziła się panna Rosetta.  
- Nie wątpię, że Jakub Wheeler, choć z lekka pomyłony i leniwy, był jak najlepszym człowiekiem. Nikomu nie dam powiedzieć o nim złego słowa. Spójrz na tę maleńką, Karolino. Czyż nie jest to najśłodsze dziecko na świecie? Strasznie się cieszę, że wracasz. Odkąd uciekłaś, nie jadłam porządnej marynaty, a ty jesteś specjalistką od marynat. Teraz znów będziemy żyć w zgodzie i spokoju - ty, ja i nasza mała Kamilla Barbara Janina.

## ZJAWA

Wiosną wszystkim, każdemu mężczyźnie i każdej kobiecie, powinno być lekko na sercu. Pojawia się duch zmartwychwstania i puka promiennymi palcami do wrót zimowego grobowca, gdzie spoczywa życie ziemi. Budzi radość, jaką znaliśmy w latach dzieciństwa. A dusze ludzkie, jeżeli tylko zechcą, mogą się zbliżyć do Boga na odległość wyciągniętej ręki. Nadchodzi cudowny czas nowo narodzonego życia, wpadamy w zachwyty podobny ekstazie aniołka, kiedy aż klaskał widząc dzieło stworzenia świata. A przynajmniej tak powinno być i jeśli chodzi o mnie, tak było aż do tej wiosny, kiedy w naszym życiu pojawiła się zjawia chłopca.

Tego roku ja, który zawsze wiosną kochałem, znienawidziłem ją. Kochałem ją jako chłopak, kochałem jako młody mężczyzna. To wiosną zakwitło moje szczęście. To wiosną pokochaliśmy się z Józefiną, a w każdym razie uświadomiliśmy sobie naszą miłość. Sądzę, że naprawdę kochaliśmy się od dzieciństwa, a każda kolejna wiosna pogłębiała nasze uczucia, aż tej, najpiękniejszej, zrozumieliśmy, co czujemy.

Jakże ta wiosna była piękna. I jakże piękna była moja Józefina. Myślę, że w oczach każdego zakochanego jego wybranka jest najcudowniejszą dziewczyną, inaczej cóżby był z niego za kochanek? Józefina była wiotka jak trzcina, wdzięk jej był wdziękiem młodej gołąbicy. Ciemne faliste włosy okalały twarz jak aureola, błękitne oczy przypominały bezchmurne niebo w czerwcowy dzień. Rzęsy były czarne i długie, czerwone usteczka drżały, gdy się smuciła i radowała, a także wówczas, gdy wymawiała słowa miłości. I wtedy wprost musiałem ją całować. Pobraliśmy się następnej wiosny i zabrałem ją do mojego starego szarego domostwa nad brzegiem szarej zatoki. Mieszkańcy Avonlea uważali, że młodej oblubienicy będzie tam doskwierać samotność. Ale tak się nie stało. Józefina czuła się tam szczęśliwa nawet podczas mojej nieobecności. Pokochała burzliwą zatokę i przestwór mglistego morza. Pokochała przypyły oceanu i mewy, i pomruk fal, i świst wichrów w jodłowym lesie, i spokojne noce, kiedy gwiazdy zdawały się kąpać w morzu. Pokochała to wszystko tak, jak kochałem to ja. Nie, nigdy nie skarżyła się na samotność.

Nadeszła trzecia wiosna i narodził się nasz syn. Cały czas uważaliśmy się za szczęśliwych, ale teraz zrozumieliśmy, czym jest prawdziwe szczęście. Sądziliśmy już przedtem, że nasza miłość jest doskonała, ale gdy zobaczyłem bladą i ściągniętą twarz żony po przebytym bólu i spojrzalem w jej oczy zasnutę łzami, lecz pełne blasku macierzyństwa,

uświadomiłem sobie, że dopiero narodziny naszego syna przyniosły pełnię uczucia. A dochodziła do niego radość i duma ojcostwa.

Kiedyś moja żona powiedziała:

- Odkąd mały przyszedł na świat, wydaje mi się, że wszystkie moje myśli stały się czystą poezją.

Nasz syn żył dwadzieścia miesięcy. Był ruchliwym krzepkim łobuziakiem, stale śmiał się i psocił, kiedy więc nagle zachorował i po godzinie umarł - wydawało się to zupełnie niemożliwe.

Myszę, że przeżyłem śmierć synka tak ciężko, jak może to przeżyć mężczyzna. Ale serce ojca jest czymś innym niż serce matki. Czas nie goił ran Józefiny, gryzła się i usychała z żalu, zapadły się jej policzki, zbladły usta. Miałem nadzieję, że odżyje z wiosną. Wierzyłem, że kiedy zazieleni się ziemia, mewy powrócą nad szarą zatokę, a jej szarość rozżłoci się blaskiem, znów zobaczę uśmiech mojej żony. Ale kiedy nadeszła wiosna, pojawiła się ta senna mara - zjawą chłopca i odtąd strach towarzyszył mi od zachodu słońca do zachodu słońca.

Którejś nocy obudziłem się i poczułem, że jestem sam. Zacząłem nadłuchiwać, czy żona krząta się po domu. Dobięł mnie tylko plusk fal i cichy szum odległego oceanu.

Wstałem i przeszukałem dom. Józefiny nie było. Nie wiedziałem, gdzie może być, ale na los szczęścia ruszyłem brzegiem zatoki.

Błada poświata księżycy okryła ziemię. Przystań wyglądała jak duch, a noc była zimna i nieruchoma jak twarz zmarłego człowieka. Wreszcie spostrzegłem żonę, szła brzegiem zatoki. Od razu wiedziałem, że moje najgorsze obawy sprawdziły się.

Kiedy zbliżyła się do mnie, zobaczyłem, że płakała; twarz poplamiona była łzami, ciemne włosy zwisały w nieładzie. Wyglądała na bardzo zmęczoną, chwilami załamywała ręce.

Ujrzawszy mnie, nie okazała zdziwienia, tylko wyciągnęła ku mnie ręce, jakby uradował ją mój widok.

- Pobiełam za nim, ale nie mogłam go dogonić - powiedziała łkając. - On był wciąż o parę kroków przede mną. A potem zniknął - i zawróciłam. Wierz mi, zrobiłam, co mogłam... Jestem taka zmęczona...

- Józiu, kochanie, o czym ty mówisz? - spytałem przytulając ją do siebie. - Dlaczego wyszłaś po nocy z domu? I to sama!

Spojrzała na mnie ze zdumieniem.

- Przecież musiałam. Wołał mnie.

- Kto cię wołał?

- Chłopiec - odpowiedziała szeptem. - Nasze dziecko. Obudziłam się i usłyszałam, jak woła mnie w ciemnościach. Tak smutno zawodził, musiało mu być zimno, bał się i wzywał matki. Wybiegłam, ale nie mogłam go znaleźć. Ale słyszałam szloch i biegłam za nim brzegiem. W świetle księżycy zobaczyłam, jak kiwa na mnie rączką. Ale nie mogłam go dogonić. A potem płacz ustał i byłam zupełnie sama na tym zimnym szarym brzegu. Ogarnęło mnie straszne znużenie i zawróciłam do domu. To okropne, że go nie odszukałam. Może on nawet nie wie, że próbowałam go znaleźć? Myśli, że jego matka nie odpowiedziała na wołanie. Nie zniosę tego.

- To był zły sen, kochanie - powiedziałem. Staralem się mówić naturalnym tonem, ale nie było to łatwe.

- Nie, to nie był sen - odparła z wymówką w głosie. - Mówię ci, że mnie wołał. Mnie - matkę! Musiałam pójść. Nie rozumiesz tego - ty jesteś tylko ojcem. Nie ty go urodziłeś. To ja urodziłam go w bólu i męce. Ciebie nie wołał - wzywał matkę.

Zaprowadziłem ją do domu, położyłem do łóżka, nie protestowała i wkrótce zasnęła, zupełnie wyczerpana. Czuwałem, a wraz ze mną czuwał mój strach.

Kiedy żeniłem się z Józefiną, jedna z tych natrętnych krewnych, dla których małżeństwo jest powodem do plotek, opowiedziała mi, że babka Józefiny pod koniec życia postradała zmysły. Tak rozpacziała po śmierci ukochanego dziecka, że odebrało jej rozum. A pierwszą tego oznaką było pojawianie się jej i nawołujące ją dziecko.

Wtedy śmiałem się z tego. Owe ponure stare dzieje nie miały nic wspólnego z wiosną, miłością i Józefiną. Ale teraz przypomniałem to sobie i powiększyło to moje przerażenie. Czyżby podobny los miał spotkać moją żonę? Strach było pomyśleć. Była tak młoda i słodka, i dziewczęca. Nie, to był tylko zły sen, z którego nie mogła się przebudzić. A przynajmniej tak się pocieszałem.

Kiedy rano Józefina wstała, nie wspomniała słowem o nocnych wydarzeniach, a ja nie ośmieliłem się zacząć o tym mówić. Była pogodniejsza niż dotychczas i żwawo krzątała się po domu. Przestałem się bać. Tak, to był tylko zły sen. Upewniłem się o tym, gdy dwie następne noce upłynęły spokojnie.

Ale trzeciej nocy znów wezwała Józefinę zjawą chłopca. Obudziłem się i zobaczyłem, że gorączkowo się ubiera.

- Woła mnie! - krzyknęła. - Nie słyszysz? Ty go nie słyszysz? Tak, woła cicho, ale strasznie żałośnie. Już, kochanie, mama zaraz nadejdzie. Poczekaj. Grzeczny chłopczyk poczeka na swoją mamusię.

Wziąłem ją za rękę i dałem się prowadzić. Poszliśmy za zjawą dziecka na brzeg zatoki. Cały czas utrzymywała, że słyszy wołanie. Błagała chłopca, by na nią poczekał, płakała i błagała najczulszymi matczynymi słowami. Wreszcie przestała słyszeć jego głos i szlochając pozwoliła mi zabrać się do domu.

Piękna wiosna zamieniła się w koszmar. Niemal co noc zjawia chłopca wzywała matkę i biegaliśmy po szarym brzegu nie ustając w poszukiwaniach.

W dzień Józefina zachowywała się normalnie, ale gdy zapadała noc, zaczynała się niespokojnie wiercić, póki nie usłyszała wołania. I wtedy wybiegała, choćby nawet szalała burza. Były to potworne wyprawy, ona usiłowała dogonić zjawę, a ja z rozpaczą w sercu czuwałem nad jej bezpieczeństwem, a potem zapłakaną zabierałem do domu.

Brzemię to dźwigałem w ukryciu, nie chciałem, by rozpętały się plotki. Nie mieliśmy bliskich krewnych - nikogo, kto miałby prawo dzielić nasze nieszczęście, zatem milczałem, ból bywa często dumny.

Uznałem jednak, że powinienem się poradzić lekarza i podzieliłem się sekretem z naszym starym doktorem. Usłyszawszy moją opowieść zasepił się; nie podobała mi się jego mina ani kilka ostrożnych uwag. Oświadczył, że na nic się tu nie zda jego pomoc, Józefinę może uleczyć tylko czas, a ja nie powinienem się jej sprzeciwiać, tylko pilnie strzec. Tego nie musiał mi mówić.

Minęła wiosna i nadeszło lato. Groza rosła. Wiedziałem, że ludzie zaczęli szeptać. Widywano nas podczas nocnych wędrówek i patrzono na nas z litością.

Któregoś ponurego deszczowego popołudnia znów odezwała się zjawia chłopca. Wiedziałem, że zbliża się koniec. Sześćdziesiąt lat temu kryzys nastąpił wówczas, gdy babce Józefiny zjawia ukazała się w dzień. Kiedy opowiedziałem to lekarzowi, oznajmił, że muszę zatrudnić pielęgniarkę. Sam nie dam rady pilnować Józefiny i w dzień, i w nocy. Mnie też grozi załamanie.

Nie zgadzałem się z nim. Wierzyłem w siłę miłości. I byłem zdecydowany, że nie dopuszczę, by zabrano moją żonę do szpitala.

Nigdy nie rozmawiałem z nią o zjawie chłopca. Sprzeciwił się temu lekarz. Wpłynęłoby to tylko na pogłębienie jej urojeń. Wspomniał o szpitalu. Spojrzałem na niego tak, że zaraz umilkł.

Pewnego sierpniowego wieczoru po upalnym dusznym dniu nastąpił mroczny zachód słońca. Morze nie było błękitne, lecz przeraźliwie czerwone. Stałem przed domem na brzegu, póki się zupełnie nie ściemniło. Zza zatoki dobiegało bicie dzwonów. W kuchni

nuciła żona. Ostatnio często wpadała w podniecenie i śpiewała stare piosenki. Ale w tym śpiewie było coś dziwnego, krył się bolesny krzyk. Przykro było jej słuchać.

Kiedy wróciłem do domu, zaczęło padać, ale w powietrzu panowała przeraźliwa cisza, jakby świat wstrzymywał oddech oczekując katastrofy.

Józefina stała koło okna wyglądając i nad słuchując. Próbowałem namówić ją, by się położyła, ale ona pokręciła przecząco głową.

- Gotowa jestem usnąć i nie usłyszeć jego wołania - powiedziała. - Boję się spać. On będzie mnie wzywał i pomyśli, że matka go zawiodła.

Wiedziałem, że nic nie poradzę, usiadłem przy stole i próbowałem czytać. Minęły trzy godziny. Kiedy zegar wybił północ, ona zerwała się, w jej oczach pojawił się dziki błysk.

- Woła! - krzyknęła. - Boi się sztormu. Tak, kochanie, idę! Otworzyła drzwi i zbiegła ścieżką na brzeg. Chwyciłem latarnię i pospieszyłem za nią. Była to najczarniejsza noc, jaką widziałem w życiu, czarna jak śmierć. Łało. Dogoniłem Józefinę, wziąłem ją za rękę i szliśmy potykając się, ale bardzo szybko. Mały krąg światła latarni zdawał się nas bronić przed strasznymi, niemymi ciemnościami.

- Gdybyż choć raz udało mi się go dogonić - łkała Józefina. - Ucałować go i przytulić do serca. Wtedy może opuściłby mnie ten nieznośny ból. Maleńki, poczekaj na mamę! Idę do ciebie. Posłuchaj, Dawidzie, jak on płacze. Słyszysz?

I usłyszałem. Odległy żałosny płacz. Co to? Czyżbym ja także postradał zmysły, czy też naprawdę ktoś płakał i nawoływał szukając ludzkiej miłości i chowając się na odgłos ludzkich kroków. Nie jestem przesądny, niemniej długa udręka osłabiła mój system nerwowy. Ogarnęło mnie przerażenie. Cały się trząsałem, z czoła spływał zimny pot, marzyłem o jednym, by zawrócić i uciec. Ale Józefina mocno trzymała mnie za rękę i szła naprzód. Wciąż słyszałem ten płacz. Ale coraz głośniejszy i bliżej.

I nagle zobaczyliśmy wyrzucone przez przyływ na brzeg maleńkie czółno. A w czólnie było dziecko - chłopczyk, może dwuletni, który po pas stał w wodzie, duże błękitne oczy były oszalałe z przerażenia, blada buzia poplamiona łzami. Kiedy nas dostrzegł, znów zapłakał i wyciągnął ręce. Opuścił mnie strach. To było żywe dziecko. Nie zastanawiałem się, skąd mogło się tu znaleźć. Wystarczyło mi, że płacz nie był płaczem ducha.

- Biedne maleństwo! - zawołała moja żona.

Nachyliła się nad czólnem i wzięła chłopaczka w ramiona. Jego długie jasne włoski opadły jej na ramię, przytuliła jego buzię do własnej twarzy i owinęła go szalem.

- Daj mi go, kochana - poprosiłem. - Jest cały mokry i za ciężki dla ciebie.

- Nie, nie, to ja muszę go zanieść do domu. Nareszcie moje ramiona nie są puste. Dawidzie, ten straszny ból ustał. Ten mały pojawił się, żeby zająć miejsce naszego synka. Bóg mi go zesłał. Cicho, maleńki, zaraz będziemy w domu.

Milcząc poszedłem za nią. Zerwał się wiatr, groźny i porywisty, nadchodził sztorm, ale zdążyliśmy się przed nim schronić. Kiedy zamykaliśmy drzwi, burza zaatakowała dom z rykiem rozjuszonych bestii. Dziękowałem Bogu, że nie jesteśmy na wybrzeżu, że nie gonimy zjawy chłopca.

- Najpierw muszę się zająć dzieckiem - oświadczyła stanowczo. - Przecież widzisz, że jest wyczerpany i zziębnięty. Dawidzie, rozpal szybko ogień, a ja poszukam ubranka.

Musiałem się zgodzić. Przyniosła rzeczy naszego synka, wytarła malca, przebrała go, uczesała, śmiejąc się i tuląc go do siebie. Znow była dawną Józefiną.

Ja czułem się zupełnie oszołomiony. Zadawałem sobie tysiąc pytań. Czyje to mogło być dziecko? Skąd wzięło się w tej łódce? Co to wszystko znaczy?

Było to ładne dziecko; jasne, różowe i pulchne. Kiedy zostało nakarmione, usnęło w ramionach Józefiny. Nachylała się nad nim z zachwytem. Z trudem namówiłem ją, by się z nim na chwilę rozstała i przebrała. Ona nie zastanawiała się, czyje to może być dziecko i skąd się znalazło na brzegu. Tego malca przysłało jej morze, zaprowadziła ją do niego zjawa chłopca, mocno w to wierzyła i nie ośmieliłem się podważać tej wiary. Położyła się spać z malcem w ramionach, a jej twarz we śnie była znow twarzą młodej dziewczyny, spokojną i beztroską.

Oczekiwałem, że rano ktoś pojawi się szukając dziecka. Doszedłem do wniosku, że malec musiał mieszkać w Zatoczce z drugiej strony zatoki, gdzie znajdowała się rybacka wioska. Cały dzień, kiedy Józefina bawiła się z małym, nadśluchiwałem kroków. Ale nikt nie przyszedł. Mijały dni i wciąż panowała głucha cisza.

Zupełnie nie wiedziałem, co myśleć. Co powinienem zrobić? Wzdragałem się przed myślą, że trzeba będzie oddać malca. Odkąd znaleźliśmy go - zniknęła zjawa chłopca. Moja żona wróciła z niebezpiecznej krainy. Teraz była już zawsze sobą, pogodna i uśmiechnięta oddawała się nowym obowiązkom macierzyńskim. Dziwne było jedno - tak spokojnie przyjęła to wydarzenie, jakby było czymś najnormalniejszym w świecie. Nie zastanawiała się, czyje to może być dziecko, nie przyszło jej na myśl, że ktoś może je nam odebrać, i nazywała je imieniem naszego synka.

Po tygodniu wybrałem się do naszego starego doktora.

- Dziwna sprawa - powiedział z namysłem. - Tak, musi to być dziecko ze Świerkowej Zatoczki. Nie rozumiem jednak, jak się to stało, że nikt go nie poszukuje. Ale na pewno da się

to łatwo wytłumaczyć. Radzę panu wybrać się do Zatoczki. Kiedy odszuka pan rodziców lub opiekunów dziecka, powinien pan ich ubłagać, żeby na jakiś czas powierzyli wam malca. Ten chłopiec ocalił pańską żonę. Widywałem takie przypadki. Tamtej nocy nastąpił kryzys. Byle drobiazg mógł ją wtrącić w ciężką chorobę, ale mógł ją też uleczyć. Wierzę, że zdarzyło się to ostatnie i jeżeli przez jakiś czas będzie mogła cieszyć się obecnością dziecka - dojdzie do siebie.

Tego samego dnia objechałem dokoła zatokę. Pierwszą osobą, którą spotkałem w Świerkowej Zatoczce, był stary Abel Blair. Spytałem go, czy w okolicy nie zaginęło żadne dziecko. Spojrzał na mnie ze zdziwieniem, pokręcił przecząco głową i oświadczył, że nic takiego nie miało miejsca. Nie zwierzałem mu się, opowiedziałem tylko, że spacerując z żoną po wybrzeżu znaleźliśmy czółno, a w nim chłopca.

- Zielone czółno! - wykrzyknął. - Tydzień temu znikło stare zielone czółno Bena Forbesa, ale było tak zbutwiałe, że nawet go nie szukał. Ale to dziecko? Nic nie rozumiem. Jak ono wygląda?

Opisałem możliwie dokładnie chłopca.

- Wygląda na małego Harry'ego Martina - zauważył stary Abel. - Ale to niemożliwe. Albo coś tu śmierdzi. Zeszłej zimy umarła żona Jakuba Martina, a wkrótce potem on sam. Zostało po nich dziecko - i niewiele poza tym. Chłopca wzięła przyrodnia siostra Jakuba, Magda Fleming. Też mieszkała w Zatoczce, ale źle o niej mówiono. Ludzie oburzali się, bo skandalicznie zaniedbywała malca. Wiosną zaczęła mówić, że wyjedzie do Stanów. Podobno ofiarowano jej w Bostonie dobrą posadę, więc pojedzie i zabierze z sobą małego Harry'ego. I pojechała w sobotę. Ostatni raz widzieliśmy ją, jak szła na dworzec niosąc chłopca. I nie zaprzataliśmy tym sobie więcej głowy. Pomyśleć, że pewnie wsadziła tego niewinnego malca do zbutwiałego czółna i posłała na pewną śmierć... Nie, z Magdy był wyciruch, ale w to trudno mi uwierzyć.

- Proszę przyjść do nas i zobaczyć, czy poznaje pan dziecko - poprosiłem. - Jeśli jest to Harry Martin, zatrzymamy go. Żona ciężko przeżyła śmierć naszego synka, a tego malca już pokochała.

Stary Abel przyszedł i rozpoznał Harry'ego Martina.

Harry pozostał z nami. Dzięki niemu moja żona wróciła do zdrowia. Urodziły nam się następne dzieci. Józefina je kocha - ale ten malec, który nosi imię naszego zmarłego synka, jest jej najbliższy.



## NIEWYDARZONY BRAT

Rodzina Monroe święciła Boże Narodzenie w starym rodzinnym domu w Białych Piaskach. Bracia i siostry spotkali się tu po raz pierwszy od śmierci matki, która miała miejsce trzydzieści lat temu. Był to pomysł Edyty Monroe. Wiosną przeszła ciężkie zapalenie płuc, zachorowała w Stanach wśród obcych ludzi i podczas uciążliwej rekonwalescencji, kiedy nie mogła dawać koncertów i miała mnóstwo wolnego czasu, poczuła tęsknotę do rodziny. Napisała do Jakuba, tego z braci, który pozostał w domu Monroe'ów - no i w rezultacie odbył się ów rodzinny zjazd. Nawet Ralf Monroe odłożył na bok pilne interesy, przestał na chwilę myśleć o pomnażaniu swych milionów i odbył z dawną obiecywaną i stale odkładaną podróż z Toronto. Malcolm Monroe przybył z położonego na zachodzie kraju uniwersytetu, którego był rektorem. Pojawiła się Edyta, po zakończeniu tournée, które było jednym wielkim sukcesem. Z Nowej Szkocji przyjechała pani Woodburn, czyli Małgorzata Monroe, szczęśliwa małżonka wybijającego się młodego adwokata. W starym domostwie powitał ich serdecznie zadowolony z życia Jakub, którego gospodarstwo dzięki jego fachowej wiedzy wręcz kwitło.

Zapomnieli o troskach, zapomnieli o upływie lat i weselili się jak za młodu. Jakub miał liczne potomstwo, Małgorzata przywozła dwie błękitnookie córeczki. Z Ralfem i z Malcolmem przyjechali ich synowie: syn Ralfa był ciemnowłosy i miał wyjątkowo inteligentną twarz, oczy syna Malcolma miały ostry wyraz, nie było w nich nic chłopięcego, wyglądał na twardą sztukę. Obaj kuzyni byli w tym samym wieku i rodzinny żarcik głosił, że w swoim czasie bocian musiał się pomylić i zamienić niemowlęta.

Ukoronował spotkanie przyjazd ciotki Izabelli. Była to imponująca stara dama, która w osiemdziesiątym piątym roku życia zachowała żywość umysłu trzydziestolatki i promieniała dumą ze swych siostrzeńców i siostrzenic, którzy wyszedłszy ze skromnego domu potrafili zdobyć poklask świata.

Zapomniałam o Robercie. Łatwo zapominało się o Robercie Monroe. Choć był najstarszy, mieszkańcy Białych Piasków, mówiąc o rodzinie Monroe, na końcu wymieniali jego imię, i to tonem zdziwienia.

Mieszkał na wybrzeżu, miał niewielką ubożuchną farmę. Kiedy wieczorem pojawił się u Jakuba, wszyscy powitali go serdecznie i radośnie, a potem gwarząc i zaśmiewając się zapomnieli o jego istnieniu. Robert usiadł w kącie i przysłuchiwał się z uśmiechem, ale ani

razu nie zabrał głosu. Niezadługo ukradkiem wyszedł i nikt tego nie zauważył. Wszyscy zbyt byli zajęci opowiadaniem sobie, co ostatnio zdarzyło się w ich życiu.

Edyta dzieliła się wrażeniami z ostatniego pełnego sukcesów tournée. Malcolm opowiadał z dumą o planach rozbudowy ukochanego uniwersytetu, Ralf chwalił się, gdzie, ma zamiar zbudować następną linię kolejową i ile przeciwności udało mu się przezwyciężyć. Jakub na uboczu rozmawiał z Małgorzatą o sadzie i ostatnich zbiorach, gdyż Małgorzata stosunkowo niedawno opuściła dom i wszystkie te sprawy żywo ją interesowały. Ciotka Izabella szydełkowała i uśmiechała się z aprobatą, od czasu do czasu zabierała głos, dumna, że oto ona, osiemdziesięcioletnia kobieta, która z rzadka opuszczała Białe Piaski, może rozmawiać z Ralfem o świecie finansów, z Malcolmem o świecie nauki, a Jakubowi udzielać rad w sprawie melioracji pól.

Nauczycielka z Białych Piasków, pochodząca z Avonlea panna Bell o filuternych oczach, która mieszkała u państwa Jakubostwa, świetnie się bawiła w towarzystwie dwóch młodzieńców. Wszyscy zatem byli bardzo zajęci i nie zauważyli wyjścia Roberta, który śpieszył się do domu, gdyż jego stara gospodyni bała się zostawać w nocy sama.

Robert pojawił się następnego popołudnia. Na podwórzu dowiedział się od Jakuba, że Malcolm i Ralf pojechali do portu, Małgorzata i pani Jakubowa wybrały się z wizytą do przyjaciół w Avonlea, a Edyta poszła do lasu. W domu znajdowała się tylko ciotka Izabella i młoda nauczycielka.

- Pewnie niedługo wrócą. Zaczekaj.

Robert przeszedł przez podwórze i usiadł na ławce obok ganku. Był wyjątkowo ładny grudniowy dzień, tak łagodny jak w jesieni, ziemia na polach była brunatna i pulchna. Nad morzem czerwone zachodzące słońce chowało się w ciemne chmury i dobiegał miękki plusk fal.

Robert oparł brodę o rękę i patrzył w dal. Był wysokim przygarbionym mężczyzną, miał rzadkie siwe włosy, pomarszczoną twarz, a głęboko osadzone łagodne brunatne oczy patrzyły tak, jak patrzą oczy człowieka, który za smutną rzeczywistością widzi ukryte cuda.

Robert czuł się szczęśliwy. Głęboko kochał rodzinę i radował się, że znów są wszyscy razem. Był dumny z sukcesów rodzeństwa. Cieszył się, że farma Jakuba tak świetnie ostatnio prosperuje. W jego sercu nie krył się nawet cień zazdrości.

Nieuważnie przysłuchiwał się stłumionym głosom dobiegającym przez wychodzące na ganek okno sieni, w której ciotka Izabella rozmawiała z Kasią Bell. Po chwili ciotka Izabella podeszła do okna i jej słowa stały się przeraźliwie wyraźne:

- Tak, panno Bell, bardzo jestem dumna z moich siostrzeńców i siostrzenic. To mądrale. Powiodło im się, a zaczęli z niczego. Ralf nie miał grosza, a został milionerem. Ich ojciec chorował, stracił dużo pieniędzy, bo zbankrutował jego bank i nie mógł im w niczym pomóc. Ale wszyscy do czegoś doszli z wyjątkiem tego biednego Roberta, on jeden nam się nie udał. Niedołęga!

- Ależ nie, proszę pani - próbowała się sprzeciwić nauczycielka.

- Niewydarzony niedołęga! - powtórzyła z naciskiem ciotka Izabella. Nikomu nie pozwalała sobie przeczyć, a co dopiero tej małej Bellównie z Avonlea. - Od urodzenia był nedorajdą. Jedyny Monroe, który przynosi wstyd rodzinie. Wyobrażam sobie, co myślą o tym jego bracia i siostry. Ma sześćdziesiąt lat i niczego w życiu nie dokonał. Nawet ta jego farma ledwie zipie. Tyle że nie ma długów.

- Wielu ludziom to się nie udaje - szepnęła nauczycielka. Przeraziła się przemądrzałej i władczej ciotki Izabelli i ten ; nieśmiały protest był doprawdy heroicznym wyczynem.

- Od Monroe'ego wymaga się więcej - oświadczyła majestatycznie ciotka Izabella. - Robert jest niewydarzonym niedołęgą i inaczej się tego nie da nazwać.

Robert Monroe wstał, lekko zamroczony. Ciotka Izabella twierdzi, że jest niewydarzonym niedołęgą i przynosi wstyd swym najbliższym! Tak, to prawda, nigdy sobie przedtem tego nie uświadomił. Wiedział, że nie zdobędzie ani władzy, ani pieniędzy, ale nie wydawało mu się to ważne. Teraz wzgarda ciotki Izabelli uprzytomniła mu, jak musi wyglądać w oczach świata, w oczach braci i sióstr. Na tym polegał dramat. Mało go obchodziła opinia świata, ale czyżby naprawdę przynosił swej rodzinie wstyd? Co za udreka! Jęknął i ruszył przez podwórze myśląc tylko o tym, by ukryć swój ból, w jego oczach pojawił się wyraz smagniętego batem zwierzęcia.

Z drugiej strony ganku stała Edyta, która dotąd nie zdawała sobie sprawy z obecności Roberta, a teraz zobaczyła jego wzrok. Przed chwilą słowa ciotki Izabelli wzbudziły jej gniew, teraz napłynęły jej do oczu łzy.

Impulsywnie ruszyła w kierunku Roberta, ale zaraz zapanowała nad swoim odruchem. Jego rana była zbyt głęboka, aby mogła mu w tej chwili pomóc. Nie, Robert nie powinien się dowiedzieć, że była świadkiem jego upokorzenia. Patrzyła przez łzy, jak idzie nadmorskimi polami, by schronić się pod własnym dachem. Dałaby wszystko, by móc go pocieszyć, ale wiedziała, że tej pociechy mu w tej chwili nie trzeba. Należało mu oddać sprawiedliwość, tylko sprawiedliwość mogła wyrwać żądło zniewagi, inaczej rana ta będzie się jątrzyć aż do śmierci.

Na podwórze wjechali Ralf i Malcolm. Edyta podbiegła do nich.

- Chłopcy - zawołała. - Mam z wami do pomówienia.

Podczas świątecznego gwiazdkowego obiadu w starym domu zapanowała beztroška wesołość. Pani Jakubowa przygotowała ucztę godną Lukullusa. Śmiano się, żartowano, padały dowcipne riposty. Zdawało się, że nikt nie zauważa, iż Robert niewiele je, wcale się nie odzywa i siedzi zgarbiony w tym swoim wyszarzałym odświętnym garniturze, jeszcze niżej niż zwykle opuściwszy siwą głowę. Kiedy ktoś się do niego zwracał, odpowiadał jak najkrócej i znów zapadał się w sobie.

Wreszcie wszyscy najedli się do syta i ze stołu sprzątnięto resztki świątecznego puddingu. Robert westchnął z ulgą. Obiad się wkrótce skończy. Będzie mógł wymknąć się i ukryć przed roześmianym wzrokiem tych kobiet i mężczyzn, którzy zdobyli sobie prawo do śmiechu w świecie, gdzie ich sukcesy zapewniły im poczesne miejsce; Tylko on był „niewydarzony”.

Niecierpliwie czekał, by pani Jakubowa wstała. Ale pani Jakubów; rozparła się wygodnie w krześle ze słusznym zadowoleniem osoby, która zaspokoila najbardziej wybredne gusta biesiadników, i spojrział; na Malcolma.

Malcolm wstał. Wszyscy zamilkli i wszyscy - poza Robertem skwapliwie oczekiwali jego słów. Robert nadal siedział z pochyloną głową oddając się gorzkim rozmyślaniom.

- Poproszono mnie, bym przemówił pierwszy - oświadczył Malcolm - jako że cała rodzina wierzy w mój dar słowa. Ale nie zamierzam dzisiaj uciekać się do retorycznych efektów. Chcę mówić jak najprościej, by wyrazić, co czuję. Bracia i siostry, spotkaliśmy się dzisiaj pod naszym rodzinnym dachem. Mam nadzieję, że znajdują się wśród nas niewidzialni goście - duchy tych, którzy ten dom zbudowali. Każdemu z nas przypadł w udziale pewien sukces, ale tylko jeden z naszych braci w pełni wykorzystał swoje życie i zdobył to, co najważniejsze. Jego altruizm i poświęcenie pozostawią bowiem trwałe ślady w sercach ludzi.

Opowiem tym, którzy tego nie znają, moją własną przygodę. Kiedy miałem szesnaście lat, zacząłem pracować, by zdobyć środki na wykształcenie. Może pamiętacie, że stary pan Blair z Avonlea zatrudnił mnie na lato w sklepie, płacąc dobrą pensję, miałem więc nadzieję, że uda mi się pokryć dużą część wydatków związanych ze wstąpieniem na Akademię. Ochoczo zabrałem się do roboty. Całe lato starałem się jak najlepiej wykonywać moje obowiązki. We wrześniu zdarzyło się nieszczęście. Z kasy zniknęła pokaźna suma pieniędzy. Podejrzanie padło na mnie, z dnia na dzień wyrzucono mnie za drzwi, Wszyscy sąsiedzi wierzyli w moją winę, nawet część mojej własnej rodziny patrzyła na mnie podejrzliwie. Nie mogę im tego brać za złe, gdyż sprzysięgły się przeciwko mnie okoliczności.

Ralf i Jakub spuścili zawstydzeni oczy, Edyta i Małgorzata, których nie było jeszcze wówczas na świecie, patrzyły z zaciekawieniem. Robert nawet nie drgnął, wydawało się, że w ogóle nie słucha.

- Byłem zdruzgotany - ciągnął Malcolm. - Uważałem, że już po mojej karierze, że muszę pożegnać się z ambicjami i wyjechać dokądś, gdzie nikt nie słyszał o mnie ani o ciężących na mnie zarzutach. Ale znalazł się ktoś, kto wierzył w moją niewinność. Powiedział: „Nie wolno ci się poddawać. Nie wolno ci zachowywać się tak, jakbyś przewinił. Jesteś niewinny i czas to udowodni. A teraz masz się zachować jak mężczyzna. Dużo już oszczędziłeś, a ja dołożę brakującą sumkę, żebyś mógł pojechać na zimę do Akademii. Nie poddawaj się, nie wolno się poddawać, kiedy się niczym nie przewiniło”.

Posłuchałem jego rady. Wstąpiłem na Akademię. Ale tam szydzono ze mnie i pomiatano mną. Wiele razy, gdyby nie rady mojego brata, rozpacz podyktowałaby mi odwrót. Ale czułem jego wsparcie. Uczyłem się ze wszystkich sił i zostałem prymusem. Wydawało się, że w lecie nie uda mi się znaleźć roboty. Jednakże zatrudnił mnie farmer z Nowych Mostów, którego mało obchodziła reputacja pracownika, jeśli gotów on był pracować do siódmych potów. Nie było to przyjemne, ale zdecydowałem się. Skłonił mnie do tego człowiek, który mi ufał. Następną zimę znów - całkowicie osamotniony - spędziłem na studiach w Akademii. Zdobyłem stypendium Farrella i pojechałem na uniwersytet w Redmond. Tam z początku nikt nic o mnie nie wiedział, ale potem rozeszły się pogłoski i znów spotkałem się z podejrzliwością i wzgardą. Ale w roku mojego dyplomu siostrzeniec pana Blaira przyznał się do winy i zostałem oczyszczony w oczach świata. I potem kolejno zdobywałem akademickie zaszczyty, śmiało można powiedzieć, że zrobiłem prawdziwą karierę. Ale - i tu Malcolm odwrócił się i położył rękę na ramieniu Roberta - wszystko to zawdzięczam memu bratu Robertowi. To był jego sukces, nie mój, i dziś dziękuję mu za wszystko, co dla mnie zrobił, chcę mu wyrazić moją wdzięczność, chcę, żeby wiedział, jak jestem dumny, iż mam tak wspaniałego brata.

Zaskoczony Robert spojrział na niego z niedowierzaniem. Zarumienił się. Malcolm usiadł. Z kolei wstał Ralf.

- Nie jestem złotoustym mówcą tak jak Malcolm - oświadczył wesoło - ale chcę wam opowiedzieć coś, o czym wie tylko jeden z obecnych. Czterdzieści lat temu, kiedy zacząłem robić interesy, brakowało mi gotówki. A była mi ona strasznie potrzebna. I nagle pojawiła się okazja zdobycia dużych pieniędzy. Nie był to czysty interes, choć pozornie wszystko było w porządku. Ale kryło się w tym pewne szalbierstwo. Byłem za głupi, żeby to sobie uświadomić. Na szczęście zwierzyłem się z moich planów Robertowi. A on się zorientował i

wyjaśnił mi, w czym rzecz, nie szczędząc przy okazji kazania o tradycjach rodziny Monroe'ów, której zawsze był drogi honor i prawda. Przysięgłem sobie wówczas, że nigdy nie będę szukał szybkiego zarobku nie mając całkowitej pewności, że sprawa jest czysta. Tej przysięgi dotrzymałem. Jestem dziś bogatym człowiekiem, ale nigdy nie tknąłem „brudnych” pieniędzy. To nie moja zasługa. To zasługa Roberta. W gruncie rzeczy to Robert zdobył dla mnie moją fortunę. Gdyby nie on, zbankrutowałbym pewno albo wręcz znalazł się za kratkami jak niektórzy z moich niedoszłych współników. Jest tu ze mną mój syn. Mam nadzieję, że dorówna wykształceniem i mądrością swojemu stryjowi Malcolmowi, ale przede wszystkim chciałbym, by stał się tak dobrym i godnym czci człowiekiem jak jego stryj Robert.

Robert znów spuścił głowę i ukrył twarz w dłoniach.

- Teraz moja kolej - oznajmił Jakub. - Nie mam wiele do powiedzenia. Tylko jedno. Po śmierci matki dostałem tyfusu. Byłem tu sam. I to Robert przyszedł i pielęgnował mnie. Był najczulszą, najtroskliwszą pielęgniarką, jaką można by sobie wymarzyć. Lekarz twierdził, że ocalił mi życie. Kto z nas może się poszczycić ocaleniem komuś życia?

Edyta otarła łzy i zerwała się.

- Przed laty była sobie uboga dziewczyna, która miała piękny głos i wielkie ambicje. Marzyła, by uczyć się śpiewu, jedyną szansą było uzyskanie dyplomu nauczycielki, by jako nauczycielka zarobić na kształcenie głosu. Uczyla się i uczyla, ale nie mogła dać sobie rady z matematyką i nie zdała egzaminu. Wpadła w rozpacz. Począwszy od następnego roku, żeby zostać nauczycielką trzeba było skończyć Akademię Królewską, a na to nie miała środków. Wówczas przyszedł do niej najstarszy brat i oznajmił, że wyśle ją na rok do konserwatorium w Halifaxie. Zmusił ją, by przyjęła od niego pieniądze. Dopiero dużo później dowiedziała się, że sprzedał w tym celu ukochanego konia. W ciągu roku udało jej się zdobyć stypendium. Była szczęśliwa i odniosła sukcesy. A to wszystko zawdzięcza swemu bratu Robertowi.

Edytę zawiódł głos. Płacząc usiadła. Małgorzata nawet nie próbowała wstać.

- Miałam pięć lat, gdy umarła matka - szlochała. - Robert stał się dla mnie ojcem i matka. Nigdy żadne dziecko nie miało tak troskliwego opiekuna, nigdy nie zapomnę tego, czego on mnie nauczył. Tylko dzięki Robertowi wyrosłam na przyzwoitego człowieka, jemu tylko mam to do zawdzięczenia. Często byłam uparta i samowolna, a on nigdy nie tracił cierpliwości. Wszystko mu zawdzięczam.

Nagle zerwała mc mała nauczycielka, zarumieniona, ze łzami w oczach.

- Ja też chcę coś powiedzieć - oświadczyła rezolutnie. Każde z państwa mówiło o sobie. A ja chcę powiedzieć coś w imieniu mieszkańców Białych Piasków. Cała wieś kocha tego człowieka. Czy wiedzą państwo, co on zrobił?

Zeszłej jesieni podczas październikowego sztormu na latarni morskiej zawisła czarna flaga. Tylko jeden człowiek miał dość odwagi, by dopłynąć do latarni i dowiedzieć się, co się stało. Był to Robert Monroe. Okazało się, że latarnik złamał nogę. Pan Robert popłynął z powrotem i zmusił przerażonego, opierającego się lekarza, by wraz z nim, na jego łódce dotarł do latarni. Widziałam, jak rozmawiał z lekarzem, i przysięgam wam, że nikt nie mógł się w tej chwili oprzeć woli Roberta Monroe'ego.

Przed czterema laty miano zabrać do przytułku starą Sarę Cooper, Była zrozpaczona. I znalazł się człowiek, który tę nieszczęsną, złożoną niemocą kobietę wziął do swego domu, opłacał lekarza i sam ją pielęgnował, gdyż jego gospodyni nie mogła znieść jej napadów złego humoru i ciągłych wyrzekań. Sara Cooper zmarła w dwa lata później błogosławiąc najlepszego z ludzi - Roberta Monroe'ego.

Osiem lat temu Janek Blewett szukał pracy. Nikt nie chciał go zatrudnić, gdyż jego ojciec siedział w więzieniu, a wiele osób uważało, że Janek też się tam powinien znaleźć. Robert Monroe wziął go do pomocy, zajął się jego wychowaniem, pilnował, by nie zboczył z prostej ścieżki - i dziś Janek Blewett jest pracowitym, przyzwoitym młodzieńcem i będzie z niego rzetelny człowiek. W Białych Piaskach każdy mężczyzna, każda kobieta i każde dziecko mają coś do zawdzięczenia Robertowi Monroe'emu.

Kiedy Kasia Bell usiadła, zerwał się Malcolm i wyciągnął rękę.

- Teraz wszyscy wstaniemy i odśpiewamy *Auld Land Syne* - zawołał.

Wszyscy wstali, wzięli się za ręce, nie śpiewał tylko Robert Monroe. Siał wyprostowany, z rozpromienioną twarzą. Spadł mu ciężar z serca, bo oto jego najbliżsi zerwali się, by go uczcić.

Kiedy umilkła pieśń, oschły syn Malcolma podszedł uścisnąć dłoń Roberta.

- Stryju Robercie - oświadczył serdecznie - chciałbym osiągnąć w życiu to, co stryj.

- Okazuje się - szepnęła do małej nauczycielki ciotka Izabella ocierając łzy - że bywają niepowodzenia, które są największym sukcesem.

## POWRÓT ESTERY

Kiedy zaczęło się zmierzchać, poszłam na górę i włożyłam muślinową suknię. Cały dzień smażyłam konfitury z truskawek - Maryni Sloane nie można było pod tym względem ufać - byłam bardzo zmęczona i chętnie bym się nie przebierała, zwłaszcza że od śmierci Estery nikogo to nie obchodziło, nikt zresztą poza Marynią nie miał mnie już dziś zobaczyć, a Marynia się nie liczyła.

Zrobiłam to jednak, gdyż Esterze zawsze zależało, żebym o siebie dbała. Zatem mimo znużenia włożyłam błękitną sukienkę i uczesałam się.

W tej fryzurze było mi do twarzy, ale nie pochwalała jej Estera, pomyślałam więc. .ze zachowuję się nieojalnie, i upięłam włosy w gładki staroświecki kok. W mu ich włosach pojawiły się już gdzieś srebne nitki, wciąż, jednak były brunatne i gęste, mało mnie to jednak cieszyło. Nic nie cieszyło mnie od śmierci Ester, i od tamtego dnia, kiedy po raz drugi dałam odprawę Hugonowi Blairowi.

Mieszkańcy Nowych Mostów dziwili się, czemu nie ubieram się na czarno. Nie wyjaśniłam im, że życzyła sobie tego Estera. Estera przeciwna była noszeniu żałoby, twierdziła zawsze, że jeśli nie czuje się żałoby w sercu, to nic nie pomoże czarna krepa. Na dzień przed śmiercią prosiła mnie, żebym ubierała się tak jak zawsze i żebym niczego nie zmieniała w trybie mojego życia.

- Wiem przecież, jak będziesz cierpieć.

I tak się stało. Ale czasem zastanawiałam się, bliska wyrzutów sumienia, czy cierpię tak tylko z powodu zniknięcia Estery czy też ufnego, że po raz drugi, ze względu na złożoną jej obietnicę, zamknęłam drzwi przed tym, którego kochałam.

Ubrałam się, zesłam na dół i usiadłam na kamiennych schodkach przed frontowymi drzwiami. Byłam sama, Marynia Sloane pobiegła do Aumlea.

Był piękny wieczór, nad zalesionymi wzgórzami pojawił się księżyc w pełni i jego poświata opadała na ogród między liśćmi topoli. Widziałam srebrnobłękitny skrawek nieba na zachodzie. Ogród wyglądał ślicznie, była to pora róż, wszystkie nasze róże zakwitły, i te wielkie czerwone, i białe, i żółte.

Estera kochała róże, wciąż jej było mało róż. Jej ulubiony krzak rósł już koło schodków, wielkie białe róże w środku lekko różowe. Zerwałam jedna i przypięłam na piersi. Ale moje oczy wypełniły się łzami, czułam się strasznie opuszczona.



Byłam sama i ogarnęło mnie rozgoryczenie. Róże, choćby najpiękniejsze, nie zastępowały towarzystwa ludzi. Chciałam dotknąć czyjejś ręki, zobaczyć w czyichś oczach blask uczucia. I znów zaczęłam myśleć o Hugonie.

Całe życie mieszkałam z Esterą. Nie pamiętam rodziców, umarli, kiedy byłam małym dzieckiem. Estera była ode mnie o piętnaście lat starsza i zawsze traktowałam ją raczej jak matkę niż siostrę. Była dla mnie bardzo dobra i niczego mi nie odmawiała, prócz tej jednej i jedynej rzeczy, która była najważniejsza.

Miałam już dwadzieścia pięć lat, kiedy pojawił się mój pierwszy wielbiciel. Nie, nie byłam mniej pociągająca od innych dziewcząt. Rodzina Meredithów była „pierwszą” rodziną Nowych Mostów. Traktowano nas z poważaniem, pewnie dlatego, że byłyśmy wnuczkami tutejszego dziedzica. Miejscowi młodzi ludzie uważali, że nie mają szans ubiegać się o moją rękę.

Powinnam się może tego wstydzić, ale zupełnie wyzbyta byłam rodzinnej dumy. Męczyło mnie osamotnienie, wołałabym zrezygnować z mojej pozycji i bawić się tak jak inne dziewczęta. Ale Estera nie pozwalała, bym zeszała z piedestału i brała udział w towarzyskim życiu młodzieży Nowych Mostów. Miałam być wobec niej uprzejma i uczynna - - - ale nie wolno mi było zapominać, że jestem Meredithówną.

Kiedy skończyłam dwadzieścia pięć lat, w Nowych Mostach pojawił się Hugo Blair i kupił farmę położoną tuż za wsią. Pochodził z Dolnego Carmody i nie zaprzętał sobie głowy rzekomą wyższością Meredithów. Byłam dla niego dziewczyną taką jak inne, do której każdy mężczyzna mógł się zalecać, byle był przyzwoitym człowiekiem. Poznałam go w Avonlea na pikniku niedzielnej szkoły, w którym brałam udział z moimi małymi uczennicami. Był bardzo przystojny i męski. Dużo ze mną rozmawiał, a potem odwiózł mnie do Nowych Mostów. I w następną niedzielę wieczorem czekał na mnie przed kościołem, by odprowadzić do domu.

Oczywiście, nigdy by się to nie mogło zdarzyć, gdyby nie nieobecność Estery. Wyjechała na miesiąc odwiedzić jakichś przyjaciół.

W ciągu tego miesiąca przeżyłam całe życie. Hugo zabiegał o moje względy tak, jakbym była jedną z dziewcząt z Nowych Mostów. Zabierał mnie na przejażdżki bryczką i często zaglądał do mnie pod wieczór. Zwykle siadywaliśmy w ogrodzie. Nie lubiłam ponurego i sztywnego salonu Meredithów, a Hugo źle się tam czuł. Jego szerokie ramiona i głośny śmiech nie pasowały do staroświeckich mebli.

Marynia Sloane zachwycona była wizytami Hugona. Martwiła się zawsze, że nie mam wielbicieli, uważała, iż przynosi mi to ujmę. Robiła, co mogła, by go zachęcić.

Ale kiedy wróciła Estera i się o tym dowiedziała, rozgniewała się i co gorsze, wpadła w rozpacz. Oświadczyła, że się na mnie zawiodła i wizyty Hugona muszą ustać.

Nigdy dotąd nie bałam się Estery, teraz jednak przeraziła mnie. Ustąpiłam. Tak, okazałam słabość, zawsze zresztą byłam słaba i uległa. Pewnie właśnie dlatego tak mnie pociągała siła Hugona. Szukałam opieki i miłości. Estera była mocnym człowiekiem, nie potrzebowała oparcia, wystarczała samej sobie, nie potrafiła zatem mnie zrozumieć. Patrzyła na mnie ze wzgardą.

Nieśmiało oznajmiłam Hugonowi, że Estera nie pochwała naszej przyjaźni i musimy przestać się widywać. Przyjął to na pozór spokojnie i odszedł. Doszłam do wniosku, że niezbyt mu na mnie zależało, i to jeszcze powiększyło mój ból. Długo czułam się bardzo nieszczęśliwa, ale starałam się, by nie zauważyła tego Estera, i sądzę, że mi się to udało. Nie była zbyt spostrzegawcza.

Po jakimś czasie przyszedłam do siebie, czyli przestałam tak nieustannie cierpieć. Ale nic już nie było takie jak przedtem. Mimo Estery, róż i szkoły niedzielnej, życie wydawało mi się smutne i puste.

Przypuszczałam, że Hugo Hlair ożeni się wkrótce z jakąś inną dziewczyną, ale tak się nie stało. Lata mijały i już nigdy nie spotkaliśmy się, choć widywałam go w kościele. Estera bacznie mnie wówczas obserwowała, choć było to zupełnie niepotrzebne. Hugo nie próbował do mnie podejść, a zresztą i tak nie zaczęłabym z nim rozmawiać. Choć wyrывało mi się do niego serce. Samolubnie cieszyłam się, że się nie ożenił. Przynajmniej mogłam o nim myśleć i do niego tęsknić. Ta tęsknota była pewnie bardzo niemądra, ale musiałam wypełnić czymś moje życie.

Z początku każda myśl o nim sprawiała mi wielki ból. Jednakże po jakimś czasie zaczęłam o nim myśleć z przyjemnością, jak o utraconym cudownym kraju.

Upłynęło dziesięć lat. Estera umarła. Nagle zachorowała, choroba trwała krótko, lecz przed śmiercią zdążyła uzyskać ode mnie obietnicę, że nigdy nie wyjdę za mąż za Hugona Blaira.

Od lat nie wymieniała jego nazwiska, sądziłam, że już dawno o nim zapomniała.

- Ależ siostrzyczko, po cóż mam ci to obiecywać? - spytałam płacząc. Hugo Blair już na pewno przestał o mnie myśleć. Nawet mu nie przyjdzie do głowy, żeby się o mnie starać.

- Nie ożenił się. Nie zapomniał o tobie - szepnęła z zawziętością w głosie. Nie zaznam spokoju w grobie, jeżeli ty. Małgorzato, zhańbisz nasze nazwisko wychodząc za człowieka nierównego ci urodzeniem. Przysięgnij!

Przysięgam. Zrobiłabym wszystko, by tylko ulżyć jej agonii. Zresztą, co to miało za znaczenie? Byłam pewna, że nic już nie obchodzi Hugona.

Estera uśmiechnęła się i uścisnęła mi dłoń.

- Moja kochana siostrzyczka. Tak. Małgorzato, zawsze byłaś dobrym i posłusznym dzieckiem, chociaż często bywałaś sentymentalna i niemądra. Jesteś podobna do naszej matki, ona także była słaba i łatwo poddawała się emocjom. Ja wdałam się w Meredithów.

Istotnie. Nawet w trumnie na jej twarzy malowała się stanowczość i duma. I to utkwiło mi w pamięci zacierając wspomnienia serdeczności, z jaką zwykle na mnie patrzyła. Nie mogłam sobie z tym poradzić. Chciałam myśleć o jej dobroci i miłości do mnie, a widziałam chłód i dumę, z jakimi potraktowała moje uczucia. Ale nie czułam do niej urazy. Wiedziałam, że w swoim przekonaniu postąpiła tak dla mojego dobra. Tyle że się myliła.

W miesiąc po śmierci Estery Hugo Blair przyszedł i poprosił, żebym została jego żoną. Wyznał, że cały czas mnie kochał, nie potrafił pokochać innej kobiety.

Znów odżyła moja stłumiona miłość. Chciałam powiedzieć: tak, chciałam, żeby mnie objął, chciałam znaleźć oparcie w ciepłe jego uczucia.

Ale istniała ta przysięga, złożona Esterze na łożu śmierci. Nie mogłam jej złamać i musiałam mu to powiedzieć. Nic nigdy nie przyszło mi z taką trudnością.

Tym razem nie odszedł bez słowa. Błagał mnie, starał się przekonać, robił mi wymówki. Każde jego słowo bolało jak pchnięcie nożem. Ale nie wolno mi było złamać przysięgi. Gdyby Estera żyła, stawiałabym jej czoło, zniosła jej gniew i poszła za nim.

Wreszcie wybiegł zrozpaczony i zagniewany. Było to trzy tygodnie temu - i teraz siedziałam w zalanym światłem księżycy ogródku i płakałam. Po chwili łzy wyschły i ogarnęło mnie przedziwne uczucie. Jakbym znalazła się w czyichś czułych objęciach.

Teraz nastąpi najdziwniejsza część mojej opowieści, w którą trudno wręcz uwierzyć. Gdyby nie pewien szczegół - sama bym nie wierzyła. Uznałabym, że był to sen. Niemniej wiem, że nie był to sen. Otaczała mnie cicha i spokojna noc. Śladu wiatru. Księżyc świecił jaśniej niż kiedykolwiek. W samym środku ogrodu, tam gdzie nie padał cień topól, jasno było jak w dzień. Można by czytać książkę. Powietrze było słodkie i nabrzmiące marzeniami, uroda świata zapieniła dech.

I nagle zauważyłam, że z głębi ogrodu nadchodzi kobieca postać. Myślałam z początku, że to Marynia Sloane, ale gdy zbliżyła się, zobaczyłam, że nie jest to krępa niska sylwetka naszej starej służącej, ale ktoś wysoki i wyprostowany.

Ten ktoś przypominał mi Esterę, ale jeszcze nie podejrzewałam prawdy. Choć Estera zawsze lubiła w księżycową noc przechadzać się po ogrodzie. Widziałam to tysiąc razy.

Zastanawiałam się, kim może być ta kobieta. Pewnie któraś z sąsiadek. Ale dlaczego nadchodzi z tej strony? I idzie tak wolno. Wciąż zatrzymuje się i nachyla, jakby chciała pogłaskać jakiś kwiat.

Wreszcie znalazła się na środku ogrodu. Zamarło mi serce, zerwałam się. Była to Estera.

Trudno mi wyrazić, co przeżyłam. Wiem, że nie zdziwiłam się. Byłam i nie byłam przerażona. W głębi serca nie byłam. Wiedziałam, że widzę siostrę, nie mam więc powodu się bać. Ona mnie przecież kocha, tak jak kochała zawsze.

Estera zatrzymała się o parę kroków przede mną. Widziałam wyraźnie jej twarz, na której malował się nie znany mi wyraz lękliwej czułości. Estera często spoglądała na mnie z miłością, ale miłość wyczierała spoza maski dumy i surowej powagi. Teraz ta maska znikła, czułam, że siostra bliższa mi jest niż za życia. I zrozumie mnie.

Estera skinęła i powiedziała:

- Chodź.

Wstałam i poszłam za nią. Wyszliśmy z ogrodu alejką wśród brzoź i znalazłyśmy się na wiejskiej drodze. Czułam się jak we śnie. Poruszałam się nie o własnej sile. Choćbym chciała, nie mogłabym przystanąć. Ale nie chciałam. Wciąż czułam tę przedziwną błogość.

Teraz byliśmy na tym odcinku drogi wśród jabłoni, którą Ania Shirley z Avonlea nazwała Białą Drogą Rozkoszy. Tu było niemal ciemno, jednakże widziałam twarz Estery równie wyraźnie jak przedtem, w księżycowej poświacie. Estera patrzyła wciąż na mnie z tkliwym uśmiechem.

Przejechał koło nas Jakub Trent. Nawiedzają nas najdziwniejsze uczucia. Rozgniewało mnie, że Jakub Trent, największy plotkarz w Nowych Mostach widzi mnie z Esterą i zacznie o tym na lewo i na prawo opowiadać.

Ale Jakub Trent skinął tylko głową i zawołał:

- Dobry wieczór, panno Małgorzato. Spaceruje pani sobie przy księżycu? Piękna noc.

W tym momencie koń nagle się spłoszył i ruszył galopem. W sekundę zniknęli za zakrętem drogi. Poczułam ulgę, ale zrobiło mi się niewyraźnie. Jakub Trent nie zobaczył Estery.

Za wzgórzem była farma Hugona Blaira. Estera weszła w bramę. Dopiero wtedy zrozumiałam, czemu powróciła, i ogarnęła mnie szalona radość. Estera zajrzała mi w oczy, ale nie odezwała się.

Przed nami stał dom Hugona, obrośnięty dzikim winem. Z prawej strony znajdował się ogród, gdzie bezładnie rosły staromodne kwiaty. Wszłam na grządkę mięty, jej zapach

zdał mi się kadzidłem zapalonym na cześć dziwnego obrządku. Czułam się niewysłowienie szczęśliwa.

Kiedy znalazłyśmy się pod drzwiami. Estera powiedziała:

- Zapukaj. Małgorzato.

Zapukałam. Hugo otworzył drzwi. I wtedy zdarzyło się to, co upewnia mnie, że nie poniosła mnie wyobraźnia, że nie był to sen, lecz rzeczywistość. Hugo nie spojrzał na mnie, lecz za mnie.

- Estera! - zawołał, a w jego głosie brzmiało niekłamane przerażenie. Oparł się o framugę drzwi, i on, wielki, silny mężczyzna, drżał od stóp do głów.

- Nauczono mnie - powiedziała Estera - że na tym stworzonym przez Pana Boga świecie ważna jest tylko miłość, Tam, gdzie byłam, nie ma miejsca na pychę, nie liczą się fałszywe wartości.

Hugo i ja spojrzeliśmy na siebie ze zdumieniem. Po chwili uprzytomniliśmy sobie, że jesteśmy sami.

## BRUNATNY ALBUMIK PANNY EMILII

Tego pierwszego lata, które pan Irving i panna Lawenda - Diana i ja, mimo że wyszła za mąż, tak ją nadal nazywałyśmy - spędzili po ślubie w Chatce Ech, byłyśmy tam obie częstymi gośćmi. Poznałyśmy mnóstwo osób z Grafton, a wśród nich rodzinę pana Marka Leitha. Wieczorem chodziłyśmy często do państwa Leithów grać w krokieta. Misia i Małgosia Leithówny były bardzo miłe, mili byli także ich bracia. Polubiłyśmy całą rodzinę z wyjątkiem biednej starej panny Emilii Leith. Próbowaliśmy ją polubić, gdyż ona zdawała się nas darzyć dużą sympatią i wciąż chciała z nami rozmawiać, choć my wolałybyśmy inne rozrywki. Często niecierpliwiła nas, ale pocieszam się, że nigdyśmy tego nie okazywały.

Było jej nam zresztą żal. Mieszkająca u brata stara panna znajdowała się w tym domu na drugim planie. Więc współczułyśmy jej, ale nie potrafiłyśmy polubić. Była marudna i natrętna, wścibiała we wszystko nos, a w dodatku nie odznaczała się taktem. Miała ostry język, dokuczała młodzieży, wykpiwała jej miłostki. Obie z Dianą przekonane byłyśmy, że nigdy nie była zakochana i nikt nie obdarzał jej swymi względami.

Jakoś trudno było wyobrazić sobie wielbiciela panny Emilii. Była niska i kluskowata, miała okrągłą czerwoną tłustą twarz, która wydawała się pozbawiona rysów, rzadkie włosy były zupełnie siwe, chodziła jak kaczka - bardzo tym przypominała panią Małgorzatę Linde - i już po paru krokach zaczynała ciężko dyszeć. Niełatwo przychodziło nam uwierzyć, że kiedyś musiała być młodą dziewczyną, ale sąsiad Leithów, pan Murray, nie tylko usiłował nas o tym upewnić, ale przysięgał, że panna Emilia była wówczas bardzo ładna.

Niemożliwe! - szepnęła do mnie Diana. Nagle panna Emilia umarła. Z przykrością muszę stwierdzić, że nikt jej zbyt nie opłakiwał. To chyba najgorsze, co może się człowiekowi zdarzyć. Znika z tego świata i nikomu go nie brak. O śmierci panny Emilii dowiedziałyśmy się dopiero po jej pogrzebie. Wróciłam któregoś dnia z Sosnowego Wzgórza i zobaczyłam w moim pokoiku na Zielonym Wzgórzu malutki zniszczony kuferek nabijany mosiężnymi gwoździami. Maryla oświadczyła mi, że przyniósł go Janek Leith. Panna Emilia umierając poprosiła, by mi go oddać.

- Co to jest?... - spytałam. - Co mam z tym zrobić?

- Nie wiem. Janek powiedział tylko, że sami nie wiedzą, co w tym kufierku jest. Nie otwierali go. Dziwna historia, ale tobie, Aniu, zawsze się zdarzają dziwne historie. Najprościej będzie go otworzyć, tu jest klucz. Janek Leith mówił, że panna Emilia zapisała ci

ten kuferek, bo cię kochała i przypominałaś jej utraconą młodość. Chyba przed śmiercią majaczyła, bo powtarzała, że chce, abyś ją „mogła zrozumieć”.

Pobiegłam po Dianę na Sosnowe Wzgórze, chciałam, żeby razem ze mną zajrzała do kufereka. Nikt mi nie nakazywał sekretu, wiedziałam zresztą, że panna Emilia na pewno nie żądałaby, abym ten dar zachowała w tajemnicy przed Dianą.

Było chłodne szare popołudnie; kiedy wróciliśmy na Zielone Wzgórze, zaczął padać deszcz. Weszliśmy do mojej izdebki i zerwał się wiatr. Świszczał za oknem w gałęziach starej Królowej Śniegu. Diana była podniecona i chyba troszkę przerażona.

Otworzyliśmy stary kuferek. Był malutki, a w środku znajdowało się tylko duże tekturowe pudło. Było związane sznurkiem, a węzły sznurka zostały zalakowane. Otworzyliśmy pudło. Nasze palce spotkały się i obie zawołałyśmy: „Jakie ty masz zimne ręce!”

W pudle leżała dziwaczna, staroświecka ale nie wypłowiała, bardzo ładna sukienka z błękitnego muślinu. Pod nią szarfa, poźółkły wachlarz z piór i koperta pełna zasuszonych kwiatków. A na samym spodzie brunatny albumik.

Był malutki i cienki jak zeszyt, kartki były kiedyś błękitne i różowe, ale wypłowiły i żółkły. Na tytułowej kartce widniał napis „Emilia Małgorzata Leith” i ten sam delikatny charakter pisma pokrywał pierwsze stronicę. Reszta była pusta. Usiadłyśmy obie z Dianą na podłodze i razem zaczęłyśmy czytać. Za oknami dudnił w szyby deszcz.

*19 czerwca 18..*

Przyjechałam dziś do Charlottetown, do ciotki Małgorzaty. Bardzo tu u niej ładnie i dużo przyjemniej niż u nas na farmie. Nie muszę doić krów ani karmić świni. Ciotka Małgorzata sprawiła mi śliczną muślinową błękitną sukienkę i w przyszłym tygodniu włożę ją na garden party w Brighton. Nigdy dotąd nie miałam muślinowej sukienki - wciąż nosiłam te brzydkie kretoniki albo ciemne wełny. Chciałabym, żebyśmy byli bogaci tak jak ciotka Małgorzata. Ciotka Małgorzata śmiała się, kiedy powiedziałam to głośno, i oznajmiła, że chętnie oddałaby całe swoje bogactwo za moją młodość i urodę, i beztroskę. Mam dopiero osiemnaście lat i wiem, że jestem pogodna, ale zastanawiam się, czy naprawdę jestem ładna. Kiedy przeglądam się w pięknych lustrach ciotki Małgorzaty, wydaje mi się, że - owszem - jestem. Wyglądam w nich zupełnie inaczej niż w tym starym nadtluczonym lustrze w moim pokoiku, mam w nim zawsze wykrzywioną twarz i jestem zielona. Ale ciotka Małgorzata zaraz wszystko popsuła, bo oświadczyła, że wyglądam dokładnie tak jak ona kiedy była w moim wieku. Nie wiem, co bym zrobiła, gdybym kiedyś miała wyglądać tak jak ona. Jest taka czerwona i tłusta.

29 czerwca

W zeszłym tygodniu byłam na tym garden party i poznałam młodego człowieka, który się nazywa Paweł Osborne. To malarz z Montrealu, jest na wakacjach w Heppoch. I jest piękny; bardzo wysoki i szczupły, ma rozmarzone ciemne oczy i mądrą bladą twarz. Wciąż o nim myślę, a dziś przyszedł i spytał, czy mógłby mnie namalować. Strasznie mi to pochwiliło i cieszę się, bo ciotka Małgorzata się zgodziła. Powiedział, że chce mnie namalować jako „Wiosnę”. Będę stała pod topolami i przez ich liście będzie na mnie spływać słońce. I mam włożyć tę moją błękitną muslinową sukienkę, a na głowę wianek z kwiatów. Powiedział, że nigdy nie widział takich pięknych włosów z bladego złota. Odkąd je pochwalił, wydają mi się naprawdę ładne.

Dziś dostałam list z domu. Mama pisze, że szara kura wyprowadziła gdzieś czarnaście kurczątki i że tatuś sprzedał to cętkowane cielę. Jakoś mnie to teraz mało obeszło.

9 lipca

Pan Osborne mówi, że obraz się uda. Maluje mnie ładniejszą, niż jestem, ale on upiera się, że stara się tylko oddać sprawiedliwość mojej urodzie. Pośle ten obraz na wielką wystawę, ale zrobi dla mnie małą kopię akwarelę.

Co dzień przychodzi i mnie maluje, dużo rozmawiamy i czyta mi ciekawe rzeczy. Nie wszystko rozumiem, ale próbuję, a on mi wszystko cierpliwie wyjaśnia. I mówi, że jak ktoś ma takie oczy i włosy, i koloryt, to nie musi być mądry. I uważa, że mój śmiech jest najweselszy i najdzwięczniejszy na całym świecie. Ale nie będę tu zapisywała wszystkich jego komplementów. Pewnie tak gada, żeby gadać.

Wieczorem spacerujemy wśród świerków albo siedzimy na ławce pod akacją. Niekiedy milczymy, ale czas nigdy mi się nie dłuży. Minuty lecą, a potem nad przystanią pojawia się czerwony i okrągły księżyc i pan Osborne wzdycha, i mówi, że czas powiedzieć dobranoc.

24 lipca

Jestem taka szczęśliwa, że aż strach. Nie przypuszczałam, że życie może być takie piękne.

Paweł mnie kocha! Powiedział mi to dziś wieczorem, kiedy patrzyliśmy, jak nad zatoką zachodzi słońce, i poprosił, żebym została jego żoną. Ja kocham go od pierwszej chwili, ale boję się, że nie jestem dość wykształcona i mądra. Jestem tylko głupiutką wiejską dziewczyną, która całe życie spędziła na farmie i ma ręce stwardniałe od roboty. Powiedziałam mu to, a on się tylko roześmiał i zaczął mnie całować po rękach. Potem zajrzał mi w oczy i znów się roześmiał, bo nie potrafiłam ukryć, jak bardzo go kocham.



Pobierzemy się następnej wiosny i Paweł chce mnie zabrać do Europy. Ale nieważne, gdzie będziemy, bylebym tylko mogła być z nim!

Rodzina Pawła jest bogata i jego matka i siostry są bardzo wykwintne. Strasznie się ich boję, nie powiedziałam tego jednak Pawłowi, bo za nic w świecie nie chciałabym mu sprawić przykrości.

Zrobiłabym dla niego wszystko, choćbym miała nie wiem jak cierpieć. Nie przypuszczałam, że człowiek może coś takiego czuć. Zawsze myślałam, że kiedy kogoś pokocham, to będę chciała, by cały czas okazywał mi miłość i nosił mnie na rękach. A jest zupełnie inaczej. Jak się kogoś kocha, to marzy się tylko, żeby móc coś dla niego zrobić.

*10 sierpnia*

Dziś Paweł odjechał do domu. To okropne, nie wiem, jak bez niego wytrzymam. Jestem niemądra - on musiał wyjechać, ale będzie do mnie często pisał i często do mnie przyjeżdżał. Ale czuję się strasznie sama. Nie płakałam, kiedy się ze mną żegnał, bo chciałam, żeby mnie zapamiętał uśmiechniętą, za to teraz bez przerwy płaczę. Spędziliśmy takie cudowne dwa tygodnie, Każdy dzień był piękniejszy i miłszy od poprzedniego, a obecnie wszystko się skończyło i wydaje mi się, że nigdy już nie będzie tak, jak było. Bardzo jestem niemądra, ale tak go kocham i wiem, że jeśli bym miała go utracić, to umrę.

*17 sierpnia*

Moje serce umarło. Nie, nie umarło, bo zanadto mnie boli.

Przyjechała dziś matka Pawła. Nie gniewała się i była uprzejma. Mniej bym się jej bała, gdyby się zwyczajnie rozzłościła. A tak nie potrafiłam wydobyć z siebie słowa. Jest bardzo piękna i majestatyczna, ma zimny głos i dumne oczy. Z twarzy podobna jest do Pawła, ale nie ma jego wdzięku.

Długo do mnie przemawiała - mówiła okropne rzeczy - okropne, bo wiem, że to prawda. Mówiła, że Paweł zakochał się w mojej młodości i urodzie, ale to nie będzie długo trwało, a co poza tym mam mu do zaoferowania? Mówiła, że Paweł musi się ożenić z kobietą ze swojego środowiska, która potrafi ocenić jego talent i zadbać o pozycję społeczną. Mówiła, że jest niezwykle zdolny i czeka go wielka kariera, a małżeństwo ze mną zrujnuje mu życie.

Musiałam się z nią zgodzić i oświadczyłam w końcu, że nie wyjdę za Pawła i może mu to ode mnie powtórzyć. A ona uśmiechnęła się i zauważyła, że on nikomu nie uwierzy, muszę mu to powiedzieć sama. Chciałam ją błagać, żeby mi tego oszczędziła, ale wiedziałam, że na nic się to nie zda. Nie można było oczekiwać od niej litości. I zresztą miała rację.

Kiedy podziękowała mi za rozsądek, oznajmiłam jej, że nie robię tego dla niej, lecz dla Pawła, bo nie chcę mu zrujnować życia, a ją będę już zawsze nienawidzić. Znów się uśmiechnęła i wyszła.

Jak ja to zniosę? Nie wiedziałam, że można aż tak cierpieć.

*18 sierpnia*

Zrobiłam to. Napisałam dziś do Pawła. Wiedziałam, że musi to być list; gdybyśmy się zobaczyli, nie uwierzyłby mi. Bałam się, że nawet w liście nie potrafię przekonywająco kłamać. Wykształconej dziewczynie udałoby się to bez trudu, ale ja jestem głupia. Wiele razy pisałam ten list i go darłam, bo byłam pewna, że nie przekona Pawła. Wreszcie chyba mi się udało. Wiedziałam, że powinien to być list lekkomyślnej wietrznicy. Umyślnie zrobiłam parę błędów gramatycznych i ortograficznych. Napisałam, że tylko z nim flirtowałam, bo naprawdę zależy mi na innym facecie. Użyłam tego słowa „facet”, bo wiedziałam, że to go odstręczy. Napisałam mu, że przez chwilę rzeczywiście myślałam, by za niego wyjść, bo jest bogaty.

Kiedy pisałam te ohydne kłamstwa, sądziłam, że pęknie mi serce. Ale robiłam to przecież dla niego, żeby nie zrujnować mu życia. Jego matka utrzymywała, że będę mu ciążyła jak uwiązany u szyi młyński kamień. Tak bardzo kocham Pawła, że wolę zrobić wszystko, aby tylko tego uniknąć. Łatwo by mi przyszło dla niego umrzeć, ale nie wiem, jak tu teraz żyć. Myślę, że ten list przekona Pawła.

Pewnie przekonał, bo reszta kartek albumiku była czysta. Kiedy skończyłyśmy czytać, obie z Dianą płakałyśmy rzęsiście.

- Biedna, biedna panna Emilia - szlochała Diana. - Tak mi przykro, że uważałam, iż jest nudna i natrętna.

- Była wspaniałym, silnym i dzielnym człowiekiem! - zawołałam. - Nigdy nie zdobyłabym się na taki brak egoizmu.

I przyszedł mi na myśl wiersz Whittiera.

*„Widzimy tylko pozór rzeczy*

*Nie znamy ukrytych sprężyn”.*

Na końcu albumiku znalazłyśmy wyblakłą akwarelkę przedstawiającą młodą dziewczynę - śliczną, smukłą, z ogromnymi błękitnymi oczyma i długimi falistymi złocistymi włosami. W rogu widniał podpis Pawła Osborne'a.

Schowałyśmy wszystko z powrotem do pudła. I siedziałyśmy w milczeniu przy oknie, aż deszczowy zmierzch zakrył świat.

## DUCH PRZEKORY

Ciepły czerwcowy blask słoneczny torował sobie drogę wśród białych kwiatów jabłoni i kładł się mozaiką na nieskazitelnie czystej podłodze kuchni pani Ebenowej Andrews. Przez otwarte drzwi wpadał wietrzyk przynosząc woń koniczyny z pól i kwiecica z sadu, a siedząca przy oknie pani Ebenowa i jej gość mogły spoglądać na dolinę opadającą ku iskrzącemu się morzu.

Pani Jonaszowa Andrews przyszła spędzić popołudnie ze swą szwagierką. Była dużą zażywną niewiastą o pełnych różowych policzkach i wielkich rozmarzonych brunatnych oczach. Za jej dziewczęcych lat oczy te wyglądały romantycznie, ale teraz tak nie pasowały do jej wyglądu, że wręcz śmieszyły.

Pani Ebenowa, siedząca z drugiej strony ustawionego pod oknem stoliczka, była chudziutką kobietką o spiczastym nosie i wyblakłych niebieskich oczach. Wyglądała na osobę stanowczą, która ma o wszystkim zdecydowane zdanie i nie jest skłonna go zmieniać.

- Jak Sarze wiedzie się w Nowych Mostach? - spytała pani Jonaszowa biorąc drugi kawałek niezrównanego placka z czarnymi jagodami. Był to wielki komplement i pani Ebenowa go doceniła.

- Cóż, woli w każdym razie uczyć w tamtej szkole niż u nas, w Białych Piaskach - odparła pani Ebenowa. - Owszem, jest w sumie zadowolona. Oczywiście, ma kawał drogi tam i z powrotem. Uważam, że mądrzej by zrobiła mieszkając, tak jak w zimie, u Morrisonów, ale ona woli spędzać wieczory w domu. I muszę powiedzieć, że te spacery zdają się jej służyć.

- Wczoraj wybrałam się do Nowych Mostów odwiedzić ciotkę Jonasza. Ponoć mówi się tam, że Sara zdecydowała się wreszcie na Leona Baxtera i jesienią mają się pobrać. Pytała, czy to prawda.

Przyznałam, że nic mi o tym nie wiadomo, ale bardzo bym tego pragnęła. Czy ty, Luizo, coś o tym wiesz?

- Niestety, ani jej to w głowie - odparła z żalem pani Ebenowa. - Wyklócałam się z nią jak głupia. Powiadam ci, Amelio, jestem rozczarowana i rozgoryczona. Zawsze marzyłam, żeby Sara wyszła za Leona, a ona nie chce na niego patrzeć.

- Niemądra dziewczyna - orzekła pani Jonaszowa. - Kogo jej się zachciewa? Jak śmie pomiatać Leonem?

- A w dodatku jest zamożny - przyświadczyła pani Ebenowa. - Robi świetne interesy, cała wieś nie może się go nachwalić. Ten dom, który ostatnio zbudował w Nowych Mostach, jest wręcz śliczny. Francuskie okna i parkiety! Dużo bym dała, żeby zobaczyć tam Sarę.

- Może jeszcze zobaczysz - pocieszyła ją pani Jonaszowa, która optymistycznie podchodziła do życia i nawet duch przekory Sary nie mógł jej w tym optymizmie zachwiać. Ale i ona odczuwała lekkie zniechęcenie.

Jeśli Leonowi Baxterowi nie udało się zdobyć Sary - nie stało się tak z braku ludzkiej pomocy. Cały klan Andrewsów od dwóch lat stawał na głowie, by doprowadzić do tego małżeństwa, i pani Jonaszowa dzielnie w tym uczestniczyła.

Pani Ebenowa chciała coś odpowiedzieć, ale pojawiła się Sara. Stała chwilę w drzwiach i z lekkim rozbawieniem spoglądała na ciotki. Świetnie wiedziała, że rozmawiały o niej. Pani Jonaszowa nigdy nie umiała ukryć swych uczuć, więc widać było, że ma nieczyste sumienie, a pani Ebenowa była zatroskana.

Sara odłożyła książki, ucałowała rumiany policzek pani Jonaszowej i usiadła przy stoliku. Pani Ebenowa przyniosła świeżą esencję, gorące bułeczki i słoiczek ulubionych konfitur Sary oraz ukrajała placek. Niecierpliwił ją duch przekory Sary, ale i tak ją rozpieszczała, gdyż pozbawiona własnych dzieci darzyła bratanicę prawdziwie macierzyńskim uczuciem.

Ścisłe biorąc Sara Andrews nie była ładna, nikt jednak nie mógł przejść obok niej obojętnie. Była brunetką, miała aksamitne czarne oczy, pąsowe usta i żywe rumieńce.

Zajadała bułeczki z apetytem wyostrzonym długą drogą z Nowych Mostów i opowiadała dowcipnie o swoim dniu w szkole, a obie kobiety zaśmiewały się i co chwila spoglądały na siebie, dumne z jej bystrości. Po podwieczorku Sara wylała resztę śmietanki na spodeczek.

- Muszę nakarmić moją kicię - oznajmiła wstając od stołu.

- Ach, ta Sara! - westchnęła pani Ebenowa. - Znasz naszego czarnego kota? Mamy go już od lat i oboje z Ebenem bardzo byliśmy do niego przywiązani, a Sara nie cierpiała go. Biedny kot nie mógł się spokojnie wygrzać przy piecu, bo Sara stale go przepędzała. Niedawno złamał łapę i uważaliśmy, że trzeba go uśpić. Ale Sara wpadła w szał. Zdobyła skądś łupki, nastawiła mu łapę, zabandażowała i cackała się z nim jak z chorym dzieckiem. Łapa się zrosła, jest już zdrów, a ona go nadal rozpieszcza. Taka już jest. Koło chorych kurczą też się przez tydzień krzątała i wpychała im do dziobów proszki. I trzęsie się nad tym zmarniałym cielakiem, odkąd się otruł, a na inne nawet nie spojrzy.

Mijało lato i pani Ebenowa usiłowała pogodzić się z faktem, że z jej zamków na lodzie nic nie będzie. Często jednak gderła na Sarę.

- Saro, dlaczego ty właściwie nie lubisz Leona? To taki wspaniały chłopak.

- Nie lubię wzorowych młodych ludzi - odparła zirytowana Sara. - I chyba zniechęciłem Leona Baxtera. Wciąż muszę wysłuchiwać, ile on ma zalet. Nie pije, nie pali, nie kradnie, nie kłamie, nigdy nie traci głowy, nie klnie i chodzi regularnie do kościoła. Nie zniosłabym takiej chodzącej doskonałości. Nie, nie, ciociu Luizo, inna kobieta będzie królowała w tym pałacu w Nowych Mostach.

Kiedy jabłonie, biało-różowe w czerwcu, porudziały jesienią, pani Ebenowa w październiku zaprosiła znajome panie. Miały wspólnie uszyć narzutę. Najmodniejszym wzorem w Avonlea był wzór „Wschodząca Gwiazda”. Pani Ebenowa miała zamiar dać tę narzutę w wyprawie Sarze i zszywając białe i czerwone romby wyobrażała sobie, że narzuta okrywa już łóżko w gościnnym pokoju domu w Nowych Mostach, a ona przyszedłszy z wizytą kładzie na niej swój kapelusz i szal. Teraz ta wizja znikła i pani Ebenowa straciła serce do wykańczania narzuty.

Kiedy Sara w sobotę po południu wróciła do domu, wszystkie przyjaciółki pani Ebenowej siedziały wokół narzuty, pilnie szyjąc, i nie próżnowały też ich języki. Sara zaczęła się krzątać pomagając ciotce w przygotowaniach do kolacji. Właśnie wyjmowała z kredensu czarki na krem, gdy pojawiła się pani Jerzowa Pye.

Pani Jerzowa miała prawdziwy talent do spóźniania się. Dziś spóźniła się jeszcze bardziej niż zwykle i była ogromnie podekscytowana. Zgromadzone wokół „Wschodzącej Gwiazdy” kobiety uznały, że warto będzie jej posłuchać, i zapadła wyczekująca cisza.

Pani Jerzowa była wysoką chudą niewiastą, miała długą bladą twarz i wodniste zielone oczy. Rozejrzała się wokoło z miną kota, który oblizuje się połknąwszy smaczny kąsek.

- Pewnie już wiecie, co się stało? - zapytała, choć, rzecz jasna, była przekonana, że nikt nic nie wie. Wszystkie panie siedzące wokół rozpiętej na ramie narzuty przestały szyć. Pani Ebenowa stanęła w drzwiach z brytfanną pełną gorących ciasteczek. Sara przestała liczyć czarki i odwróciła się. Nawet czarny kot przestał się myć. Pani Jerzowa mogła się napawać niczym nie zakłóconą uwagą swego audytorium.

- Bracia Baxter są zrujnowani. Podejrzanе bankructwo! - zawołała i aż zaświeciły jej się oczy. - Czeka ich hańba!

Przerwała, ale widząc, że jej słuchaczki ze zdziwienia nie są w stanie wykrztusić słowa, ciągnęła:

- Właśnie miałam wyjść z domu, kiedy Jerzy wrócił z Nowych Mostów. Mało mnie nie zbiło z nóg. Niby miała to być taka solidna firma! A zbankrutowała do szczeru! Luizo, daj mi igłę.

Luiza upuściła na stół patelnię. Z kredensu rozległ się brzęk - Sara musiała coś stłuc. Rozwiązały się języki i wszystkie panie zaczęły naraz mówić, nie udało im się jednak zagłuszyć przenikliwego głosu pani Jerzowej Pye.

- Tak, tak. To hańba! A wszyscy im bezwzględnie ufali! Jerzy sporo straci, wielu porządnych ludzi dało się nabrać. Wszystko pójdzie pod młotek - farma Piotra Baxtera i ten wspaniały nowy dom Leona. Pani Piotrowa przestanie zadzierać nosa. Jerzy widział Leona, jest okropnie przybity i zawstydzony.

- Ale kto zawinił temu bankructwu? Czy coś się stało? - spytała ostro pani Małgorzata Linde. Nie lubiła pani Jerzowej.

- Każdy mówi co innego - brzmiała odpowiedź. - O ile Jerzy mógł się zorientować, Piotr Baxter spekulował cudzymi pieniędzmi i oto rezultaty. Wszyscy podejrzewali, że z niego kawał kanciarza, ale wierzyli, że Leon go dopilnuje. O nim mówiło się jak o świętym.

- Leon na pewno nic o tym nie wiedział! - zauważyła z oburzeniem pani Małgorzata.

- A powinien! Albo też jest łotrem, albo idiotą! - zawołała pani Hermanowa Andrews, która dotąd należała do najgorętszych wielbicielek Leona. - Powinien patrzeć Piotrowi na ręce i pilnować interesów. No, Saro, okazuje się, że byłaś rozsądniejsza od nas! Ładnie byś wyglądała, gdybyś wyszła za Leona. Nawet jeśli nie poniesie uszczerbku na opinii - nie będzie miał złamanego grosza.

- Wszyscy mówią, że Piotr szwindlował i będzie proces - zakomunikowała pani Jerzowa Pye, pilnie szyjąc. - Większość osób uważa, że to sprawka Piotra i nie można obwiniać Leona. Ale co to można wiedzieć? Według mnie Leon też po uszy ugrzązł w błocie. Zawsze uważałam, że człowiek nie może być aż tak święty.

Znów zabrzęczało szkło, Sara postawiła tacę. Podeszła i stanęła za panią Małgorzatą Linde, kładąc na jej ramionach ręce. Była bardzo blada, ale błyszczały jej oczy. Poszukała wzrokiem pani Jerzowej i spojrzała na nią ostro. Przemówiła drżącym z podniecenia głosem, a w tonie kryła się wzgarda.

- Teraz, kiedy Leonowi Baxterowi nie powiodło się, wszystkie na niego napadacie. A przedtem nie mogłyście się go nachwalić. Nie mam zamiaru wysłuchiwać waszych aluzji co do rzekomej nieuczciwości Leona. Wszystkie wiecie, że jest najprzyzwoitszym człowiekiem pod słońcem, nawet jeśli ma pecha i jego brat jest pozbawiony zasad. Pani, pani Pye, wie o tym lepiej niż ktokolwiek i mimo to miesza go pani z błotem, bo przydarzyło mu się

nieszczęście. Jeśli ktoś powie jeszcze jedno słowo przeciwko Leonowi Baxterowi, wyjdę z domu i nie wrócę, póki wy tu będziecie!

Tak spojrzała na zgromadzone wokół narzuty kobiety, że plotki natychmiast umilkły. Nawet pani Jerzowa Pye spuściła oczy. Kiedy Sara wychodziła ze szklankami, panowała cisza. Potem ośmieliły się tylko szeptać i jedynie pani Pye, wściekła, że dostała po nosie, zawołała: - Boże, miej nas w swojej opiece! - gdy Sara zatrzasnęła za sobą drzwi.

Przez następne dwa tygodnie Avonlea i Nowe Mosty huczały od plotek, a pani Ebenowa drżała na widok gości.

- Znów będą gadać o bankructwie Baxterów i krytykować Leona - skarżyła się pani Jonaszowej. - A to rozwściecza Sarę. Przedtem wciąż powtarzała, że nie może patrzeć na Leona, a teraz nie pozwala powiedzieć na niego złego słowa. Ja tam nic nie mówię. Żal mi go i pewna jestem, że to nie jego wina. Ale nie mogę zamknąć ludziom ust.

Któregoś wieczoru pojawił się Harmon Andrews przynosząc nowe wieści.

- No, nareszcie koniec tej sprawy Baxterów. Piotrowi udało się uniknąć procesu i przestało się mówić o jego oszustwach. Jemu zawsze udaje się wyślizgnąć. Nic się tym wszystkim nie przejmuje, ale Leon wygląda jak zdjęty z krzyża. Ludzie się nad nim litują, ale ja uważam, że powinien był pilnować Piotra. Podobno wiosną wyjeżdża na zachód, do Alberty i spróbuje tam założyć farmę. Mądrze robi, bo tu wszyscy mają dosyć Baxterów. Nareszcie Nowe Mosty pozbędą się ich.

Sara, która siedziała w ciemnym kącie koło pieca, zerwała się strącając z kolan czarnego kota. Pani Ebenowa spojrzała na nią błagalnie, bała się, by jej bratanica nie nakrzyczała na Harmona.

Ale Sara wybiegła z kuchni, ciężko dysząc. W sieni chwyciła szal, otworzyła frontowe drzwi i pomknęła alejką w chłodnym rześkim powietrzu jesiennego wieczoru. Serce wezbrało jej litością, którą zawsze obdarzała chorych i pokrzywdzonych.

Szła na oślep, mając nadzieję, że ruch ukoi ból, mijała szare ponure pola i sosnowe lasy spowite w fiolet, zaczęła sukienką o zeschnięte paprocie, wilgotny wiatr rozwiewał jej włosy i mokre kosmyki opadały na czoło.

Wreszcie znalazła się przed furtką prowadzącą do lasu. Furtka była związana witkami wikliny; kiedy na próżno próbowała otworzyć ją zgrabiętymi palcami, usłyszała z tyłu męskie kroki i wziął ją za rękę Leon.

- Leonie - szepnęła i zabrzmiało to jak szloch.

Leon otworzył furtkę i pomógł jej wejść. Dalej trzymał ją za rękę. Szli leśną ścieżką roztrzając gałęzie młodych sosen i wdychając słodki zapach lasu.

- Dawno cię nie widziałam, Leonie - szepnęła wreszcie Sara. Leon spojrzął na nią smutnym wzrokiem.

- Tak. I nie muszę ci mówić, jak mi się dłużył czas. Ale, Saro, po tym, co powiedziałaś wiosną, nie sądziłem, że byś chciała się ze mną spotkać. Zresztą wiesz, że wszystko sprzysięgło się przeciwko mnie. Ludzie mówili o mnie straszne rzeczy. Miałem pecha, Saro, przewiniłem może lekkomyślnością, ale zapewniam cię, że nie mam na sumieniu żadnych kręctw. Nie wierz, jeśli ci powiedzą...

- Ani przez sekundę tak nie myślałam - wybuchnęła Sara.

- Dziękuję ci. Wkrótce wyjadę. Bardzo cierpiałem, kiedy nie zgodziłaś się za mnie wyjść, ale dobrze się stało. Teraz cieszę się, że nie obarczyłem cię moimi kłopotami.

Sara przystanęła i zwróciła się w jego stronę. Za nimi ścieżka wychodziła na pole i mrok rozświetlało jasne jezioro różowawego nieba. Pokazał się nów księżyca, srebrny błyszczący bułat. Sara zobaczyła go przez lewe ramię. Na twarzy Leona malowało się zmieszanie i czułość.

- Leonie - spytała cicho - to ty mnie jeszcze kochasz?

- Przecież sama wiesz - odparł smutno Leon.

Sara na to tylko czekała. Nagłym ruchem objęła go za szyję i przytuliła ciepły, wilgotny od łez policzek do jego lodowatej twarzy.

Kiedy ta zadziwiająca wieść, że Sara wychodzi za Leona Baxtera i wyjeżdża na zachód, dotarła do wszystkich członków klanu Andrewsów, jedni potrząsali głowami, drudzy podnosili do góry ręce. Pani Jonaszowa wdrapała się na wzgórze, by upewnić się, czy to prawda. Kiedy pojawiła się zdyszana, pani Ebenowa wykańczała „Irlandzki Łańcuch” tak gorliwie, jakby od tego zależało jej życie, a Sara z miną męczennicy zszywała romby następnej „Wschodzącej Gwiazdy”. Sara nienawidziła szycia narzut, ale woli pani Ebenowej niełatwo było się oprzeć.

- Saro Andrews, musisz zrobić tę narzutę. Skoro już masz zamiar zamieszkać na dzikich periach, będzie ci potrzeba wielu ciepłych narzut i choćbym miała urobić sobie ręce po łokcie, uszyję ci je, ale ty mi w tym dopomożesz.

I Sara pomagała.

Kiedy weszła pani Jonaszowa, pani Ebenowa szybko wysłała Sarę na pocztę, by pod jej nieobecność móc się swobodnie wygadać.

- A więc tym razem to prawda? - spytała pani Jonaszowa.

- Prawda - odparła raźnie pani Ebenowa. - Sara się uparła. Wiesz, że na jej upór nie ma rady, więc nawet nie próbowałam na nią wpłynąć. Zresztą nie jestem chorągiewką na



dachu. Ostatecznie Leon Baxter pozostał tym samym Leonem Baxterem. Zawsze uważałam go za wspaniałego człowieka. A jeśli chodzi o pieniądze, to ja i Eben też zaczęliśmy z niczego.

Pani Jonaszowa westchnęła z ulgą.

- Cieszę się, że tak uważasz, Luizo. Podzielam twoje zdanie, choć wolałabym, żeby nie dowiedziała się o tym pani Harmonowa. Zdarłaby ze mnie skórę. Zawsze lubiłam Leona, ale przecież Sara dotąd nie chciała na niego nawet patrzeć?

- Cóż, tego właśnie należało się spodziewać - zauważyła pani Ebenowa. - To ta przekora Sara. Każde kulawe kaczę natychmiast zdobywało jej zainteresowanie. Śmiało można powiedzieć, że bankructwo Leona stało się jego największym sukcesem.

## JEDYNAK

Thyra Carewe czekała na powrót syna. W charakterystycznym dla siebie bezruchu siedziała przy oknie w kuchni, patrząc w gęstniejący . mrok. Nawet nie drgnęła. Cokolwiek robiła, oddawała się temu całą sobą. Teraz oddawała się czekaniu.

- Nawet kamienny posąg wyglądałby przy niej jak żywy - zauważyła pani Cyntia White, sąsiadka zza drogi. - Aż mnie ciarki przechodzą, kiedy patrzę, jak tak siedzi i nawet nie mrugnie okiem. Mam wrażenie, że od jej wzroku gotowa się zapalić droga. Ile razy słyszę przykazanie „Nie będziecie mieć Bogów cudzych przede mną”, muszę myśleć o Thyrze. Ona tego swojego syna uwielbia tak, jakby to on był Stworzycielem nieba i ziemi. Zostanie za to ukarana.

Pani White bacznie obserwowała Thyrę, nie przestawała jednak wywijać drutami, by nie marnować czasu. Ręce Thyry beczynn timer spoczywały na podołku. Od chwili gdy usiadła przy oknie, w jej twarzy nie drgnął ani jeden mięsień. Pani White uskarżała się, że często oblatuje ją strach.

- To jest przeciwne naturze - orzekła. - Czasem myślę, że dostała wylewu, tak jak ten jej wuj Horacy, i na miejscu trafił ją szlag.

Był jesienny chłodny wieczór. Na morzu, tam gdzie zaszło słońce, pojawiła się czerwona ognista plama, po szafranowym niebie sunęły fioletowe chmury. Płynąca za posiadłością Carewe'ów rzeka była sina, a morze ciemne i wzburzone. Niemal każdy wzdrygnąłby się w przeczuciu nadchodzącej zbyt wcześnie zimy, ale Thyra lubiła takie ponure wieczory, przemawiało do niej groźne piękno niezycziwej przyrody. Nie zapaliła lampy, żeby nie tracić widoku posepnego morza i nieba. Wolała w ciemnościach czekać na powrót Chestera.

Tego wieczoru się spóźniał. Przypuszczała, że coś zatrzymało go w porcie, i nie niepokoila się. Była przekonana, że gdy tylko załatwi swoje sprawy, pospiesznie wróci do domu - do niej. Myślami wybiegła mu naprzeciw aż nad to wietrzne morze. Widziała, jak swobodnym krokiem idzie piaszczystymi zapadlinami w chłodnym świetle nieprzyjaznego zachodu słońca, silny i piękny, z ciemnoszarymi szczerymi oczyma ojca i z jej własnym podbródkiem z dołkiem pośrodku. Żadna kobieta w Avonlea nie miała takiego wspaniałego syna. Kiedy czasem, na krótko, wyjeżdżał, tęskniła za nim aż do bólu. Ze wzdardliwą litością pomyślała o Cyntii White, która z drugiej strony drogi robiła na drutach. Ta kobieta nie miała

syna - same bledziutkie córki. Thyra nigdy nie chciała mieć córki, kobiety pozbawione syna wzbudzały w niej politowanie i wzdgarę.

Na schodkach przed domem zaskomlał żałośnie pies Chestera. Miał dosyć wysiadania na zimnym kamieniu, marzył o swoim ciepłym legowisku za piecem. Thyra usłyszała go i uśmiechnęła się. Nie miała zamiaru go wpuścić. Utrzymywała zawsze, że nie lubi psów, ale prawdą było, że nie cierpi tego psa, gdyż Chester go kocha. Nawet z niewinnym zwierzęciem nie chciała się dzielić miłością syna. Kochała tylko jego i żądała, by odwzajemniał jej się równie wyłącznym uczuciem. Toteż skomlenie psa sprawiło jej pewną przyjemność.

Było już zupełnie ciemno, nad zżętymi polami zabłyśły gwiazdy, a Chester wciąż się nie pojawiał. Cyntia White opuściła swój punkt obserwacyjny, spuściła zasłonę i zapaliła lampę. Pojawiły się cienie krzątających się po kuchni dziewczynek. Uprzytomniło to Thyrze jej dzisiejszą samotność. Doszła do wniosku, że pójdzie na spotkanie Chestera i zaczeka na niego przy moście. Ale w tej chwili ktoś zastukał do drzwi.

Domyśliła się, że musi to być August Vorst, i bez pośpiechu zapaliła lampę. Nie przepadała za nim, był jednak uprzywilejowanym gościem.

Trzymając lampę w ręku podeszła do drzwi, jej oświetlona od dołu twarz wyglądała jak twarz zjawy. Nie zamierzała wpuścić Augusta do domu, ale on wszedł ochoczo, nie czekając na zaproszenie. August był garbatym i kulawym karłem, miał już swoje lata, ale zachował twarz chłopca, a w czarnych oczach migotała złośliwość.

Wyciągnął z kieszeni zmiętą gazetę i wręczył ją Thyrze. Był nieoficjalnym listonoszem Avonlea. Przynosił z poczty gazety i listy, a każdy chętnie wręczał mu jakiś drobny datek. Na rozmaite sposoby zarabiał niewielkie sumy, które musiały mu wystarczyć na życie. W jego plotkach krył się zawsze jad. Mówiło się, że w ciągu jednego dnia potrafi wyrządzić więcej szkody niż inni przez cały rok, tolerowano go jednak ze względu na kalectwo. Było w tym dużo poczucia wyższości i August zdawał sobie z tego sprawę. Najbardziej nienawidził tych, którzy byli dla niego dobrzy, a już zwłaszcza nienawidził Thyry. Nie cierpiał także Chestera, gdyż czuł zawiść w stosunku do wszystkich silnych, przystojnych mężczyzn. Nareszcie mógł zadać obojemu ból i aż biła od niego radość. Thyra zauważyła to i ogarnęły ją złe przecucia. Wskazała mu ruchem ręki fotel, ale był to ruch, jakim kierowałaaby psa na słomiankę.

August wlaźł na fotel i uśmiechnął się. Za chwilę ta kobieta, która zawsze patrzyła na niego jak na płaza, zacznie się więc z bólu.

- Czy nie spotkałeś po drodze Chestera? - spytała Thyra. August tylko na to czekał. - Chester poszedł po podwieczorku do portu, by zobaczyć się z Józkiem Raymondem, od którego chce pożyczyć łódź, i jakoś nie wraca. Nie wiem, co go mogło zatrzymać.

- Jak to co? To, co zatrzymuje każdego mężczyznę, poza takimi kreaturami jak ja. Dziewczyna. Śliczna dziewczyna, Thyro. Miło na nią spojrzeć. Nawet garbusowi wolno patrzeć. Nadzwyczajna dziewczyna.

- Co ty wygadujesz? - spytała zdumiona Thyra.

- Mówię o Damarze Garland. Chester siedzi teraz u Toma Blaira i nie spuszcza z niej oczu. Cóż, raz tylko bywa się młodym, Thyro, prawda? Nawet mały August Vorst był kiedyś młody.

- Co ty bajdurzysz?

Siedziała naprzeciwko niego ze splecionymi rękami. Była zawsze blada, ale teraz zbieleły jej nawet usta. August Vorst zauważył to z przyjemnością. I jeśli lubiło się ranić ludzi - a było to jedyną rozrywką Augusta - należało zobaczyć jej wzrok! August napawał się tym widokiem, była to słodka zemsta za długie lata wzgardliwej łaskawości.

- Przecież wiesz, Thyro.

- Nie wiem nic o twojej młodości, Auguście Vorst. Ale mówisz o moim synu i Damarze - powiedziałaś Damarze, prawda? - tak, jakby coś między nimi było. Pytam, co masz na myśli?

- Nic strasznego, Thyro. Nie musisz tak na mnie patrzeć. Młodzi ludzie to młodzi ludzie i nie ma w tym nic złego, że Chester zainteresował się dziewczyną, lubi na nią spojrzeć i z nią pogadać. Fertyczna dzierlatka! Będą ładną parą. Chester też nie jest brzydkim chłopcem.

- Auguście, nie nadużywaj mojej cierpliwości - chłodno napomniała go Thyra. - Odpowiedz na moje pytanie. Więc Chester siedzi spokojnie u Toma Blaira, choć wie, że ja tu na niego czekam?

August skinął potakująco głową. Zrozumiał, że nie może dłużej droczyć się z Thyrą.

- Tak. Już tam był, kiedy wpadłem. Siedział w kącie z Damarą i pożerał ją wzrokiem. Czemu się tak tym przejmujesz, Thyro? Wszyscy wiedzą, że od chwili przyjazdu Damary do Avonlea Chester koło niej skacze. I co z tego? Przecież nie będzie się wiecznie trzymał mamusinego fartuszka. Musi sobie sam znaleźć żonę. A zważywszy, że z niego chłop jak świeca, Damarą spojrzy pewnie na niego łaskawym okiem. Zresztą stara Marta Blair twierdzi, że ona już nie widzi poza nim świata.

W trakcie tyrady Augusta Thyra wydała z siebie dziwny dźwięk, który brzmiał jak stłumione łkanie. Potem słuchała go bez ruchu. Wreszcie wstała i uciszyła go groźnym wzrokiem.

- Powiedziałeś, co wiedziałeś, i aż pękałeś z radości, a teraz zmykaj.

- Ależ, Thyro - zaczął, ona jednak nie dopuściła go do słowa.

- Wynos się. I nie przynoś mi więcej pocztu! Mam dosyć tych twoich łgarstw!

August wyszedł, ale przystanął w drzwiach, by zadać ostatni cios.

- Nie skłamałem, Thyro... Całe Avonlea przyświadczy, że mówię prawdę. Chester szaleje za Damarą Garland. Myślałem, że wiesz. Ale z ciebie taka zazdrośnica, że pewnie wolał to utrzymywać w tajemnicy, żeby uniknąć awantury. A ja nigdy ci nie zapomnę, że wyrzuciłaś mnie za drzwi za to, iż przypadkiem opowiedziałem ci coś, co ci się nie spodobało.

Thyra nic nie odrzekła. Zamknęła za nim drzwi i zgasiła lampę. Potem rzuciła się na kozetkę i wybuchnęła płaczem. Ból przeszył ją aż do szpiku kości. Płakała tak niepohamowanie, jak zwykli płakać bardzo młodzi ludzie, a przecież nie była już młoda. Płakała tak, jakby bała się przestać płakać, gdyż wtedy musiałaby zacząć myśleć, a to wydawało jej się czymś nie do zniesienia. Po jakimś czasie jednak łzy wyschły i zaczęła rozpamiętywać każde słowo wypowiedziane przez Augusta Vorsta.

Thyrze nigdy dotąd nie przyszło na myśl, że jej syn może pokochać jakąś dziewczynę. Nie wierzyła, żeby w ogóle mógł pokochać kogoś prócz niej, skoro ona darzy go aż taką miłością. A teraz uświadomiła sobie tę potworną możliwość.

Kiedy Chester urodził się, była już w tym wieku, w którym kobiety zwykły godzić się z myślą, że ich dzieci opuszczą wkrótce dom. Macierzyństwo Thyry nadeszło późno, przeżywała je więc tym intensywniej. Po narodzinach syna ciężko chorowała, długie tygodnie musiała leżeć nieruchomo i patrzeć, jak inne kobiety piastują jej dziecko. Nigdy im tego nie darowała.

Mąż Thyry zmarł, gdy Chester miał zaledwie roczek. Gdy umierał, włożyła mu synka w ramiona i odebrała dziecko wraz z ostatnim błogosławieństwem. Owa chwila pozostała dla Thyry święta. Było tak, jakby to dziecko zostało jej dane po raz wtóry i tylko ona miała do niego prawo, którego nikt i nic nie było w stanie jej pozbawić.

Małżeństwo! Nigdy jej to nie przyszło na myśl. Ojciec Chestera ożenił się dopiero koło sześćdziesiątki. Z nią, Thyrą Lincoln, która też zbliżała się już do czterdziestki. Lincolnowie i Carewe'owie jeśli się w ogóle żenili - żenili się późno. Chester był dla niej ciągle jej małym synkiem. Jej własnością.

A teraz inna kobieta ośmieliła się spojrzeć na niego wzrokiem miłości. Damarą Garland! Thyra przypomniała ją sobie. Niedawno, po śmierci matki, przyjechała do Avonlea i zamieszkała u wujostwa. Thyra kiedyś spotkała ją na moście. Tak, na pewno mogła się podobać mężczyznom - niskie czoło otoczone aureolą rudawych włosów, porcelanowa cera i bardzo czerwone usta. Thyra zapamiętała jej oczy, orzechowe i roześmiane.

Dziewczyna minęła ją z uśmiechem. Kroczyła zadowolona z siebie, popisując się swoją urodą. Ale rzeczywiście miło było na nią spojrzeć, przyznała w myśli Thyra.

I to z tą dziewczyną siedzi dziś u Blairów jej syn, kiedy ona, jego matka, oczekuje go samotnie w ciemnościach. Ta dziewczyna na pewno go kocha, a on odwzajemnił jej się uczuciem. Myśl o tym wydała się Thyrze gorsza od śmierci. Jak ona śmie! Gniew Thyry skierował się przeciwko Damarze. Usidliła Chestera, a on, jak to mężczyzna, dał się uwieść szelmowskim oczom i pąsowym usteczkom. Thyra z wściekłością myślała o urodzie panny Garland.

- Nie, nie dostanie go - oświadczyła z namaszczeniem. - Nigdy nie oddam go żadnej kobiecie, a co dopiero jej! Ona będzie chciała wyprzeć mnie całkowicie z jego serca, mnie - matkę, która omal nie umarła dając mu życie. On należy do mnie! Niech ta dziewczyna poszuka sobie syna innej kobiety - takiej, która ma wielu synów. Nie oddam jej mojego jedynaka!

Wstała, narzuciła na głowę chustę i wyszła w srebrzysty wieczór. Chmury znikły, świecił księżyc. Powietrze było chłodne i przejrzyste. Kiedy szła nad rzeką i wchodziła na most, brzmiał jej w uszach szum olch. Zaczęła tam i z powrotem biegać po mostku wpatrując się w drogę; chwilami opierała się o poręcz i patrzyła, jak po czarnej powierzchni wody ślizga się księżycowe światło. Z rzadka ktoś mijał ją, zastanawiając się, co ona robi tu o tej porze i czemu tak dziwacznie wygląda. Zobaczył ją między innymi Karol White i tak potem opowiadał żonie:

- Biegała po moście jak oszalała! Z początku myślałem, że to ta stara wariatka Maria Blair. Co ona tam mogła robić?

- Na pewno wypatrywała tego swojego synalka - odpowiedziała Cyntia. - Nie wrócił jeszcze do domu. Pewnie znów wysiaduje u Blairów. Zastanawiam się, czy Thyra wie, że on kręci się koło Damary. Nie śmiałam jej o tym powiedzieć. Gotowa by się rzucić na mnie z pazurami!

- W każdym razie wybrała dziwną noc, żeby się gapić na księżyc - odparł Karol, który był jowialnym i prostodusznym człowiekiem. - Straszny ziąb. Idzie mróz. Swoją drogą szkoda, że nie można jej wyperswadować, że Chester już dorósł i musi się zabawić. Gotowa

zwariować tak jak jej babka, Lincolnowa. Może bym poszedł na most i przemówił jej do rozsądku?

- O nie! - krzyknęła Cyntia. - Jak już Thyrze coś strzeli do głowy, to najlepiej dać jej spokój. Każdej innej kobiecie w Avonlea dałoby się może coś przetłumaczyć. Ale ona tak szaleje na punkcie Chestera, że wołałabym mieć do czynienia z tygrysem. Nie zazdroszczę Damarze Garland, jeśli rzeczywiście coś z tego będzie. Thyra gotowa ją udusić!

- Wy, kobiety, zawsze naskakujecie na tę biedną Thyrę - zauważył zacny Karol. Kiedyś, dawno temu, podkochiwał się w Thyrze i dalej ją bardzo lubił. Zawsze występował w jej obronie, gdy napadały na nią panie z Avonlea. Całą noc martwił się o nią przypominając sobie, jak wyglądała na tym moście. I żałował, że pomimo protestów Cyntii nie poszedł tam.

Chester wracając do domu spotkał na moście matkę. W księżycowej poświacie dziwnie byli do siebie podobni, tyle że Chester miał łagodniejszy wyraz twarzy. Chester był bardzo przystojny i Thyra mimo bólu i zazdrości zachwyciła się jego urodą. Miała ochotę wyciągnąć rękę i pogłodzić go po twarzy, ale jej głos brzmiał bardzo ostro, gdy spytała, czemu tak się spóźnił.

- Wracając z portu zająrałem do Toma Blaira - odparł, chcąc iść dalej. Ona jednak chwyciła go za ramię.

- Poszedłeś tam zobaczyć się z Damarą? - spytała srogim tonem. Chester poczuł się nieswojo. Choć bardzo kochał matkę, trochę się jej zawsze bał, ona tak chętnie robiła z byle czego tragedię. Z niechęcią pomyślał, że żadnemu innemu młodemu człowiekowi w Avonlea nie mogło się coś podobnego przydarzyć! Żeby matka czekała na niego o północy i żądała wyjaśnień, czemu kogoś odwiedził! Na próżno próbował uwolnić ramię, wiedział, że nie uniknie odpowiedzi. Był z natury prawdomówny, nie potrafił więc wykręcić się sianem, ale słowo: - Tak! - wykrzyknął z gniewem. Nigdy dotąd nie odezwał się do matki podobnym tonem.

Thyra puściła jego ramię i ze szlochem załamała rękę. W owej chwili byłaby zdolna wbić nóż w serce Damary.

- Przestań, mamó - niecierpliwie napomniął ją Chester. - Zmarzniemy tutaj. Po coś tu przyszła? Kto cię na mnie napuścił? Co ci szkodzi, że chodzę do Damary?

- Ooo... - jęknęła Thyra. - Ja tu na ciebie czekam w tych ciemnościach, a ty myślisz tylko o niej! Chesterze, odpowiedz mi uczciwie, kochasz ją?

Chłopak zaczerwienił się. Mruknął coś pod nosem i ruszył w stronę domu, ona jednak znów złapała go za ramię. Starał się opanować gniew.

- A jeśli tak, mamó? Czyżby to było takie straszne?

- To co będzie ze mną?! - zawołała Thyra. - Mnie już nie kochasz?  
- Ty jesteś moją matką. Nie będę cię mniej kochał, choćbym pokochał dziewczynę.  
- Nie pozwolę ci nikogo kochać! - krzyknęła Thyra. - Potrzebuję całej twojej miłości, słyszysz, całej! Czym jest dla ciebie ta lalka w porównaniu z matką? Mam do ciebie prawo. Nikomu cię nie oddam!

Chester zrozumiał, że nie pomogą żadne argumenty. Próbował zaprowadzić ją do domu i odłożyć tę rozmowę do chwili, gdy matka trochę się uspokoi. Ale Thyra nie zamierzała dać za wygraną.

- Obiecaj mi, że więcej do niej nie pójdziesz - błagała. - Obiecaj, że przestaniesz się z nią widywać.

- Nie, tego ci nie mogę obiecać - sprzeciwił się ze złością. Jego gniew zabolął ją wprost fizycznie, ale nie ustąpiła.

- Jesteś z nią zaręczony?

- Mamo, uspokój się. Usłyszysz cię cała wieś. Dlaczego występujesz przeciwko Damarze? Nie znasz jej, ona jest taka słodka...

- Nie mam zamiaru jej poznawać! - krzyczała Thyra. - Nie dostanie ciebie, o nie!

Nie odpowiedział. Wybuchnęła płaczem i zaczęła głośno szlochać. Stropił się i objął ją.

- Mamo, przestań. Nie mogę patrzeć na twoje łzy. Czemu jesteś taka nierozsądna? Czy nigdy nie przyszło ci na myśl, że będę chciał się ożenić?

- Nie. I nie zniosę tego. Obiecaj, że jej więcej nie zobaczysz. Nie wrócę do domu, póki mi tego nie przyrzekniesz! Musisz mi obiecać, że przestaniesz o niej myśleć!

- Mamo, przecież tego nie mogę obiecać. Mamo, czemu jesteś dla mnie taka niedobra? Proszę cię, chodź do domu. Drżysz z zimna. Rozchorujesz się.

- Nie ruszę się stąd, póki mi nie obiecasz. Powiedz, że przestaniesz widywać tę dziewczynę, a nie ma rzeczy, której bym dla ciebie nie zrobiła. Ale jeśli wybierzesz ją - to nie wrócę do domu. Nigdy już nie wrócę do domu.

Nie była to czcza pogroźka, Chester dobrze o tym wiedział. Wiedział, że Thyra dotrzyma słowa. I w dodatku obawiał się o nią, w przypiływie szału mogłaby zrobić sobie coś złego. W rodzinie Lincolnów zdarzały się przypadki niepoczytalności. Kiedyś któraś Lincolnówna utopiła się... Chester spojrział na rzekę i zdrętwiał z przerażenia. Jego miłość do Damary zesłała na drugi plan.

- Mamo, uspokój się. Chodź. Pogadamy o wszystkim jutro. Obiecuję cię wysłuchać. Chodź.



Thyra wypuściła go z ramion i cofnęła się o krok. Spojrzała na niego tragicznym wzrokiem, wyciągnęła rękę i oświadczyła uroczyście:

- Chesterze, musisz wybrać jedną z nas. Jeżeli wybierzesz ją, odejdę i więcej mnie nie zobaczysz.

- Mamo!

- Tak, Chesterze!

Całe życie ulegał matce. Nie mógł więc aż tak nagle wyzwolić się spod jej wpływu. Zawsze dotąd był jej posłuszny. Zresztą kochał ją głębiej i bardziej wyrozumiale, niż zwykle syn kocha matkę. Zatem uświadomił sobie, że nie ma wyboru.

- Będzie, jak zechcesz - szepnął smutnie.

Podbiegła do niego i przytuliła go do serca, śmiejąc się i płacząc. Ach, jak dobrze! Teraz wszystko będzie dobrze - nie wątpiła o tym, gdyż wiedziała, że on dotrzyma tej niechętnie złożonej obietnicy.

- Synku, synku - szeptała - umarłabym, gdybyś ją wybrał. Teraz znów jesteś moim dobrym chłopcem.

Nawet nie zauważyła jego smutku, nie widziała, że czuje do niej wielki żal. Nie zaniepokoiło jej nawet jego milczenie, gdy wracali do domu. I tej nocy spała spokojnym snem. Upłynęło wiele dni, nim zorientowała się, że choć Chester formalnie dotrzymuje swojej obietnicy, to nie potrafi przestać o Damarze myśleć. Odebrała go tej dziewczynie - ale nie odzyskała go dla siebie. Pojawiła się między nimi bariera. Chester był dla niej miły i dobry, ale cierpiał i unikał jej towarzystwa. Widziała to. I nienawidziła Damary!

- On o niej cały czas myśli - skarżyła się samej sobie. - Boję się, że mnie znienawidzi za to, że kazałam mu się jej wyrzec. Ale wolę to, niżli bym miała dzielić się nim z inną kobietą. Och, synu, synu!

Wiedziała, że Damara także cierpi. Kiedyś spotkała ją i wyczytała to z jej twarzy. To uradowało Thyrę. Nieznośny ból zelżał, odkąd przekonała się, że nie tylko ją boli serce.

Teraz Chester rzadko bywał w domu. Większość wolnego czasu spędzał w porcie w towarzystwie Józka Raymonda i jego kolegów. Mieszkańcy Avonlea uważali, że nie są oni dla niego odpowiednimi przyjaciółmi.

Pod koniec listopada Chester wyruszył z Józkiem na żeglugę łodzią wzdłuż wybrzeża. Thyra protestowała, ale Chester wyśmiał jej obawy.

Thyra pożegnała go z przerażeniem w sercu. Nie lubiła morza i się go bała.

Chester od dzieciństwa morze kochał. Rybacy chętnie zabierali go na połów, a Thyra zawsze starała się temu przeszkodzić. Ale teraz utraciła nad nim władzę.

Po wyjeździe Chestera nie mogła sobie znaleźć miejsca, chodziła od okna do okna i wpatrywała się w ponure niebo. Wpadł z wizytą Karol White i nie potrafił ukryć przerażenia, gdy usłyszał, że Chester wyruszył na morze z Józkim.

- O tej porze roku to niebezpieczne - oburzył się. - Po tym lekkoduchu Józku Raymondzie wszystkiego się można spodziewać. Wszyscy uważają, że prędzej czy później się utopi. Co za pomysł, żeby w listopadzie płynąć wzdłuż wybrzeża! Thyro, nie powinnaś była na to pozwolić.

- Nie udało mi się go zatrzymać. Żebym nie wiem, co mówiła, i tak by wypłynął. Tylko śmiał się, gdy mówiłam, że to niebezpieczne. On się tak strasznie zmienił. Wiem dlaczego. I nienawidzę jej za to...

Karol wzruszył ramionami. Wiedział, że to sprawka Thyry, że Chester Carewe i Damarą Garland przestali się widywać, całe Avonlea o tym plotkowało. Jednakże współczuł Thyrze. W ciągu ostatniego miesiąca bardzo się postarzała.

- Nie powinnaś tak traktować Chestera, Thyro. Dorósł i nie może trzymać się wciąż fartuszek matki. Pozwól starymu przyjacielowi powiedzieć, że źle z nim postępujesz. Nie możesz, Thyro, być aż tak zazdrosna i wymagająca.

- Nic nie rozumiesz! Ty nie masz syna! - zauważyła nie bez okrucieństwa Thyra, która dobrze wiedziała, że Karol nad tym potajemnie cierpi. - Nie wiesz, co to znaczy kochać kogoś z całego serca i zawieść się.

Karol nie potrafił rozmawiać z Thyrą. Nigdy, nawet za dawnych czasów, nie rozumiał jej. Poszedł więc do domu, dalej wzruszając ramionami i ciesząc się w głębi duszy, że za młodych lat Thyra nie spojrzała na niego łaskawym okiem. Łatwiej było współżyć z Cyntią.

Nie tylko Thyra spoglądała tej nocy z niepokojem na niebo i morze. Także Damarą Garland wsłuchiwała się w huk oceanu, pełna złych przeczuć. A robotnicy portowi potrząsali tylko głowami powtarzając, że Chester i Józek musieli zwariować, żeby w taki czas ruszyć na morze.

- Z listopadowymi sztormami nie ma żartów - martwił się Abel Blair. Był już stary i niejedno widział.

Thyra nie zmrużyła tej nocy oka. Kiedy nawałnica zaatakowała dom, wstała i ubrała się. Wiatr ryczał za oknami jak ranny zwierzę. Thyra całą noc krążyła po domu, to płacząc i załamując ręce, to znów modląc się zbieleńszymi wargami.

Cały następny dzień szalał sztorm, ale w nocy ucichł i wstał pogodny poranek. Na wschodzie wyłoczone chmury zwiastowały słoneczny świt. Thyra wyjrzała przez kuchenne

okno i zobaczyła na moście kilku mężczyzn. Rozmawiali z Karolem White'em i spoglądali w stronę jej domu.

Wybiegła do nich. Żaden z nich nie zapomniał nigdy widoku jej pobladłej, zeszywniałej twarzy.

- Macie dla mnie wiadomości... - szepnęła. Mężczyźni spojrzeli po sobie, żaden nie śmiał się odezwać.

- Nie bójcie się - oświadczyła chłodno Thyra. - Wiem, co chcecie mi powiedzieć. Mój syn nie żyje.

- Tego jeszcze nie wiemy, pani Carewe - zawołał szybko stary Abel Blair. - Jeszcze nie tracimy nadziei. Ale w nocy znaleziono o czterdzieści mil stąd wyrzucone na brzeg czołno Józka Raymonda.

- Nie patrz tak, Thyro - poprosił Karol White. - Może ocaleli. Ktoś mógł ich wyłowić z morza.

Thyra spojrzała na niego niewidzącym wzrokiem.

- Wiesz, że to niemożliwe. Żaden z was w to nie wierzy. Nie mam już syna. Zabrało mi go morze.

Odwróciła się i weszła do pustego domu. Nikt nie ośmielił się za nią pójść. Karol White wrócił do siebie i poprosił żonę, żeby do niej zajrzała.

Kiedy Cyntia przysłała, Thyra siedziała w tym samym kącie, co zwykle; na kolanach dłońmi do góry leżały bezradnie ręce. Suche oczy płonęły. Cyntia patrzyła na nią ze współczuciem, a ona uśmiechnęła się ze skruchą.

- Dawno temu, Cyntio, rozłościłaś się na mnie i powiedziałaś, że spotka mnie kara boska za to, że zanadto ubóstwiam syna. Pamiętasz? Miałaś rację. Pan Bóg zobaczył, że bardziej kocham Chestera, i postanowił mi go odebrać. Pokrzyżowałam Jego plany, gdy zmusiłam Chestera, by wyrzekł się Damary. Ale nie można walczyć z Wszechmogącym Bogiem. Musiałam nie w ten, to w inny sposób utracić mojego syna. Został mi odebrany. I nawet nie będę mogła chodzić na jego grób.

- Żebyś ty widział jej oczy. Do szczętu zwariowała - zwierzała się potem Cyntia mężowi. Ale Thyrze tego nie powiedziała. Choć była powierzchowna i niezbyt mądra, umiała współczuć. Usiadła obok Thyry i objęła ją. I ze łzami w oczach szepnęła drżącym głosem:

- Thyro, wiem, jak cierpisz. Ja też straciłam dziecko... mego nowo narodzonego synka. A Chester był takim wspaniałym, kochanym chłopcem...

Przez chwilę Thyra próbowała się uwolnić z jej objęć. Potem wstrząsnął ją dreszcz i rozplakała się. Nareszcie pojawiły się łzy.

Kiedy rozeszła się ta smutna wiadomość, wszystkie kobiety z Avonlea kolejno przychodziły wyrazić Thyrze swe współczucie. Większość z potrzeby serca, ale były też takie, które sprowadziła ciekawość. Thyra wiedziała o tym, ale nie czuła urazy, choć dawniej nie opanowałyby gniewu. Potulnie wysłuchiwała tak sztucznych, jak prawdziwych słów pociechy.

Kiedy zapadł wieczór, Cyntia musiała wrócić do domu, ale zapowiedziała, że przyśle jedną z córek.

- Nie możesz zostać sama.

Thyra spojrzała na nią dziwnym wzrokiem.

- Tak. Ale proszę cię, poślij po Damarę Garland.

- Damarę Garland! - powtórzyła Cyntia nie wierząc własnym uszom. Po Thyrze można było wszystkiego oczekiwać, ale coś takiego!

- Tak. Powiedz jej, że proszę, by do mnie przyszła. Na pewno nienawidzi mnie, ale przecież zostałam już ukarana. Poproś, żeby zrobiła to dla Chestera.

Cyntia posłusznie wysłała córkę po Damarę. I czekała na nią u Thyry. Żadne domowe obowiązki nie skłoniłyby jej do wyjścia, musiała być świadkiem spotkania Thyry z Damarą. Ciekawość była silniejsza.

Przypuszczała, że Damara może odmówić przyjścia. Ale Damara pojawiła się. Thyra wstała i przez chwilę na siebie patrzyły.

Uroda Damary zbladła. Oczy miała zapuchnięte od łez, twarz zszarzała. Tylko włosy, które kaskadą wypływały spod chusty, świeciły od blasku zachodzącego słońca i okalały aureolą zmizerowaną twarz. Thyra patrzyła na nią, pełna wyrzutów sumienia. Wyciągnęła ku niej rękę.

- Damaro, wybacz mi. Obie kochałyśmy go i niech to nas połączy.

Damara podeszła, objęła i ucałowała Thyrę. Cyntia White zrozumiała, że nie ma tu dla niej miejsca. Jej gniew skrupił się na niewinnej córce.

- Chodźmy - szepnęła gniewnie. - Czy nie widzisz, że przeszkadzamy?

Pod koniec grudnia Damara wciąż jeszcze mieszkała u Thyry. Zostało postanowione, że nie opuści jej aż do wiosny. Thyra nie chciała się z nią ani na chwilę rozstać. Wciąż rozmawiały o Chesterze. Thyra wyznała, jak jej kiedyś nienawidziła. Damara przebaczyła jej, ale Thyra nie potrafiła sobie wybaczyć. Zmieniła się, opuściła ją surowość, stała się czuła i miękka. Posunęła się nawet do tego, że posłała po Augusta Vorsta i przeprosiła go za swoje zachowanie.

Tego roku zima opóźniła się, wciąż było ciepło. Nie spadł jeszcze śnieg i któregoś dnia, w miesiąc po tym, jak morze wyrzuciło na brzeg łódź Józka Raymonda, Thyra znalazła pod zeschniętymi liśćmi w ogrodzie kwitnące bratki. Zaczęła je zrywać dla Damary, kiedy usłyszała na moście stukot kół. W parę minut później zobaczyła, jak biegną przez swe podwórze Karol i Cytia. Karol był zaczerwieniony, a Cytia płakała.

Thyra skamieniała ze strachu. Czyżby coś przydarzyło się Damarze? Nie, przez okno zobaczyła, że dziewczyna spokojnie siedzi w domu coś szyjąc.

- Thyro, Thyro! - wołała Cytia.

- Przygotuj się na dobre wiadomości, Thyro - poprosił Karol. - Przynosimy dobrą nowinę.

Thyra patrzyła na nich oszalałym wzrokiem.

- Czy to możliwe?... Chester...

- Tak. Chester żyje. Jest cały i zdrow. I on, i Józek. Cytio, podtrzymaj ją.

- Nie, nie zamierzam zemdleć - oświadczyła Thyra opierając się o ramię Cytii. - Mój syn żyje? Skąd wiecie? Gdzie on jest?

- Dowiedziałem się w porcie, Thyro. Przyplłynął z Magdaleny statek Michała McCready, *Nora Lee*. Tamtej nocy płynąca do Quebecu *Nora Lee* wyłowiła ich z morza. Ale została uszkodzona i musiała zboczyć z kursu. Przybiła na Magdalenę i tam ją dotąd reperowano. Kabel na wyspę został zerwany i była odcięta od świata, bo o tej porze roku nie zawijają tam statki z pocztą. Gdyby zima się nie opóźniła, *Nora Lee* zostałaby tam aż do wiosny. Nigdy nie widziałeś takiej radości jak dziś w porcie, kiedy *Nora Lee* wpłynęła z flagami na masztach.

- Gdzie jest Chester?

Karol i Cytia spojrzeli na siebie.

- Thyro, jest u nas w domu. Karol przywiózł go z portu, ale chcieliśmy cię przygotować. Czeka na ciebie.

Thyra ruszyła w kierunku furtki. Ale zawróciła.

- Nie. Ona ma do niego większe prawa. Bogu dzięki, mogę mu wynagrodzić to, co zrobiłam. Bogu dzięki.

Weszła do domu i zawołała Damarę. Kiedy dziewczyna schodziła po schodach, Thyra wyciągnęła ku niej rękę, a jej twarz rozświetliła się.

- Damaro - szepnęła. - Wrócił do nas Chester. Czeka u White'ów. Idź po niego i przyprowadź go do domu.

## EDUKACJA BIETKI

Kiedy Sara Currie wyszła za Janka Churchilla, złamała mi serce... a w każdym razie mocno w to wówczas wierzyłem; dwudziestodwuletniemu chłopcu wszystko, co czuje, wydaje się najprawdziwszą prawdą. Nikomu się z tego nie zwierzałem, Douglasowie zawsze byli dumni i zależało mi na zachowaniu rodzinnych tradycji. Wiedziała o tym tylko Sara, a w każdym razie tak wówczas myślałem, choć teraz przypuszczam, że musiała opowiedzieć o tym Jankowi. W każdym razie nigdy się z tym nie zdradził i nie okazywał mi fałszywego współczucia, wręcz przeciwnie, poprosił mnie, żebym został jego drużbą. Janek był prawdziwym dżentelmenem.

Drużbowałem więc na jego weselu. Byliśmy zawsze najserdeczniejszymi przyjaciółmi i choć straciłem ukochaną, nie zamierzałem w dodatku utracić przyjaciela. Sara mądrze wybrała, Janek był dużo więcej wart niż ja, może dlatego, że od dzieciństwa musiał na siebie pracować.

Zatem wytańcowywałem na weselu Sary udając, że mi lekko na sercu, ale potem zamknąłem na cztery spusty Klonowy Dom i wyjechałem za granicę. Jak już wspomniałem, należałem do tych niefortunnych śmiertelników, którzy nie muszą się liczyć z czasem ani z pieniędzmi. Przez dziesięć lat bujałem po świecie, a w moim domu zagnieździły się mole i pająki. Dobrze się bawiłem, ale nie przyznawałem się do tego sam przed sobą, uważając, że nie przystoi to człowiekowi o złamanym sercu. Udawałem, że wciąż rozmyślam o przeszłości, ale terażniejszość była bardzo przyjemna, a jeśli chodzi o przyszłość... nie, nie zastanawiałem się nad przyszłością.

Biedny Janek Churchill umarł. W rok po jego śmierci wróciłem do domu i jeszcze raz, tak jak nakazywało mi poczucie honoru, oświadczyłem się Sarze. Sara znów mi odmówiła, dając do zrozumienia, że jej i serce spoczęło w grobie Janka. Okazało się, że niezbyt się tym przejąłem... no tak, trzydziestoletni mężczyzna nie bierze już tych rzeczy tak do serca jak głupi dwudziestolatek. Byłem zresztą bardzo zajęty doprowadzaniem do porządku Klonowego Domu, no i musiałem się zająć edukacją Bietki.

Bietka była dziesięcioletnią, niemożliwie rozpuszczoną córką Sary. Sara pozwalała jej na wszystko i Bietka, która odziedziczyła po Janku miłość do przyrody, po prostu zdziczała. Była urwisem jak mało który chłopak, w niczym nie przypominała Sary, nie odziedziczyła jej urody. Bietka wdała się w ojca, była ciemna, a kiedy ją pierwszy raz zobaczyłem, widać było

tylko nogi i chudą szyję. Trzeba się jej było dobrze przyjrzeć, by zobaczyć, że ma piękne migdałowe oczy, maleńkie kształtne rączki i nóżki oraz dwa grube orzechowe warkocze.

Ze względu na pamięć Janka postanowiłem się zająć wychowaniem jego córki. Sara tego nie potrafiła, zresztą nawet nie próbowała. Widziałem, że jeśli ktoś nie weźmie Biety mocno w garść, dziewczyna gotowa się zmarnować. Nikogo poza mną zdawało się to nie interesować, postanowiłem zatem, że zobaczę, jak sobie z nią poradzi taki stary kawaler jak ja. Mógłbym być jej ojcem, ale jej ojcem był mój najlepszy przyjaciel. Któż zatem miał większe prawo, by zająć się jego córką? Miałem zamiar stać się dla niej drugim ojcem i zrobić wszystko, co mógłby zrobić najbardziej oddany krewny. Uznałem to za swój obowiązek.

Powiedziałem Sarze, że zamierzam się zająć edukacją Bietki. Sara żałośnie westchnęła - kiedyś zachwyciałem się jej westchnieniami, ale teraz ku swemu wielkiemu zdziwieniu stwierdziłem, że mnie one irytują - i oświadczyła, że będzie mi bardzo wdzięczna.

- Wiem, że nie dałabym sobie z tym rady, Stefanie - wyznała. - Bietka jest dziwnym dzieckiem - wykapana Churchillówna. Jej biedny ojciec na wszystko jej pozwalał, a ona wie, czego chce. Nie mam na nią żadnego wpływu. Cały dzień gania po polach i lasach i rujnuje sobie cerę. Co prawda nie bardzo ma co rujnować. Churchillowie nie odznaczają się piękną karnacją... - Sara z zadowoleniem przejrzała się w lustrze. - Próbowałam zmusić Bietkę, żeby nosiła kapelusik od słońca, ale równie dobrze mogłabym przemawiać do wiatru.

Wyobraziłem sobie Bietę w kapelusiku i tak mnie to rozbawiło, że z wdzięczności obsypałem Sarę komplementami.

- Tak, to wielka szkoda, że Bietka nie odziedziczyła po matce tego cudownego kolorytu - powiedziałem - ale musimy się zastanowić, co możemy dla niej zrobić. Zresztą na pewno wyprzystojnieje, gdy dorośnie. A przede wszystkim musimy zadbać, by wyrosła na prawdziwą damę. Obecnie zachowuje się raczej jak rozhukany chłopak, ale w końcu płynie w niej krew Churchillów i Currieach. Tyle, że trzeba do niej mądrze podejść. Obiecuję, że zrobię, co będę mógł. Odtąd moim powołaniem będzie walka z tą słynną „naturą” Wordswortha, zawsze czułem do niej nieufność mimo tych jego przewrotnych wierszy. Sara mnie oczywiście nie zrozumiała, ale też wcale nie udawała, że rozumie.

- Stefanie, powierzam ci wychowanie Bietki - powiedziała, znów wzdychając. - Jestem pewna, że nie mogłabym jej oddać w lepsze ręce. Na tobie zawsze można było polegać.

Cóż, było to pewne zadośćuczynienie za moje wierne oddanie. Odpowiadała mi pozycja nieoficjalnego doradcy Sary i samozwańczego opiekuna Biety. A ponieważ wziąłem

sobie tę sprawę do serca, rad byłem, że Sara odrzuciła moją propozycję małżeństwa. Jakiś szósty zmysł mówił mi, że łatwiej poradzi sobie z Bieta stary przyjaciel rodziny niż ojczym. Dla Biety pamięć jej ojca była święta i gdybym zajął jego miejsce, uraziłoby to ją i przestałaby mi ufać.

Na szczęście Bieta lubiła mnie. Oświadczyła mi to ze wzruszającą otwartością, równie otwarcie zawiadomiłaby mnie o swojej nienawiści, gdyby przypadkiem ją czuła.

- Ty, Stefanie, jesteś najmilszym starszym panem, jakiego znam. Fajny z ciebie facet.

Zatem miałem stosunkowo łatwe zadanie. Drzę na myśl, co by było, gdyby Bieta nie uważała mnie za „fajnego faceta”. I tak bym nie zrezygnował, ale miałbym zatrute życie. Bieta genialnie umiała zdręczać nielubiane przez siebie osoby.

Następnego dnia po rozmowie z Sarą wybrałem się do Glenby, chcąc pogadać z Bieta i dojść z nią do porozumienia. Bieta była bystrym dzieckiem i należało postępować z nią otwarcie, uznałem więc, że należy powiedzieć jej wprost, iż zdecydowałem się zająć jej edukacją.

Spotkałem Bietę na bukowej alei, pędziła zdyszana przed siebie wraz ze swoimi psami, miała rozwiane włosy, które wyrażały ducha niezależności. Posadziłem ją przed sobą na koniu i przekonałem się, że Sara oszczędziła mi trudu wyjaśnienia jej sytuacji.

Mama powiedziała, że chcesz się zająć moją edukacją - oznajmiła Bieta, gdy tylko złapała oddech. - Bardzo się cieszę, bo jak na dorosłego człowieka jesteś zupełnie rozsądny. Skoro tak czy owak muszę się kształcić, to już wolę, żebyś mnie kształcił ty.

- Dziękuję ci. Bietko - powiedziałem uroczyście. - Mam nadzieję, że nie zawiodę cię. Ale oczekuję, że będziesz się mnie słuchać.

- Będę - odparła Bieta. - Jestem pewna, że nie każesz mi robić niczego, czego nienawidzę. Nie zamkniesz mnie chyba w pokoju i nie każesz szyć? Tego bym nie zniosła.

Zapewniłem ją, że nie mam takich zamiarów.

- I nie pošlesz mnie do szkoły z internatem? - nalegała Bieta. - Mama stale mi tym groziła. Pewnie by to już dawno zrobiła, ale wiedziała, że ucieknę.

- Nie pošlę - zgodziłem się chętnie. - Nawet mi to nie przyszło na myśl, żeby takie dzikie stworzonko jak ty zamykać w klatce.

- Wiedziałaś, że świetnie się dogadamy - oświadczyła przymilnie Bieta ocierając się policzkiem o moje ramię. - Ty umiesz zrozumieć człowieka. Mało kto potrafi. Nawet tatuś nie bardzo mnie rozumiał- Pozwalał mi na wszystko, ale nie rozumiał, dlaczego nie potrafię siedzieć w domu i bawić się lalkami. Nie cierpię lalek! Małe dzieci mogą być zabawne, ale sto razy wolę psy i konie.



- Musisz się jednakże uczyć. Wybiorę dla ciebie nauczycieli i sam będę sprawdzał twoje postępy. Mam nadzieję, Bietko, że nie przyniesiesz mi wstydu.

- Będę próbowała, słowo daję. Stefanie, będę próbowała.

Z początku uważałem kształcenie Biety za swój obowiązek, wkrótce stało się to przyjemnością i największą pasją mojego życia. Tak jak przypuszczałem, Bietka była zdolna i łatwo przychodziło formować jej umysł. Z dnia na dzień, z tygodnia na tydzień i z miesiąca na miesiąc rozwijała się i zmieniała.

Bieta wyrosła na taką dziewczynę, jaką według mnie powinna być córka Janka Churchilla. Pełna werwy i dumy, lojalna i kochająca, nienawidziła fałszu i obłudy, była kryształowo czystym lustrem, każdy mężczyzna, który w to lustro spojrzeł, widział na wylot swoje słabości i wstydził się. Bieta była tak miła, iż utrzymywała, że wszystkiego, co wie, nauczyła się ode mnie. Ale naprawdę to ja wiele się od niej nauczyłem. To ja zaciągnąłem wobec niej dług.

Sara była zadowolona. Była nawet tak uprzejma, że stwierdziła, iż to nie z mojej winy Bieta nie jest ładniejsza. Natomiast na pewno zrobiłem wszystko, co się dało, by ukształtować jej charakter i umysł. Zachowanie Sary dawało do zrozumienia, że jest to nieważny drobiazg, skoro Bieta nie ma białoróżanej cery i dołeczków, była jednak na tyle wspaniałomyślna, że mnie o to nie obwiniała.

- Kiedy Bieta skończy dwadzieścia pięć lat - oświadczyłem, zdobywając się na cierpliwość, a coraz trudniej mi to przychodziło - będzie piękną kobietą, piękniejszą, Saro, niż ty byłaś w czasach twej różanej młodości. Gdzie ty masz oczy, kobieto, że tego nie widzisz. - Bietka ma siedemnaście lat i jest tak samo śniada i chuda, i niezdarne, jak była mając lat dziesięć - westchnęła Sara. - Kiedy ja miałam siedemnaście lat, byłam królową piękności całego powiatu i otrzymałam pięć propozycji małżeńskich. A założę się, że Bietce w ogóle nie przyszło jeszcze do głowy pomyśleć o wielbicielach.

Mam nadzieję - oświadczyłem krótko i z niezadowoleniem. Bietka jest jeszcze dzieckiem. Na litość boską, Saro, nie podsuwaj jej takich pomysłów.

Niestety niczego nie potrafię jej wbić do głowy - rozpaczła Sara - Myśli tylko o książkach i takich rzeczach. W pełni ci, Stefanie, ufam, zdołałaś cuda, ale czy nie sądzisz, że Bietka jest teraz za mądra? Mężczyźni nie lubią zbyt mądrych kobiet. Jej biedny ojciec mawiał zawsze, że to przeciwne naturze, żeby dziewczyna wolała książki od wielbicieli.

Nie wyobrażam sobie, by Janek mógł powiedzieć coś tak niemądrego. Sara musiała to wymyślić. Ale nie podobało mi się, iż przyrównuje Bietę do sawantek.

Kiedy nadejdzie odpowiedni czas. Bieta na pewno zainteresuje mc mężczyznami. Chwilowo na pewno lepiej, żeby myślała o książkach, niż nabijała sobie głowę urojonymi sentymentami. Niełatwo mnie zadowolić, ale z Biety jestem dumny, tak, dumny. Sara westchnęła.

- Och, nie mam jej nic do zarzucenia. Stefanie, i jestem ci bardzo wdzięczna. Sama bym z nią sobie nie poradziła. To nie twoja wina, rzecz prosta, ale wolałabym, żeby była bardziej podobna do innych dziewcząt.

Wyjechałem z Glenby wściekły i pędziłem do domu galopem. Co za szczęście, że Sara nie wyszła za mnie, kiedy byłem nierozumnym młodzikiem. Oszalałbym! Te jej westchnienia i ta tępota! Nie, stop. Była przecież dobrą, miłą kobieciną, uszczęśliwiła Janka i wydała na świat istotę tak wyjątkowa jak Bieta. Za to wiele można jej było wybaczyć. Więc kiedy znalazłem się w Klonowym Domu i zapadłem w wygodnym starym fotelu w bibliotece, nie tylko jej wybaczyłem, ale zacząłem się poważnie zastanawiać nad tym, co powiedziała.

Czy Bieta była rzeczywiście niepodobna do innych dziewcząt? I czym się to objawiało, czy chodziło o coś ważnego? Tego bym sobie nie życzył; byłem zatwardziałym starym kawalerem, ale uważałem młode dziewczęta za najpiękniejszy dar Pana Boga. Chciałem, żeby Bieta była prawdziwą młodą dziewczyną w najlepszym znaczeniu tego słowa.

W ciągu następnego tygodnia bacznie ja obserwowałem, co dzień jeździłem do Glenby, a wieczorami oddawałem się medytacjom. Wreszcie powziąłem decyzję, która mnie samego zdziwiła. Bieta musi pojechać do szkoły z internatem, musi spędzić rok wśród swoich rówieśnic.

Następnego dnia zastałem Bietę pod bukiem na trawniku, właśnie wróciła z przejażdżki konnej. Siedziała na jabłkowej klaczy, którą jej ofiarowałem na ostatnie urodziny i zaśmiewała się z harców psów. Patrzyłem się na nią z przyjemnością i rad byłem, że wciąż jeszcze jest dzieckiem. Była wysoka, tak jak prawdziwa Churchillówna, ale na plecy opadały nadal grube warkocze, a buzia wciąż była dziecinna. Śniada cera, nad którą tak ubolewała Sara zarumieniła się od galopu, podłużne ciemne oczy patrzyły z młodzieńczą naiwnością.

Kiedy powiedziałem Bietce, że musi na rok wyjechać do szkoły, obruszyła się i zasepiła, ale zgodziła się. Nauczyła się mnie słuchać, nawet jeśli się jej to nie podobało, choć z początku sądziła, że nie będzie musiała robić niczego, co by jej było przykre.

- Jeśli tak być musi, Stefanie, to pojedę. Ale dlaczego tego chcesz? Na pewno masz jakieś powody - niczego nie robisz bez powodu. Powiedz mi, o co chodzi?

- Sama się o tym przekonasz. Myślę, że wracając będziesz już świetnie wiedziała. Jeżeli nie - to okaże się, iż nie miałem racji, i nie będzie o czym mówić.

Pożegnałem Bietę nie zameczając jej dobrymi radami.

- Pisz do mnie co tydzień i nie zapominaj, że jesteś Churchillówna. Bieta stała wśród psów na schodach domu. Zeszła i objęła mnie za szyję.

- Będę pamiętała, że jesteś moim przyjacielem i nie przyniosę ci wstydu - oznajmiła. - Do widzenia, Stefanie.

Pocałowała mnie parę razy, były to serdeczne głośne całusy, czyż nit mówiłem, że wciąż jeszcze była dzieckiem? A kiedy odjeżdżałem, kiwała mi długo ręką. Dojechawszy do końca alei obejrzałem się i widziałem, jak wciąż stoi, bez kapelusza, w tej swojej krótkiej spódniczce i nieustraszonymi oczyma patrzy w słońce. I tak po raz ostatni zobaczyłem Bietkę-dziecko.

Był to smutny, samotny rok. Nic już nie zajmowało moich myśli i obawiałem się, że w przyszłości nie będę już Biecie potrzebny. Życie stało się puste i nudne. Jedyne rozrywkę stanowiły cotygodniowe listy Biety. Były obrazowe i dowcipne. Okazało się, że ma prawdziwy talent pisarski. Z początku potwornie tęskniła do domu i błagała, bym pozwolił jej wrócić. Kiedy odmówiłem - a przyszło mi to z najwyższą trudnością - nadeszły trzy zagniewane listy, ale potem pogodziła się z losem, a nawet zaczęło jej się to nowe życie bardzo podobać. Ale dopiero pod koniec roku napisała:

„Teraz już wiem, Stefanie, po co mnie tu przysłałeś, i cieszę się, że to zrobiłeś.

W dzień powrotu Biety do domu miałem coś ważnego do załatwienia. Pojechałem do Glenby następnego popołudnia. Zastałem tylko Sarę. Promieniała. Zachwycała się zmianami, jakie zaszły w Biecie. Nie poznam tego „kochanego dziecka”.

To mnie przeraziło. Co oni z Biety zrobili? Dowiedziałem się, że Bieta poszła na spacer do lasu i pobiegłem tam. Kiedy zobaczyłem, jak nadchodzi długą złocistą aleją, schowałem się za drzewo, by jej się przyjrzeć, zanim mnie zobaczy. Kiedy podeszła bliżej, spojrzałem na nią ze zdziwieniem, dumą i zachwytem - a jednocześnie poczułem dziwny ból w sercu, nie, nigdy jeszcze czegoś podobnego nie czułem, nawet wówczas, kiedy Sara dała mi kosza.

Bietka stała się kobietą! Nie chodziło tu o jej zgrabną sylwetkę, której linię uwydatniała biała sukienka, nie chodziło o brunatne loki okalające jej twarz, ale o rozmarzony wyraz oczu. Był to wzrok kobiety, która podświadomie szuka i oczekuje miłości.

Wstrząśnięty zbladłem. Powinienem był się cieszyć. Stała się taka, jak tego pragnąłem. Ale zatęskniłem za Bietką-dzieckiem, ta kobieca Bietka przestała do mnie należeć.

Wyszedłem zza drzewa, zobaczyła mnie i rozjaśniła jej się twarz. Ale nie zaczęła biec, by mi się rzucić w ramiona, tak jak by to się stało przed rokiem, podeszła tylko szybko i wyciągnęła rękę. Z daleka wydała mi się bledziutka, ale musiałem się mylić, na policzkach widniały rumieńce. Uścisnąłem jej dłoń - tym razem nie było pocałunków.

- Witaj w domu, Bietko.

- Ach, Stefanie, tak się cieszę, że wróciłam - szepnęła i zabłyśły jej oczy.

Nie powiedziała, że cieszy się, iż mnie widzi, a bardzo na to liczyłem. I poza tą chwilą powitania zachowywała się chłodno i z rezerwą. Przez godzinę spacerowaliśmy po lesie i rozmawialiśmy. Bieta opowiadała błyskotliwie i dowcipnie, była absolutnie czarująca. Chodząca doskonałość - a jednak dalej bolało mnie serce. Cudowna młoda dziewczyna, ach, ta cudowna młodość. Szczęśliwy mężczyzna, któremu uda się ją zdobyć. Na pewno w Glenby pojawi się całe stado wielbicieli. Ilekroć przyjadę, natknę się na jakiegoś wzdychającego młodzika. No i co z tego? Bieta musi wyjść za męża. A do mnie należy przypilnować, żeby znalazła dobrego, godnego jej męża. Cóż stąd, że milej mi było zajmować się jej wykształceniem. W gruncie rzeczy chodziło o to samo. Teraz ma przed sobą najtrudniejszą lekcję życia - miłość. I ja, wypróbowany przyjaciel rodziny, muszę dopilnować, by znalazła odpowiedniego nauczyciela. Dopiero wtedy skończy się jej edukacja.

Zasepiony wróciłem do domu. I teraz zrobiłem coś, czego nie robiłem od lat - przejrzałem się w lustrze. Uderzyło mnie, jak bardzo się postarzałem. Na twarzy pojawiło się wiele zmarszczek, na skroniach siwe włosy. Kiedy Bietka miała dziesięć lat, nazwała mnie „starszym panem”. Teraz osiemnastoletniej Biecie musiałem się wydawać przedpotopowym wykopaliskiem. Hm, nie ma to przecież najmniejszego znaczenia. A jednak... zobaczyłem ją oczyma wyobraźni na tej ścieżce wśród sosen i znów ścisnęło mi się serce.

Sprawdziły się moje przewidywania co do wielbicieli. Wkrótce w Glenby zaroilo się od młodych ludzi. Diabli wiedzą, skąd się wzięli. W całej okolicy było ich dużo mniej. Sara była w siódmym niebie. Nareszcie Bietka cieszy się należnym powodzeniem. Ilu konkurentów oświadczyło się? Cóż, Bietka nie należała do dziewczyn przechwalających się skalpami, ale od czasu do czasu któryś z młodzieńców zniknął i można się było domyślać, co to oznacza.

Bieta wyglądała na zachwyconą. Z przykrością muszę powiedzieć, że okazała się kokietką. Próbowałem na to wpłynąć, ale po raz pierwszy nie udało mi się jej przekonać. Na

próżno wygłaszałem kazania, Bieta się tylko śmiała i flirtowała dalej. Chłopcy pojawiali się i znikali, a Bieta nie przestawała flirtować. Przez rok to wytrzymałem, a potem doszedłem do wniosku, że muszę temu zaradzić. Sam znajdę męża dla Bietki... to mój ojcowski obowiązek... więcej, muszę to zrobić ze względu na bezpieczeństwo publiczne.

Żaden z mężczyzn, którzy pojawiali się w Glenby, nie był dla niej odpowiednim partnerem. Pomyślałem o moim bratanku, Franciszku. Był to wspaniały chłopak, przystojny i o kryształowym charakterze. Sara także uzna go za dobrą partię, miał pieniądze i pozycję społeczną, zapowiadał się na świetnego adwokata. Idealnie nadawał się - niech go licho porwie - na męża dla Biety.

Nigdy się dotąd nie spotkali. Od razu zabrałem się do dzieła, żeby jak najprędzej mieć to z głowy. Nienawidzę zamieszania, ale zachowałem się jak wytrawny swat. Zaprosiłem Franka, a nim przyjechał, parokrotnie wspomniałem o nim Biecie, wcale go przesadnie nie chwalałem, a nawet wysuwając pewne zastrzeżenia. Dziewczęta nie lubią wzorowych młodzieńców. Bieta słuchała mnie z zainteresowaniem, a nawet zadała parę pytań, co uznałem za dobry znak.

Frankowi nic o Biecie nie opowiedziałem, tylko zabrałem go do Glenby. Spotkaliśmy Bietkę, jak o zachodzie słońca spacerowała wśród buków, i przedstawiłem go.

Byłby chyba nienormalny, gdyby się w niej z punktu nie zakochał. Żadne męskie serce nie mogło się oprzeć jej promieniującej kobiecości. Miała na sobie białą sukienkę, kwiaty we włosach i przez chwilę miałem ochotę zamordować Franka, zamordować każdego mężczyznę, który ośmieliłby się świętokradczo starać o jej względy.

Potem opanowałem się i zostawiłem ich samych. Mogłem pójść do Sary i powspominać z nią stare dzieje - ale tego nie zrobiłem. Błądziłem po lesie i usiłowałem zapomnieć, jakim Franek jest pięknym chłopcem i jak na widok Sary zabłyśły mu oczy. No i co z tego? Przecież po to go tu przywiozłem. Powinienem się cieszyć, że mój plan się powiódł. Ależ tak, cieszę się. Jestem wprost zachwycony.

Następnego dnia Franek wybrał się do Glenby, nawet nie udając, że pragnie mojego towarzystwa. Podczas jego nieobecności doglądałem budowy nowej cieplarni. Ale mało mnie to obchodziło. W cieplarni miałem zamiar hodować róże, a to przypomniało mi bladeżółte różyczki, które Bietka przypięła na piersi tydzień temu, kiedy zjrzałem wieczorem. Choć raz nie natrafiłem na żadnego wielbiciela i spacerowaliśmy po lesie gadając tak jak dawniej, nim nie rozdzieliła nas jej rozkwitła kobiecość i moje siwe włosy. Jedna z róż upadła na brunatne igliwie i po odprowadzeniu Bietki do domu pobiegłem po nią ukradkiem. Teraz różyczka ta

spoczywała w moim portfelu. Co u licha, przyszlęmu wujowi wypada chyba kochać przyszlę bratanicę?

Zaloty Franka zdawały się cieszyć powodzeniem. Inni wielbiciele znikli. Bieta uśmiechała się zachęcająco, Sara promieniała, a ja pochlebiałem sobie, że za kulisami pociągam za sznurki.

Pod koniec miesiąca coś się popsuło. Któregoś wieczoru Franek wrócił z Glenby zasepiony i przestał się odzywać. Trzeciego dnia wybrałem się więc do Biety. W ciągu tego miesiąca rzadko tam zaglądałem, ale teraz uznałem to za swój obowiązek.

Jak zwykle Bietka spacerowała po lesie. Była blada i smutna, uznałem, że martwi się sprzeczką z Frankiem. Rozjaśniła się na mój widok, pewnie oczekiwała, że przyjeżdżam, by wszystko naprawić. Udawała jednak obojętność.

- Cieszę się, że nie całkiem o nas zapomniałeś - oświadczyła chłodnym tonem. - Nie widziałyśmy cię już od tygodnia.

- Bardzo mi pochlebia, że to zauważyłaś - powiedziałem siadając na zwałonym pniu i patrząc, jak stoi nade mną, wysoka i smukła. Opierała się o starą sosnę i nie spoglądała w moją stronę. - Nie sądziłem, byś pragnęła, żeby taki zgrzybiały starzec jak ja płatał ci się pod nogami zakłócając idyllę.

- Dlaczego wciąż powtarzasz, że jesteś stary? - spytała gniewnie Bietka pomijając milczeniem aluzję do Franka.

- Bo jestem. Świadczą o tym moje siwe włosy. Zdjąłem kapelusz, by jej to udowodnić. Bieta ledwie na nie spojrzała.

- Masz akurat na tyle przyprószone skronie, żeby ci to dodawało dystynkcji. Przecież masz dopiero czterdzieści lat. To najlepszy wiek dla mężczyzny. Dopiero wtedy nabiera on rozsądku - choć jak widać nie zawsze - dorzuciła impertynencko.

Zabiło mi serce. Czyżby Bietka coś podejrzewała? Czy to zdanie miało świadczyć o tym, że odkryła prawdę, i teraz się ze mnie śmieje?

- Przyjechałem dowiedzieć się, co zaszło między tobą a Frankiem? Bieta zagryzła usta.

- Nic - odparła.

- Bietko - powiedziałem z wymówką w głosie - wychowywałem cię, a w każdym razie starałem się wychować w poszanowaniu dla prawdy. Nie mów, że to mi się nie udało. Daję ci jeszcze jedną szansę. Czy posprzeczałaś się z Frankiem?

- Nie - odparła ta nieznośna Bieta. - To on pokłócił się ze mną. Wyszedł wściekły i wcale mi nie zależy, by tu wrócił.

Pokręciłem głową.

- Tak nie można, Bietko. Jako stary przyjaciel domu zastrzegam sobie prawo strofowania cię, aż do chwili twego zamążpójścia. Nie wolno ci dręczyć Franka. On na to nie zasługuje. Musisz za niego wyjść.

- Muszę? - spytała Bieta z wypiekami na policzkach. Spojrzała na mnie tak, że poczułem się nieswojo. - Czy ty, Stefanie, naprawdę chcesz, żebym wyszła za Franka?

Bieta miała denerwujący zwyczaj podkreślania zaimków.

- Tak, chcę. Wydaje mi się, Bietko, że Franek jest najodpowiedniejszym kandydatem na twójego męża. Ufam mu. A jako twój opiekun pragnę, żebyś mądrze wybrała. Zawsze dotąd słuchałaś moich rad i wychodziło ci to na dobre. Prawda, Bietko? Franek jest wspaniałym człowiekiem i kocha cię całym sercem. Wyjdź za niego. Nie nakazuję ci tego, nie mam prawa nic ci nakazać, a nawet gdybym miał prawo, to jesteś już zbyt dorosła, żeby ci cokolwiek nakazywać. Ale ci szczerze radzę.

Nie patrzyłem na nią, wpatrywałem się w rozstłonecznione sosny. Każde słowo rozdzierało mi serce. Tak, Bietka powinna zostać żoną Franka. Ale co wówczas stanie się ze mną?

Bieta podeszła do mnie i spojrzała mi w oczy. Nie mogłem już dłużej unikać jej wzroku. Patrzyła hardo, z wysoko podniesioną głową, pały jej oczy, na policzkach pojawiły się wypieki. Ale to, co powiedziała, brzmiało potulnie.

- Jeśli naprawdę sobie tego, Stefanie, życzysz, wyjdę za Franka. Jesteś moim przyjacielem. Zawsze słuchałam twoich rad i, jak to słusznie zauważyłeś, nigdy tego nie żałowałam. Tym razem też cię posłucham, ale sprawa jest zbyt poważna i muszę wiedzieć, czy naprawdę tego chcesz. Spójrz mi w oczy - od chwili mego powrotu ani razu nie spojrzałeś mi prosto w oczy - i powiedz, że życzysz sobie, bym wyszła za Franka Douglasa.

Musiałem więc spojrzeć jej w oczy i cała moja natura zbuntowała się przeciwko kłamstwu, które miałem zamiar wypowiedzieć. Jej władczy wzrok sprawił, że wyznałem prawdę.

- Nie, nie chcę, żebyś poślubiła Franka, nie chcę. Kocham cię, Bieto. Jesteś mi droższa niż życie, droższa niż szczęście. Ale chcę, żebyś ty była szczęśliwa i dlatego namawiałem cię na małżeństwo z Frankiem, gdyż uważam, iż może cię on uszczęśliwić. Oto cała prawda.

Bieta spuściła główkę.

- Nie byłabym szczęśliwa wychodząc za mąż nie za tego, kogo kocham - szepnęła.

Wstałem.

- Bieto, kogo ty kochasz? - spytałem ją także szeptem.

- Ciebie - odparła potulnie.

- Bietko... Przecież jestem dla ciebie za stary, między nami jest ponad dwadzieścia lat różnicy... nie, to niemożliwe...

- Co ty powiesz! - Bietka tupnęła nogą. - Przestań mi zawracać głowę tą swoją rzekomą starością! Kochałabym cię, nawet gdybyś był w wieku Matuzalema! Ale nie zamierzam ubiegać się o twoją rękę. Nie chcesz, to nie! Mogę zostać starą panną. Ale albo wyjdę za ciebie, albo za nikogo!

Odwróciła się na pół śmiejąc się, na pół płacząc, a ja schwyciłem ją w ramiona i zamknąłem usta pocałunkiem.

- Bietko, jestem najszczęśliwszym człowiekiem na całym świecie, a przychodząc tu cierpiałem jak potępieniec.

- I słusznie - zauważyła Bietka. - Jeśli ktoś jest tak niemądry, należy mu się, żeby cierpiał. Pomyśl, jak ja się czułam. Kochałam cię, a ty starałeś się mnie wydać za innego mężczyznę. Stefanie, przecież ja cię już od dawna kocham, ale zrozumiałam to dopiero wtedy, gdy posłałeś mnie do tej ohydnej szkoły. I myślałam, że po to właśnie mnie tam wysłałeś. Ale kiedy wróciłam, omal nie złamałeś mi serca. To dlatego flirtowałam z tymi pocziwymi chłopcami - chciałam cię zranić, chciałam cię sprowokować. Ale ty wciąż zachowywałeś się po ojcowsku. Już niemal zupełnie straciłam nadzieję i kiedy sprowadziłeś tu Franka, usiłowałam pogodzić się z losem i wyszłabym za niego, gdybyś nalegał. Ale musiałam spróbować i zdobyłam się na odwagę, bo widziałam, jak tamtego wieczoru wróciłeś po moją różę. Ja też poszłam z powrotem do lasu, żeby móc się spokojnie wypłakać.

- Wprost trudno mi uwierzyć, że mogło mi się przytrafić coś tak cudownego jak twoja miłość - szepnąłem.

- To chyba nie takie nieoczekiwane - zauważyła Bietka przytulając głowę do mojego ramienia. - Ty, Stefanie, nauczyłeś mnie wszystkiego, co umiem, więc to ty właśnie powinieneś mnie nauczyć miłości. Musisz dokończyć mojej edukacji.

- Bietko, kiedy nasz ślub?

- Jak tylko wybaczę ci, że chciałeś mnie zmusić do małżeństwa z innym mężczyzną.

Wszystko to musiało stać się dla Franka ciężkim przeżyciem. Ale człowiek jest z natury egoistą, więc nie zaprzataliśmy tym sobie głowy. A Franek zachował się jak przystało Douglasowi. Kiedy zawiadomiłem go o moich zaręczynach, zbladł, złożył mi najlepsze życzenia i zaraz wyjechał.

Po jakimś czasie ożenił się i, o ile wiem, jest szczęśliwy. Ale nie tak szczęśliwy jak ja, bo na świecie jest tylko jedna Bieta, a Bieta jest moją żoną.



## ISTOTA CAŁKOWICIE NIESAMOLUBNA

Był to początek maja i porywisty wieczorny wiatr wydymał firanki w sypialni, w której umierała Naomi Etolland. Przenikliwe wilgotne powietrze wypełniało pokój, ale chora nie pozwalała zamknąć okna.

- Nie, Karolino Holland, nie zamykaj, bo nie uda mi się złapać oddechu. Nie mam zamiaru się udusić.

Przed oknem rosła wiśnia przyprószona białymi pączkami, Naomi wiedziała, że nie zobaczy już kwiecica. Zza gałęzi przeświecała amarantowa kopuła nieba. Powietrze było pełne odgłosów wiosny. Ktoś pogwizdywał w stodole, potem dobiegł cichy śmiech. Na gałązce wiśni przysiadł i zaświergotał ptak.

Pokoik był niewielki i ubogi, na podłodze z desek leżał tylko szmaciany chodnik, tynk był poobdłupywany, ściany nagie i brudne. Naomi Holland nigdy zbyt nie dbała o to, jak wygląda jej otoczenie, ale teraz, w chwili śmierci, uderzyła ją jego brzydota.

Stojący przy otwartym oknie dziesięcioletni chłopiec opierał się o parapet i pogwizdywał. Jak na swój wiek był wysoki. I był śliczny - kasztanowe włosy zwijały się w pukle, miał bardzo białą cerę i rumieńce na policzkach, niewielkie zielonkawe oczy ozdobione były długimi czarnymi rzęsami, usta były pełne, tylko lekko cofnięta broda wskazywała na brak charakteru.

Łóżko stało w najbardziej oddalonym od okna kącie, a chora mimo strasznych cierpień leżała zupełnie nieruchomo. Naomi Holland nigdy się nie skarżyła; kiedy ból stawał się nie do zniesienia, zagryzała bezkrwiste usta i wpatrywała się w ścianę takim wzrokiem, że obecnych przechodziły ciarki, nigdy jednak nie wydała jęku.

W krótkich chwilach ulgi dalej interesowała się tym, co dzieje się wokół niej. Nic nie umykało jej bystrym oczom i czujnym uszom.

Tego wieczoru leżała wyczerpana na zmiętoszonych poduszkach, po południu miała ciężki atak. Jej wydłużona twarz robiła w półmroku wrażenie twarzy nieboszczki. Ciężki warkocz czarnych włosów spływał na kołdrę. Z dawnej urody pozostały już tylko te włosy, z których wciąż była dumna. I niezależnie od wszystkiego żądała co dzień, by je szczotkować i zaplatać.

U wezgowia łóżka siedziała na krześle czternastoletnia dziewczynka złożonywszy głowę na poduszce. Stojący przy oknie chłopiec był jej przyrodnim bratem, ale Nika Carr w niczym nie przypominała Krzysia Hollanda.

Nagle ciszę przerwało stłumione łkanie. Chora, która wpatrywała się w wieczorną gwiazdę, niecierpliwie odwróciła głowę.

- Przestań, Niko - powiedziała ostro. - Nie życzę sobie, żeby mnie za życia oplakiwano, a i po mojej śmierci będziesz miała co innego do roboty. Gdyby nie Krzyś, umarłabym bez przykrości. Kiedy się miało takie życie jak ja, śmierć człowieka nie przeraża. Tyle, że powinno się umrzeć od razu, a nie po kawałeczku. To niesprawiedliwe!

Ostatnie zdanie wygłosiła takim tonem, jakby zwracała się do niewidzialnego tyrana, a głos był przenikliwy i silny. Chłopiec przestał pogwizdywać, a dziewczynka wytarła oczy w spłowiały fartuch. Naomi dotknęła ustami swego warkocza.

- Ty, Niko, nigdy nie będziesz miała takich włosów. Prawda, że szkoda je pogrzebać razem ze mną? Pamiętaj, żebyś mnie ładnie uczesała przed położeniem do trumny.

Dziewczynka jęknęła, a zabrzmiało to jak skowyt rannego zwierzęcia. W tej samej chwili otworzyły się drzwi i weszła jakaś kobieta.

- Krzysiu - napomniała ostro. - Ach, ty leniuchu. Natychmiast leć po krowy. Świetnie wiesz, że czas je przyprowadzić z pastwiska, a ty tu beczynnienie wysiadujesz i muszę cię szukać po całym domu!

Chłopiec spojrzął spode łba na ciotkę, ale nie śmiał zaprotestować i wyszedł, mrucząc coś pod nosem.

Ciotka zrobiła taki ruch, jakby chciała dać mu po uszach, ale opanowała się spojrzawszy na Naomi Holland, która wprawdzie umierała, ale nawet w takiej chwili należało się obawiać jej gniewu. I ciotka, i jej pomocnica lękały się, że paroksyzmy furii Naomi świadczą, że opętał ją diabeł. Ostatni raz miało to miejsce trzy dni temu, kiedy Krzyś poskarżył się na ciotkę. Nie, nie miała zamiaru przeżywać tego po raz wtóry. Podeszła do łóżka i poprawiła pościel.

- Naomi, Sara i ja pójdziemy wydoić krowy. Zostanie z tobą Nika. Przybiegnie po nas, jeśli znów dostaniesz ataku.

Naomi spojrzała na szwagierkę ze złośliwą satysfakcją.

- Nie, Karolino, nie dostanę ataku. Dziś w nocy umrę. Ale nie musicie spieszyć się z dojeniem. Zaczekam.

Z przyjemnością zobaczyła zaalarmowaną twarz Karoliny. Warto było ją przerazić.

- Czy gorzej się czujesz? - spytała Karolina drżącym głosem. - Może poślę Karola po lekarza?

- Nie, nie poślesz. Na co mi lekarz? Niepotrzebne mi jego pozwolenie, żeby umrzeć. Idź spokojnie wydoić krowy. Nie umrę, póki nie wrócisz, nie chcę cię pozbawić przyjemności asystowania przy mojej śmierci.

Pani Hollandowa zacisnęła wargi i wyszła z twarzą męczennicy. Naomi nie była zbyt wymagającą pacjentką, ale z dużą satysfakcją wygłaszała złośliwe tyrady i przy żadnej okazji nie odmawiała sobie tej przyjemności. Nawet na łożu śmierci dawała upust swej nienawiści do bratowej.

Przed domem czekała z wiadrami na mleko Sara Spencer. Sarę Spencer zawsze można było znaleźć tam, gdzie ktoś chorował. Była świetną pielęgniarką dzięki swemu doświadczeniu i zupełnemu brakowi wrażliwości. Wysoka, brzydka, miała pomarszczoną twarz i szpakowate włosy. Schludna i drobna Karolina o okrągłej twarzy wyglądała przy niej jak dziewczyna.

Obie kobiety poszły do obory rozmawiając półgłosem o Naomi. W domu zapanowała cisza.

W sypialni Naomi zapadł zmrok. Nika nachyliła się nieśmiało nad matką.

- Mamo, zapalić lampę?

- Nie. Patrzę na tę gwiazdę nad wiśnią. Chcę zobaczyć, jak znika za wzgórzem. Od dwunastu lat patrzyłam na nią i chcę się z nią pożegnać. Bądź cicho. Muszę parę rzeczy przemyśleć i nie chcę, by mi przeszkadzano.

Dziewczynka bezszelestnie wstała i oparła się o poręcz łóżka. Ukryła twarz w rękach i gryzła je, by nie płakać.

Naomi Holland nie widziała jej. Patrzyła na wiszącą nad horyzontem gwiazdę. Kiedy gwiazda znikła, dwukrotnie klasnęła w ręce, a na jej twarzy pojawił się przerażający wyraz. Ale gdy odezwała się, jej głos brzmiał spokojnie.

- Teraz, Niko, możesz zapalić świecę. Postaw ją na półce, żeby światło nie raziło mnie w oczy. I usiądź w nogach łóżka, bo chcę cię widzieć. Mam ci coś do powiedzenia.

Nika usłuchała. Blade światło świecy pozwalało zobaczyć, że dziewczynka jest chuda i niezgrabna. Jedno ramię sterczało wyżej. Była ciemna tak jak matka, ale miała nieregularne rysy, a na twarz opadały jej włosy w strąkach. Nad oknem widniało czerwone znamię.

Naomi Holland patrzyła na nią z lekceważącym pobłażaniem, nigdy nie ukrywała, że tylko takim uczuciem darzy córkę, całą miłość ofiarowała synowi.

- Niko, czy drzwi są zamknięte?

Nika skinęła głową.

- Nie chcę, żeby nagle wpadła tu Karolina i znów zaczęła się wtrącać. Teraz do krowy, mamy chwilę spokoju i muszę ją wykorzystać. Niko, ja umieram i...

- Mamo!

- No, no, nie wydziwiaj. Od dawna wiesz, że muszę umrzeć. Gonię już resztkami sił, więc mi nie przerywaj i słuchaj.

- Tak, mamo.

- Chodzi o Krzysia. Odkąd zachorowałam, wciąż o nim myślę. Przez cały rok próbowałam ze względu na niego walczyć z chorobą, ale nic z tego. Muszę umrzeć, a tak się o niego boję. Bardzo mnie to dręczy.

Umilkła i wychudzoną ręką uderzyła w stół.:

- Gdyby był starszy, dałby sobie radę w życiu. Ale jest małym chłopcem, a Karolina go nie cierpi. A oboje, póki nie dorośniecie, będziecie musieli u niej mieszkać. Karolina gotowa się nad nim pastwić. On pod wieloma względami przypomina ojca, jest tak samo uparty i łatwo wpada w złość. Nie potrafi sobie z nią poradzić. Niko, obiecaj mi, że po mojej śmierci zaopiekujesz się Krzysiem. I tak jest to twoim świętym obowiązkiem, ale chcę, żebyś mi to przysięgła. - Dobrze, mamo - szepnęła uroczyście dziewczynka.

- Nie jesteś silna, nigdy nie byłaś. Ani zbyt bystra. Gdybyś była, mogłabyś mu wiele pomóc. Ale i tak musisz zrobić dla niego wszystko, co potrafisz. Przysięgnij mi, że będziesz go bronić i nigdy go nie opuścisz, póki będzie twojej pomocy potrzebował. Niko, przysięgnij mi.

Twarz Niki była blada i napięta. Złożyła ręce jak do modlitwy.

- Przysięgam, mamo.

Naomi wyczerpana opadła na poduszki. Podniecenie minęło, z oczu wyzierała śmierć.

- Lżej mi. Ach, gdybym mogła jeszcze pożyć chociażby rok. Nienawidzę Karoliny. Nienawidzę. Niko, nie pozwól jej dręczyć mojego chłopca. Bo wstanę z grobu i przyjdę do ciebie! Ze spadkiem nie będzie kłopotów, wszystko zostało prawnie załatwione. Krzys otrzyma farmę, gdy skończy lat osiemnaście i będzie mógł ją prowadzić, zadba wówczas o twoje potrzeby. Niko, nie zapomnij o swojej przysiędze.

W mleczarni Karolina Holland i Sara Spencer wlewały mleko do wirówki, zasepiony Krzysztof pompował. Dom Naomi stał z dala od drogi, prowadziła do, niej ruda ścieżka, dopiero za polem znajdowała się stara farma Hollandów, gdzie mieszkała Karolina, a teraz, gdy opiekowała się Naomi, objęła tam rządy jej niezamężna szwagierka Eliza.

Dziś Karolina miała mieć wolną noc i wrócić do domu, ale prześladowały ją słowa Naomi, choć przypisywała je czystej „przewrotności”.

- Zajrzyj do niej, Saro - poprosiła myjąc wiadra - i zobacz, czy nie powinnam jednak zostać. Jeśli trzeba, to zostanę. Z każdą inną kobietą człowiek wiedziałby, czego się trzymać, ale ona mogła nas po prostu chcieć przerazić.

Kiedy Sara weszła do sypialni, uznała, że Naomi nie pogorszyło się, i tak też powiedziała Karolinie, ta jednak postanowiła zostać.

Naomi jak zwykle zachowywała się wyzywająco. Kazała im sprowadzić Krzysia, by mu powiedzieć dobranoc i ucałować go. Potem przez chwilę patrzyła na niego z zachwytem - na jasne loczki, różowe policzki i zręczną, silną sylwetkę. Chłopiec poczuł się nieswojo i szybko zlął z łóżka. Kiedy wychodził, patrzyła za nim wygłodniałym wzrokiem. Zamknął drzwi, a ona jęknęła. Sara Spencer przeraziła się. Nigdy dotąd nie słyszała jęku Naomi.

- Naomi, gorzej się czujesz? Wraca ból?

- Nie. Idź i każ Karolinie, żeby dała Krzysiovi przed snem trochę galaretki z winogron. Znajdzie ją w komórce pod schodami.

W domu zapanowała całkowita cisza. Karolina zasnęła na kozetce w bawialni z drugiej strony sieni. Sara siedząc przy stoliku w sypialni Naomi kiwała się nad robótką. Kazała Nice iść się położyć, ale dziewczynka nie zgodziła się. Wciąż siedziała skulona w nogach łóżka, wpatrując się bacznie w twarz matki. Zdawało się, że Naomi śpi. Powoli dopalała się świeca. Nika miała wrażenie, że na nią mruga. Na ścianie kołysał się cień głowy Sary. Firanki powiewały, jakby poruszała je ręka duchów.

O północy Naomi Holland otworzyła oczy. W owej chwili, gdy miała przekroczyć granicę niewidzialnego świata, była z nią tylko niekochana córka. - Niko, pamiętaj!

Był to cichutki szept. Odchodząca dusza zdobyła się na ostatni wysiłek. Po twarzy przebiegł dreszcz.

Rozległ się straszny krzyk. Zaspana Sara Spencer zerwała się i z konsternacją spojrzała na rozpaczającą dziewczynkę. Wbiegła Karolina. Na łóżku leżała martwa Naomi.

Naomi Holland leżała w trumnie w sypialni, w której umarła. Było tu ciemno i cicho, w reszcie domu toczyły się przygotowania do pogrzebu. Nika krzątała się, spokojna i milcząca. Od tamtej strasznej chwili nie przelała już łzy, niczym nie okazywała swego bólu. Pewnie, jak to przewidziała matka, nie miała na to czasu. Musiała się zająć Krzysiem. Rozpaczał burzliwie i głośno. Płakał aż do ostatecznego wyczerpania. Nika pocieszała go, karmiła, ani na chwilę nie opuszczała. Wieczorem zabrała go do swego pokoju i czuwała nad jego snem.

Po pogrzebie część mebli spakowano, a część sprzedano. Zamknięto dom, farmę oddano w dzierżawę. Dzieci zabrał stryj. Karolina nie lubiła ich, ale uważała to za swój obowiązek. Miała własnych pięcioro dzieci, z którymi Krzyś kłócił się, odkąd zaczął chodzić.

Karolina nigdy nie przepadała za Naomi. Mało kto czuł do niej sympatię. Benjamin Holland późno się ożenił, a jego żona zaraz zaczęła wojować z nową rodziną. Była obca - przyjechała do Avonlea jako wdowa, z trzyletnią córeczką. Znalazła niewielu przyjaciół. Sporo osób utrzymywało, że nie jest zupełnie normalna.

Po roku małżeństwa urodził się Krzyś i od tej chwili matka nie widziała poza nim świata. Uwielbiała go. Dla niego harowała i oszczędzała. Kiedy wychodziła za Beniamina Hollanda, niewiele miał, a w sześć lat potem umarł jako zamożny człowiek.

Naomi nawet nie udawała, że go opłakuje. Wszyscy wiedzieli, że żyli z sobą jak pies z kotem. Karol Holland i jego żona byli oczywiście po stronie Beniamina i Naomi samotnie musiała stawiać czoło mężowi. Po jego śmierci sama zajmowała się farmą i farma przynosiła dochód. Kiedy dopadła ją owa tajemnicza choroba, która skróciła jej życie, walczyła z nią zaciekle i uporczywie. Wywalczyła rok życia i musiała się poddać. W dniu, w którym nie mogła już wstać z łóżka, zaznała całej goryczy śmierci widząc, jak jej nieprzyjaciółka obejmuje we władanie dom.

Karolina Holland nie była złą kobietą. Nie darzyła miłością ani Naomi, ani jej dzieci, ale skoro ta kobieta umierała, przyzwoitość nakazywała się nią zająć. Karolina uważała, że sumiennie wypełniła ten obowiązek.

Kiedy na cmentarzu w Avonlea wzgórek czerwonej gliny wskazał miejsce pochówku Naomi, Karolina zabrała do siebie Nike i Krzysia. Krzyś nie chciał opuścić domu, ale uległ naleganiom Niki. Tulił się do niej szukając pociechy w bólu.

W ciągu następnych dni Karolina Holland doszła do wniosku, że bez pomocy Niki nie dałaby sobie rady z Krzysiem. Był uparty i nieznośny, ale siostra miała na niego wielki wpływ.

W domu Karola Hollanda nikt nie jadł za darmo chleba. Karol miał same córki, więc Krzyś przydał się do drobnych prac gospodarskich. Musiał pracować - czasem zlecano mu zbyt wiele. Ale Nika pomagała mu i w tajemnicy przed wszystkimi wykonywała przynajmniej połowę jego roboty. Kiedy kłócił się z kuzynkami, stawiała zawsze po jego stronie, a kiedy coś zbroił, ona przyznawała się do winy.

Eliza Holland była niezamężną siostrą Karola. Przed małżeństwem Beniamina prowadziła mu gospodarstwo i nigdy nie wybaczyła Naomi, że ta wysadziła ją z siodła. Nienawidziła jej i tą nienawiścią obdarzyła teraz jej dzieci. Na sto sposobów starała się im

dokuczyć. Nika znosiłaby to cierpliwie, ale buntowała się ze względu na Krzysia. Kiedyś Eliza mocno trzepnęła chłopca. Nika, która siedziała przy stole robiąc na drutach, zerwała się. Nagle stała się podobna do matki. Podniosła rękę i dwukrotnie spoliczkowała Elizę, na jej twarzy pozostały dwa czerwone ślady.

- Za każdym razem kiedy ciocia uderzy mojego brata - oświadczyła wolno i mściwie - spoliczkuję ciocię! Ciocia nie ma prawa go dotykać.

- A to mała jędza! - krzyknęła Eliza. - Wykapana matka! Opowiedziała o tym wydarzeniu Karolinie i Nika została surowo ukarana. Ale odtąd Eliza nigdy już nie dręczyła Krzysia.

Nie da się powiedzieć, by na farmie Hollandów panowała zgoda i harmonia, ale dzieci dorastały. Znekana Karolina marzyła, by jak najprędzej dorosły. Kiedy Krzysztof Holland skończył siedemnaście lat, był już mężczyzną, krzepkim, wysokim mężczyzną. Chłopięca uroda znikła, ale większość osób uważała, że jest przystojny.

Objął farmę matki i rodzeństwo rozpoczęło wspólne życie w domu, który tak długo świecił pustkami. Kiedy opuszczali siedzibę Hollandów, obie strony odczuły ulgę. Nika była wręcz szczęśliwa.

W ciągu ostatniego roku Krzysztofa trudno było „okiełznać”, jak to mawiał jego stryj. Znalazł sobie podejrzanych koleżków i wieczorami późno wracał. Wtedy Karol Holland wpadał w gniew i coraz częściej dochodziło do przykrych konfliktów.

Po powrocie do domu Nika przez cztery lata miała ciężkie życie. Krzysztof lenił się i hulał. Zyskał opinię nicponia, stryj umył ręce. Tylko Nika stała po jego stronie, nie robiła mu nigdy wymówek i tyrała ponad siły, żeby gospodarstwo nie podupadło. I jej cierpliwość odniosła skutek. Krzysztof poprawił się i zaczął pracować. Nigdy zresztą, nawet w przystępie złości, nie był dla niej niedobry. Nie doceniał jej przywiązania, nie umiał się jej za nie odwdzięczyć, ale tolerował je i to było jej jedyną pociechą.

Kiedy Nika skończyła dwadzieścia osiem lat, zapragnął się z nią ożenić Edward Bell. Był on wdowcem w średnim wieku obarczonym czwórką dzieci, ale jak Karolina nie omieszkała przypomnieć Nice, ta nigdy jeszcze nie miała konkurenta; Karolina na serio zabrała się da swatów. Pewnie by się jej to udało, gdyby nie postawa Krzysztofą Kiedy mimo zręcznych manewrów Karoliny przewąchał prawdę, wpadł w furję. Jeśli Nika zostawi go i wyjdzie za mąż, on sprzeda farmę i ruszy w diabły. Do Klondike. Nie zostanie tu bez niej. Karolina proponowała rozmaite rozwiązania, ale on był na wszystkie argumenty głuchy i w końcu Nika nie wyszła za Edwarda Bella. Nie może opuścić Krzysztofa, oświadczyła i Karolinie nie udało się jej przekonać.

- Głupia jesteś, Niko - mówiła. - Już ci się taka okazja nie trafi. A Krzyś za rok, dwa ożeni się i co wtedy? Jego żona wysadzi cię z siodła!

To był trafny strzał. Nika zbladła. Ale odpowiedziała cicho:

- Dom jest duży. Pomieścimy się. Karolina prychnęła.

- Może. Przekonasz się sama. Ale widzę, że cię nie przekonam. Jesteś równie uparta jak matka. Mam nadzieję, że tego nie pożałujesz.

Minęły trzy lata. Krzysztof zaczął starać się o Wiktorię Pye. Dopiero po jakimś czasie wieść o tym dotarła do uszu Hollandów i Niki. Wtedy rozpętało się piekło. Hollandowie i Pye'owie od trzech pokoleń nie rozmawiali. Nikt nie pamiętał już, o co poszło, ale w grę wchodziła duma rodzinna. Hollandowie nie zadają się z Pye'ami.

Karol Holland choć postanowił, że nie będzie więcej zajmował się sprawami Krzysztofa, przybiegł, by mu przemówić do rozsądku. Karolina prawila kazania Nice, tak przejęta, jakby to chodziło o jej własnego brata.

Nike mało obchodziła rodzinna waśń. Wiktoria była dla niej po prostu rywalką, tak jakby nią była każda dziewczyna, którą pokochałby Krzyś. Po raz pierwszy w życiu poczuła zazdrość. Przeżywała koszmar. Więc podbechtywana przez Karolinę postanowiła pogadać z Krzysiem. Bała się, że go rozzłości, ale on przyjął to pogodnie. Nawet go to lekko rozbawiło.

- Co masz przeciwko Wiktorii? - spytał.

Nika nie wiedziała, co odpowiedzieć. To prawda, nie miała Wiktorii nic konkretnego do zarzucenia. Poczuła się bezradna. Krzysztof roześmiał się.

- Pewnie jesteś zazdrosna - zauważył - ale przecież wiedziałaś, że kiedyś się ożenię. Dom jest duży, pomieścimy się. Bądź rozsądna. Nie słuchaj tych bzdur, które wygadują stryjostwo. Mężczyzna żeni się dla siebie.

Pewnego dnia Krzysztof wrócił bardzo późno. Nika jak zwykle czekała. Był chłodny wiosenny wieczór. Nika usiadła pod oknem w wysprzątej kuchni.

Nie zapaliła lampy. Przez okno zaglądało światło księżycy. Wiał wiatr i przynosił z ogródka zapach mięty. Ogródek był staroświecki, rosło w nim wiele bylin zasadzonych jeszcze przez Naomi. Nika skrupulatnie o nie dbała. Tego dnia też pracowała w ogródku i czuła się bardzo zmęczona.

Była sama i samotność zaczęła jej nagle dokuczać. Usiłowała pogodzić się z małżeństwem Krzysztofa i częściowo jej się to udało. Powtarzała sobie, że i tak będzie mogła się nim zajmować i dbać o jego wygody. Postara się pokochać Wiktorię, może zresztą miło będzie mieć w domu drugą kobietę.



Kiedy usłyszała kroki Krzysztofa, zerwała się, by zapalić świecę. On na jej widok nastroszył się, nigdy nie lubił, żeby na niego czekała. Usiadł przy piecu i zdjął buty, a Nika przygotowała mu coś do przekąszenia. Zjadł w milczeniu, ale nie wstał, by pójść do łóżka. Nike ogarnęły złe przeczucia. I wcale nie zdziwiła się, gdy nagle oświadczył:

- Niko, mam zamiar ożenić się jeszcze tej wiosny.

Nika pod stołem splotła ręce. Oczekiwała tego i oświadczyła to bezbarwnym tonem.

- Musimy coś dla ciebie wymyślić - ciągnął Krzysztof. - Wiktoria nie życzy sobie... Wiktoria uważa, że młoda para powinna być sama, i myślę, że ma rację. Tobie też byłoby przykro odstąpić jej miejsce pani domu.

Nika próbowała coś odpowiedzieć, ale nie mogła wykrztusić słowa, z jej ust wydobył się ni to szloch, ni to pomruk. Krzysztof spojrzał na nią. Rozgniewał go wyraz jej twarzy. Niecierpliwie odepchnął krzesło.

- No, Niko, tylko nie wydziwiał. To się na nic nie zda. Bądź rozsądna. Jestem do ciebie bardzo przywiązany, ale mężczyzna musi się liczyć z żoną. Ale nie bój się, zapewnię ci przyzwoite utrzymanie.

- Chcesz powiedzieć, że twoja żona wygania mnie z domu? - wyjąkała Nika.

Krzysztof zmarszczył brwi.

- Wiktoria powiada, że nie wyjdzie za mnie, jeśli będzie musiała z tobą mieszkać. Boi się ciebie. Tłumaczyłem jej, że nie będziesz się do niej wtrącać, ale ona nie wierzy. To twoja wina, Niko. Zawsze byłaś taka skryta, że ludzie uważają cię za dziwaczkę. Wiktoria jest młodą, żywą dziewczyną i źle by się wam współżyło. Nikt cię nie wygania. Zbuduję ci gdzieś domek i będzie ci tam dużo lepiej. Więc nie zawracaj mi głowy.

Nika nie wyglądała na kogoś, kto chciałby zawracać głowę. Siedziała jak skamieniała. Krzysztof wstał z ulgą, że ma już tę rozmowę za sobą.

- Pójdę spać. Ty już dawno powinnaś się była położyć.

Kiedy wyszedł. Nika zaszlochała i rozejrzała się nieprzytomnym wzrokiem. Miała ciężkie życie, ale nie zaznała jeszcze takiej rozpacz.

Wstała, przeszła przez sień i otworzyła drzwi pokoju, w którym umarła matka. Pokój ten był zawsze zamknięty i wyglądał tak jak wówczas. Nika chwiejnie podeszła do łóżka i usiadła.

Przypomniała sobie obietnicę złożoną matce. Teraz więc nie będzie mogła jej dalej wypełniać. Ma opuścić dom i jedyną istotę, którą kocha. A Krzysztof zgadza się na to, zapomniawszy o jej poświęceniach. Tak, bardziej mu zależy na tej czarnookiej dziewczynie niż na siostrze. Nika zakryła rękami płonące oczy i głośno jęknęła.

Karolina Holland, dowiedziawszy się o tym, przeżyła wspaniałą chwilę. Mało rzeczy mogłoby jej sprawić taką satysfakcję, co oświadczenie: „A nie mówiłam?” Niemniej wypowiedziawszy te słowa zaproponowała Nice, by u nich zamieszkała. Eliza zmarła, Nika, jeżeli zechce, może zająć jej miejsce.

- Nie możesz mieszkać sama... To bzdury. Jeśli Krzysztof zamierza pokazać ci drzwi - my cię weźmiemy. Zawsze byłaś niemądra, że go tak rozpieszczęłaś. Widzisz, jak ci się odwdzięcza! Wyrzuca cię jak psa na skinienie palcem przyszłej żoneczki. Żałuję, że nie widzi tego wasza matka!

To chyba po raz pierwszy po śmierci Naomi Karolina wyraziła żal. Ostro natarła na Krzysztofa, a ten zwymyślał ją i kazał się nie wtrącać.

Kiedy Karolina ochłonęła, omówiła z Krzysztofem dalsze losy Niki, a ta zgodziła się na wszystko. Mało ją obchodziło, co się z nią stanie. Kiedy Krzysztof sprowadził Wiktorię do domu, w którym kiedyś harowała i cierpiała jego matka, Niki już tam nie było. Zajęła u Karolostwa Hollandów miejsce Elizy - bezpłatnej służącej nieco wyższego rzędu.

Karol i Karolina traktowali ją dobrze, miała mnóstwo roboty. Przez pięć lat prowadziła nudne, monotonne życie. Ani razu nie przekroczyła progu domu, w którym Wiktoria Holland, tak jak kiedyś Naomi, sprawowała absolutną władzę. Ciekawość Karoliny zwyciężyła gniew i zaglądała tam czasem, dzieląc się z Niką swoimi obserwacjami. Ale ta raz tylko okazała zainteresowanie, a to wówczas gdy dowiedziała się, że Wiktoria urządziła salonik w pokoju, w którym umarła Naomi. Nika na myśl o tym świętokradztwie poczerwieniała i zabłysły jej oczy. Ale nie wypowiedziała słowa nagany.

Nika tak jak całe Avonlea wiedziała, że małżeństwo Krzysztofa nie układa się najlepiej. Oczywiście obwiniła za to, zresztą niesłusznie, Wiktorię i znienawidziła ją jeszcze bardziej.

Krzysztof rzadko zaglądał do domu Karola. Pewnie się wstydził. Był ponury i milczący. Mówiono, że znów zaczął pić.

Którejś jesieni Wiktoria Holland wybrała się do miasta odwiedzić zameżną siostrę. Zabrała z sobą jedynaczkę. Krzysztof został w domu sam.

Owa jesień pozostała w pamięci Avonlea. Opadły już liście, skróciły się dni, pojawił się strach. To Karol Holland przyniósł któregoś wieczoru ponure wieści.

- W Charlottetown pojawiła się ospa. Zachorowało już kilka osób. Przywieźli ją marynarze. Jeden z nich przyszedł na koncert w mieście, a zaraz następnego dnia zabrano go do szpitala.

Charlottetown było blisko i wszyscy tam często jeździli, zapanowało więc ogólne przerażenie.

Kiedy następnego dnia Karolina opowiedziała o tym Krzysztofowi, ten zbladł. Otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale zaraz je zamknął. Siedzieli w kuchni, Karolina przybiegła oddać pożyczoną herbatę i przy okazji przyjrzeć się pod nieobecność Wiktorii, czy utrzymuje ona w porządku dom. Cały czas rozglądała się, nie zauważyła więc bladości bratanka.

- Jak się ktoś zaraził, to po jakim czasie zachoruje? - spytał Krzysztof, gdy Karolina zbierała się już do odejścia.

- Dziesięć dni do dwóch tygodni - odpowiedziała. - Muszę zaraz zaszczepić córki. Może być epidemia. Kiedy oczekujesz powrót Wiktorii?

- Jak się jej zachce wrócić - brzmiała szorstka odpowiedź.

W tydzień później Karolina zauważyła do Niki:

- Nie wiem, co się stało Krzysztofowi. Cały czas wysiaduje w domu. To coś nowego! Może się rozkoszuje spokojem. Chyba zajrzę po wydojeniu krów. Chodź ze mną, Niko.

Nika przecząco potrząsnęła głową. Była równie uparta jak matka i nie zamierzała przekroczyć progu domu Wiktorii. Cierpliwie cerowała skarpetki siedząc na swym ulubionym miejscu przy wychodzącym na zachód oknie, skąd za opadającym w dół polem i klonowym gaikiem widziała utracony dom.

Po wydojeniu krów Karolina narzuciła na głowę chustę i pobiegła przez pola. Dom wyglądał na opuszczony. Kiedy walczyła ze skoblem bramy, otworzyły się kuchenne drzwi i w progu stanął Krzysztof.

- Niech ciocia nie podchodzi! - krzyknął.

Karolina aż się cofnęła. Jakaś nowa sprawka Wiktorii?

- Niech ciocia wróci do domu i poprosi stryja, żeby wezwał doktora Spencera. Jestem chory.

Karolina przerażona i znów cofnęła o parę kroków.

- Co ci jest?

- Byłem w Charlottetown na tamtym koncercie. Ten marynarz siedział koło mnie. Wyglądał na chorego. To było równo dwanaście dni temu. I od wczoraj źle się czuję. Poślijcie po lekarza. I niech nikt nie zbliża się do mego domu.

Wszedł do środka i zamknął drzwi. Karolina chwilę stała ogarnięta paniką. Potem pobiegła, jakby ją ktoś gonił. Nika zobaczyła ją i podeszła do drzwi.

- Niech Bóg ma nas w swojej opiece! - zawołała Karolina. - Krzysztof jest chory i boi się, że to ospa. Gdzie Karol?

Nika oparła się o drzwi. Chwyliła się za serce, ostatnio często wykonywała ten ruch. Karolina, mimo że tak przejęta, zauważyła to.

- Niko, czemu się wciąż chwytasz za serce? Boli cię? - spytała ostro.

- Nie wiem. Tak, coś mnie zakłuło, ale już przeszło. Czy ciocia powiedziała, że Krzysztof ma ospę?

- On tak twierdzi i zważywszy na okoliczności, jest to zupełnie możliwe. Nigdy się tak nie przeraziłam. Muszę zaraz znaleźć Karola...

Nika ledwie jej słuchała. Krzysztof jest chory - i sam - ona musi do niego pójść. Kiedy Karolina bez tchu wróciła z obory, Nika w chuście na głowie stała przy stole pakując rzeczy.

- Niko! Gdzie się wybierasz?

- Do domu - odparła Nika. - Krzysztofa trzeba będzie pielęgnować, więc muszę się tym zająć.

- Weroniko Carr! Chyba zwariowałaś. To ospa! Ospa! Zabiorą go do szpitala w mieście. Nie wolno ci wchodzić do tego domu.

- Muszę - Nika stawiała czoło ciotce. Jak zwykle w chwilach napięcia zrobiła się podobna do matki. - Nie dam go zabrać do szpitala. Tam nie będzie miał dostatecznej opieki. Niech ciocia nie próbuje mnie zatrzymywać, przecież cioci nic nie grozi.

Karolina bezradnie usiadła. Czuła, że niczego nie wyperswaduje tej zdeterminowanej kobiecie. Może, gdyby był tu Karol... Ale Karol pobiegł po lekarza.

Nika stanowczym krokiem ruszyła ścieżką polną, którą już od tylu lat nie szła. Nie czuła strachu, lecz radosne podniecenie. Krzysztof znów jej potrzebuje, nie ma tej, która ich rozdzieliła. Przenikliwe wieczorne powietrze przypomniało jej tamtą wiosnę i złożoną matce obietnicę.

Krzysztof zobaczył, że nadchodzi, i zaczął jej dawać znaki, by się cofnęła.

- Nie zbliżaj się, Niko. Czy Karolina nie powiedziała ci, że pewnie mam ospę?

Nika nie przystanęła. Przeszła przez podwórze i znalazła się na schodkach ganku. On cofnął się i usiłował zamknąć drzwi.

- Zwariowałaś! Uciekaj, póki czas.

Nika pchnęła drzwi i stanowczo weszła do środka.

- Już za późno. Jestem tu i będę cię pielęgnować, jeśli rzeczywiście dostaniesz ospę. Może jednak nie. Teraz każdy, kogo zabolí mały palec, uważa, że to ospa. Tak czy owak powinienes się zaraz położyć, żeby się nie zaziębić. A ja zapalę lampę i ci się przyjrę.

Krzysztof opadł na krzesło. Jego zwykły egoizm wziął górę i nie usiłował już przekonywać Niki, by odeszła. Ona postawiła koło niego lampę i przyjrzała się bacznie jego twarzy.

- Musisz mieć dużą gorączkę. Co ci dolega? Kiedy zachorowałeś?

- Wczoraj. Dostałem dreszczy i łamało mnie w kościach. Niko, jak myślisz, to naprawdę ospa? Umrę?

Chwycił ją za rękę i patrzył błagalnym wzrokiem dziecka. Nika poczuła, że fala miłości zalewa jej wygłodniałe serce.

- Nie martw się, wielu chorych na ospę zdrowieje, jeśli się ich dobrze pielęgnuje, a ja będę cię pielęgnować. Karol pobiegł po lekarza i dowiemy się, co ci jest. Kładź się do łóżka.

Zdjęła chustę i powiesiła na kołku. Czuła się tak, jakby nigdy nie opuszczała tego domu. Wróciła do swego królestwa i nikt nie zamierzał go jej odebrać. Kiedy w dwie godziny później pojawił się doktor Spencer ze starym Idzim Blewettem, który za młodu przeszedł ospę, dom był sprzątnięty i unosił się w nim zapach środków odkażających. Z bawialni Wiktorii Nika wyrzuciła meble. Na dole nie było sypialni, tu więc zamierzała położyć chorego Krzysztofa.

Lekarz miał strapioną minę.

- Bardzo mi się to nie podoba, ale nie mam jeszcze pewności. Jeśli to ospa - jutro pojawi się wysypka. Może zabierzemy go do szpitala?

- Nie - odparła zdecydowanie Nika. - Sama będę go pielęgnować. Nie boję się i jestem zdrowa i silna.

Lekarz skinął głową.

- Dobrze. Była pani szczepiona?

- Tak.

- Cóż, w tej chwili nic się nie da zrobić. Niech się pani położy i odpocznie.

Ale Nika nie chciała o tym słyszeć. Należało się zająć mnóstwem rzeczy. Wyszła do sypialni i otworzyła okno. W bezpiecznej odległości stał na uboczu Karol Holland. Wiatr przyniósł woń środków dezynfekujących, którymi się sownie skropił.

- Co mówi lekarz? - zawołał.

- Przypuszcza, że to ospa. Czy dał stryj znać Wiktorii?

- Tak, Kuba Blewett pojechał do miasta i ją zawiadomił. Zostanie na czas choroby Krzysia u siostry. Tak będzie najsmardziej. Strasznie się wystraszyła.

Nika wzdorliwie wydeła usta. Nie mogła zrozumieć, jak żona może opuścić męża w chorobie, niezależnie o jaką chorobę chodzi. Ale to i lepiej, będzie miała Krzysztofa tylko dla siebie.

Noc była długa i męcząca, ale i tak świt pojawił się zbyt wcześnie, gdyż przyniósł z sobą smutną pewność - była to ospa. Lekarz nie miał już wątpliwości. Nika do tej chwili miała jeszcze nadzieję, ale kiedy dowiedziała się najgorszego, zachowała spokój.

W południe nad domem zawisła żółta flaga i podjęto nieodzowne decyzje. Karolina miała dla nich gotować, Karol przynosić posiłki i zostawiać je na podwórzu. Stary Idzi Blewett będzie co dzień przychodził, zajmie się gospodarstwem. A Nika zaczęła długą, beznadziejną walkę ze śmiercią.

Była ona bardzo wyczerpująca. Krzysztof w tej przerażającej chorobie wyglądał tak, że można by wybaczyć najbliższej mu osobie, gdyby uciekła. Nika ani na chwilę nie odeszła od jego łóżka. Czasem drzemała w stojącym obok fotelu, „ale nigdy się nie kładła. Była niezwykle wytrzymała, a jej cierpliwość i czułość miały w sobie coś nadludzkiego. Krzątała się bezszelestnie, z uśmiechem na ustach, a w oczach pojawił się wyraz, jaki widuje się na obrazkach świętych. Cały świat zamykał się dla niej w czterech ścianach pokoju, w którym leżał ukochany, jakże odstręczająco wyglądający, chory brat.

Któregoś dnia lekarz po zbadaniu pacjenta zasepił się. Choć jego zawód uodpornił go na wiele rzeczy, nie czuł się na siłach, by uprzedzić Nikę, że jej brat nie ma już żadnych szans. Nigdy nie widział, by ktoś aż z takim oddaniem pielęgnował bliską osobę. Jak tu powiedzieć, że jej poświęcenie nie zdało się na nic?

Ale Nika sama to zobaczyła. Lekarz uznał, że przyjęła to bardzo spokojnie. I doczekała się nagrody.

W nocy nachyliła się nad Krzysztofem, a on otworzył spuchnięte powieki. Byli sami, w szyby bębnił deszcz.

Krzysztof uśmiechnął się spieczonymi wargami i wyciągnął do siostry rękę.

- Niko - szepnął - jesteś najwspanialszą siostrą na całym świecie. Źle cię potraktowałem, a ty mnie nie odstąpiłaś. Powiedz Wiktorii, że ma cię kochać i...

Jego głos zamienił się w niewyraźny pomruk. Nika została sama.

Następnego dnia w pośpiechu pogrzebano Krzysztofa Hollanda. Doktor zdezynfekował dom, a Nika musiała w nim pozostać i poddać się kwarantannie. Nie przelała ani jednej łzy, lekarz dziwił się, ale pełen był admiracji dla niej. Oświadczył, że nigdy nie spotkał tak świetnej pielęgniarki. Nike mało interesowały pochwały czy nagany. Coś w niej pękło. Zastanawiała się, jak będzie dalej żyć.

Późnym wieczorem weszła do pokoju, w którym umarła jej matka i umarł jej brat. Okno było otwarte i powiew świeżego powietrza sprawił jej przyjemność. Uklękła koło łóżka.

- Mamo - powiedziała głośno - dotrzymałam mojej przysięgi. Kiedy po długiej chwili spróbowała wstać, zatoczyła się i upadła na łóżko, chwytając się za serce. Rano znalazł ją tam stary Idzi Blewett. Na jej twarzy zastygł uśmiech.

## TEN POSPOLITY FACET

W dzień ślubu mojej maleńkiej obudziłam się wcześniej i pobiegłam do jej sypialni. Dawno, dawno temu kazała mi obiecać, że to ja, nie kto inny, obudzi ją tego poranka.

- To ty, ciociu Rachelo, wzięłaś mnie pierwsza w ramiona, kiedy przyszłam na świat - powiedziała - i chcę, żebyś ty pierwsza uściskała mnie w ten cudowny dzień.

Ale to było naprawdę dawno temu i teraz serce mówiło mi, że nie będę musiała jej budzić. Miało rację. Filipa już nie spała, leżała oparłszy głowę na ręce i wpatrywała się w okno, przez które sączył się blady świt przejmując dreszczem. Miałam raczej ochotę płakać niż się radować i znów zabolowało mnie serce, kiedy zobaczyłam jej bladą smutną twarz, wyglądała, jakby czekał ją całun, a nie ślubny welon. Ale kiedy usiadłam na łóżku i wzięłam ją za rękę, dzielnie się uśmiechnęła.

- Wyglądasz, maleńka, jakbyś nie zmrużyła dziś oka.

- Bo tak było - odparła. - Ale ta noc nie dłużyła mi się, przeciwnie, wydała mi się zbyt krótka. Myślałam o tylu rzeczach... Która to godzina, ciociu Rachelo?

- Piąta.

- Zatem za sześć godzin...

Nagle usiadła, gęsta grzywa ciemnych włosów opadła jej na ramiona, objęła mnie, ukryła mi twarz na piersiach i zaczęła płakać. Tuliłam ją i pocieszałam, nie mówiąc słowa. Po chwili przestała szlochać, nie podniosła jednak główki, nie chciała, żebym zobaczyła jej twarz.

- Inaczej to sobie wyobrażałyśmy, prawda, ciociu Rachelo?

- Bo powinno być inaczej - oświadczyłam. Nigdy nie ukrywałam, co myślę o tym małżeństwie, nie potrafię udawać. Było ono dziełem macochy Filipy, co do tego nie miałam najmniejszych wątpliwości. Gdyby nie ona, nigdy by do tego małżeństwa nie doszło, moja maleńka nigdy by nie przyjęła oświadczeń Marka Fostera.

- Nie mówmy o tym - poprosiła błagalnie. Takim tonem i przemawiała do mnie jako dziecko, kiedy jej na czymś szczególnie zależało. - Porozmawiajmy o dawnych czasach i o nim.

- Przecież nie będziesz go dziś wspominać, skoro za parę godzin masz wyjść za Marka Fostera?

Ale ona zasłoniła mi usta ręką.



- Ostatni raz, ciociu Rachelo. Od dziś nie będę o nim mówić, nie będę myśleć. To już cztery lata, odkąd wyjechał. Ciociu Rachelo, pamiętasz, jak wyglądał?

- No pewnie - odparłam krótko. Rzeczywiście pamiętałam. Nikt, kto znał Owena, nie mógł zapomnieć jego twarzy - podłużnej jasnej twarzy, i oczu, które stworzone były po to, aby z miłością patrzeć. A teraz ta ziemista cera i wysunięta szczeka Marka Fostera! Nie, nie był szczególnie brzydki, ale okropnie pospolity.

- On był piękny, prawda ciociu Rachelo? - ciągnęła moja maleńka tym swoim wzruszającym głosikiem. - Taki wysoki i silny - piękny. Wciąż rozpaczam, że rozstaliśmy się w gniewie. Jakże byliśmy niemądrzy. Ale wszystko by się naprawiło, gdyby nie zginął. Wiem o tym. Jestem pewna, że mi wybaczył. Zawsze sądziłam, że pozostanę wierna jego pamięci i po tamtej stronie spotkamy się tak jak kiedyś. Cóż, stało się inaczej.

- To sprawka twojej macochy i intryg Marka Fostera.

- Nie, Marek nie jest intrygantem. Nie bądź dla niego niesprawiedliwa. On jest naprawdę dobrym człowiekiem.

- Jest głupi jak cielę i uparty jak muł Salomona - powiedziałam, musiałam to powiedzieć. - To pospolity facet, a wyobraża sobie, że jest wart mojej ślicznej maleńkiej.

- Nie mów o Marku - poprosiła znów. - Mam zamiar być dla niego najlepszą żoną. Ale jeszcze przez parę godzin jestem panią samej siebie i chcę, żeby te parę godzin należało tylko do niego, i znów mówiła o nim, a ja trzymałam ją w ramionach i krajało mi się serce. Może to nawet ja bardziej cierpiałam, bo ona już postanowiła, co zrobi, i się z tym pogodziła. Wyjdzie za mąż za Marka Fostera, choć serce jej pozostało we Francji przy mogile, w nie znanym nikomu miejscu, gdzie Hunowie pochowali Owena Blaira, - jeśli w ogóle go pochowali. Filipa przypomniała mi, czym dla siebie byli od wczesnego dzieciństwa; razem chodzili do szkoły i już wtedy postanowili, że pobiorą się, gdy dorosną. Mówiła mi o jego pierwszych miłosnych wyznaniach, o swoich marzeniach i nadziejach. Nie wspomniała tylko o tym, jak Owen stłukł Marka Fostera, kiedy ten przyniósł jej jabłek. Ani razu nie wymówiła imienia Marka, tylko Owen i Owen - jak wyglądał i kim by został, gdyby nie musiał pójść na tę straszną wojnę i gdyby tam nie poległ.

Potem zamilkła i opadła na poduszki. Zeszłam na dół rozpalić ogień pod kuchnią. Czułam się stara i zmęczona. Powłóczyłam nogami, a do oczu wciąż napływały mi łzy, choć usiłowałam je powstrzymać, bowiem łzy w dzień ślubu to bardzo zły omen.

Wkrótce zeszła na dół Izabella Clark, ona promieniała radością. Nie lubiłam Izabelli od chwili, gdy wyszła za ojca Filipy, ale tego ranka czułam do niej jeszcze większą niechęć niż zwykle. Była ona jedną z tych fałszywych, podstępnych kobiet, które się zawsze

uśmiechają i knują swoje. Muszę przyznać, że dla Filipy była zawsze dobra, ale ten dzisiejszy ślub mojej małej był jej dziełem.

- Wcześniej wstałaś, Rachelo - powiedziała uprzejmie, uśmiechając się jak zwykle, choć w głębi serca ona też mnie nienawidziła. - To dobrze, mamy mnóstwo roboty. Przed ślubem jest zawsze tyle zajęć...

- Taki tam ślub - zaprotekowałam kwaśno. - Pobierają się chyłkiem, jakby się tego wstydzili - i rzeczywiście mają czego - a zaraz po ceremonii wyjeżdżają.

- Filipa życzyła sobie cichego ślubu, przecież wiesz o tym - łagodnie napomniała mnie Izabella. - Słyszałaś chyba, że ja chciałam urządzić huczne wesele.

- Och, rzeczywiście, cichy ślub jest stosowniejszy. Im mniej osób zobaczy, jak Filipa wychodzi za mąż za takiego człowieka jak Marek Foster, tym lepiej.

- Marek Foster jest bardzo przyzwoitym człowiekiem.

- Żaden przyzwoity człowiek nie chciałby kupować sobie żony - zaprotekowałam, nie zamierzając jej ustąpić. - To pospolity facet, nie godzien mojej małej. Chwała Panu, że jej matka nie dożyła tego dnia, choć z drugiej strony, gdyby żyła, nigdy by do tego nie doszło.

- Sądzę, że matka Filipy tak samo jak zwykli śmiertelnicy wzięłaby pod uwagę fortunę Marka - złośliwie zauważyła Izabella.

Wolałam jej złośliwości od słodkich słów. Mniej jej się wtedy bałam.

Ślub miał się odbyć o jedenastej, o dziewiątej poszłam więc na górę pomóc Filipie ubrać się. Niezbyt jej zależało, jak będzie wyglądać. O, inaczej by było, gdyby to Owen miał być panem młodym. Wtedy dbałaby o każdy szczegół, a teraz mówiła tylko: - Tak, świetnie, ciociu Rachelo - nawet nie przeglądając się w lustrze.

Ale i tak prześlicznie wyglądała w swoim ślubnym stroju. Uroda mojej małej jaśniałaby, nawet gdyby ją ubrać w żebracze łachmany. A w białej sukience i w welonie wyglądała jak królowa. I była równie dobra, co piękna.

Potem poprosiła mnie, bym zeszła na dół.

- Chcę być przez tę ostatnią godzinę sama. Pocałuj mnie, ciociu Rachelo - mam Rachelo.

Kiedy zeszłam na dół, płacząc jak głupia, usłyszałam stukanie do drzwi. W pierwszej chwili chciałam poszukać Izabelli, by otworzyła, bo przypuszczałam, że to Marek Foster przyszedł tak wcześnie, i bałam się, że zemdle na jego widok. Jeszcze teraz drzę na myśl, że mogłam to zrobić. Bo co by się stało, gdybym rzeczywiście posłała Izabellę?

Ale na szczęście poszłam sama i otworzyłam drzwi, mając nadzieję, że Marek Foster zobaczy na mojej twarzy ślady łez. I zachwiałam się na nogach.

- Owen! Na litość Boską, Owen! - i zamarłam, bo prawdę mówiąc sądziłam, że to duch Owena pojawił się, by przeszkodzić temu małżeństwu.

Ale on wbiegł i chwycił mnie za ręce, i przekonałam się, że jest człowiekiem z krwi i kości.

- Ciociu Rachelo, nie jest jeszcze za późno? - spytał oszalałym głosem. - Ciociu?!

Przyjrzałam mu się, nie zmienił się, był tylko opalony i miał na czole białą bliznę, więc choć nic nie rozumiałam, odczułam głęboką ulgę.

- Nie, nie jest za późno.

- Dzięki Bogu - szepnął. I wciągnął mnie do saloniku zamykając za sobą drzwi.

- Powiedzieli mi na dworcu, że Filipa wychodzi dzisiaj za Marka Fostera. Nie mogłem w to uwierzyć, ale przyjechałem galopem. Ciociu Rachelo, czy to prawda? Nawet jeśli o mnie zapomniała, to przecież nie mogła pokochać Marka?!

- To prawda, że wychodzi za Marka - odparłam śmiejąc się i szlochając. - Ale go nie kocha. Wciąż myśli o tobie. To robota jej macochy. Marek ma dużą sumę na hipotecę tej farmy i powiedział Izabelli Clark, że jeśli Filipa za niego wyjdzie, to zrezygnuje z jej spłaty. Filipa poświęca się dla macochy ze względu na pamięć ojca. To twoja wina! - zawołałam, wracając do równowagi. - Myśleliśmy, że nie żyjesz! Dlaczego nie wróciłeś? Dlaczego nie napisałeś?

- Ależ po wyjściu ze szpitala pisałem, i to nieraz. I nigdy nie otrzymałem słowa odpowiedzi. Więc myślałem, że Filipa nie życzy sobie moich listów.

Od razu wiedziałam, choć nie mam na to żadnych dowodów, że musiała to zrobić Izabella Clark. Ta kobieta nie cofa się przed niczym.

- Zastanowimy się nad tym kiedy indziej - odparł niecierpliwie Owen. - Teraz muszę zobaczyć Filipę.

- Zaraz się tym zajmę - oświadczyłam ochotczo, ale drzwi otworzyły się i do bawialni weszli Izabella i Marek. Nigdy nie zapomnę wyrazu twarzy Izabelli. Niemal mi jej było żal. Zżółkła i zaczęły jej biegać oczy - zrozumiała, że musi pogrzebać swoje nadzieje, że jej knowania na nic się nie przydały. Nie od razu spojrzałam na Marka Fostera, a kiedy spojrzałam, na jego twarzy nie malował się żaden wyraz. Była nieruchoma i pospolita jak zwykle; przy postawnym Owenie wyglądał niemal na karła. Nikt nie wybrałby go na pana młodego.

Pierwszy odezwał się Owen.

- Chciałbym się zobaczyć z Filipa - oświadczył takim tonem, jakby wyjechał nie dalej niż wczoraj.

Cała słodycz Izabelli znikła, okazała swoją prawdziwą naturę kobiety pozbawionej wszelkich skrupułów.

- O tym nie ma mowy - oświadczyła zdesperowanym tonem. - Ona nie chce cię widzieć. Wyjechałeś i nigdy nie napisałeś do niej słowa, zrozumiała, że nie jesteś wart jej uczuć, i jej serce zdobył, który bardziej na to zasługuje.

- Pisałem i sędzę, że wie pani o tym lepiej niż ktokolwiek - zauważył Owen usiłując zachować spokój. - I nie zamierzam z panią dyskutować. Chcę usłyszeć z ust Filipy, że wybrała innego mężczyznę.

- Od niej tego nie usłyszysz - oświadczyłam. Izabella spojrzała na mnie jadowitym wzrokiem.

- Filipę zobaczysz, dopiero gdy już będzie żoną kogoś lepszego od ciebie - powtórzyła z uporem. - Owenie Blair, żądam, żebyś natychmiast opuścił mój dom.

- Nie!

To nie wypowiedział Marek Foster. Dotąd nie odzywał się, ale teraz wysunął się naprzód i podszedł do Owena. Jakże się różnili! Spojrzał Owenowi prosto w oczy, a Owen odwzajemnił mu się wzrokiem pełnym furii.

- Czy to cię zadowoli, Owenie, jeżeli przyjdzie tu Filipa i powie, kogo wybiera?

- Tak - odparł Owen.

Marek Foster zwrócił się do mnie.

- Niech ją pani przyprowadzi - poprosił.

Izabella sądząc po sobie myślała, że wie, co powie Filipa, i wydała jęk rozpacz, a Owen zaślepiony miłością uważał, że zwyciężył. Ale ja za dobrze znałam moją maleńką, żeby się ucieszyć. Marek Foster też ją znał i nienawidziłam go za to.

Cała się trzęsłam wchodząc do pokoju mojej maleńkiej. Wyszła naprzeciwko mnie jak naprzeciwko własnej śmierci.

- Już pora? - spytała zaciskając kurczowo ręce.

Nic nie powiedziałam mając nadzieję, że niespodziewany widok Owena sprawi cud. Wzięłam ją za rękę i zaprowadziłam na dół. Miała lodowato zimne ręce. Otworzyłam drzwi bawialni i wepchnęłam ją do środka.

Zawołała: - Owen! - i zaczęła drżeć, objęłam ją więc, by podtrzymać.

Owen zrobił krok w jej stronę, w jego oczach płonęła miłość, ale zatrzymał go Marek.

- Zaczekaj, aż dokona wyboru - powiedział i zwrócił się do Filipy. Nie widziałam twarzy mojej maleńkiej, ale widziałam pozbawioną wyrazu twarz Marka. I ściągniętą, zszarzałą twarz Izabelli.

- Filipo - powiedział Marek. - Wrócił Owen Blair. Mówi, że cię nie zapomniał i wielokrotnie do ciebie pisał. Powiadomiłem go, że obiecałaś wyjść za mnie, ale że zostawiam ci całkowitą wolność wyboru. Kogo wybierzesz, Filipo?

Moja maleńka wyprostowała się i przestała drżeć. Cofnęła się i mogłam się jej przyjrzeć, była blada jak śmierć, ale spokojna.

- Obiecałam ci, Marku, że za ciebie wyjdę, i dotrzymam słowa. Twarz Izabelli odprężyla się, Marek nawet nie drgnął.

- Filipo - spytał Owen tonem tak pełnym rozpacz, że znów ścisnęło mi się serce. - Więc mnie już nie kochasz?

Moja maleńka musiałaby mieć nadludzkie siły, żeby oprzeć się temu błaganiu. Nic nie powiedziała, ale w jej spojrzeniu malowała się miłość. Wszyscyśmy to zobaczyli. Potem odwróciła się i podeszła do Marka.

Owen milczał. Zbladł jak śmierć i ruszył w stronę drzwi. Ale znów zastąpił mu drogę Marek Foster.

- Czekaj - rzekł. - Tak, ona dokonała wyboru, zachowała się tak, jak tego oczekiwałem. Ale ja też mam tutaj coś do powiedzenia. Nie mam zamiaru żenić się z kobietą, która kocha innego mężczyznę. Filipo, sądziłem, że Owen nie żyje, i wierzyłem, że po ślubie uda mi się zdobyć twoją miłość. Ale za bardzo cię Kocham, żeby cię móc unieszczęśliwić. Jesteś wolna.

- A co będzie ze mną? - jęknęła Izabella.

- Z panią! Zapomniałem o pani - mruknął Marek. Wyjął z kieszeni jakiś papier i wrzucił w ogień na kominku. - Oto akt hipoteczny. Panią to jedynie interesuje, prawda? Żegnam.

Wyszedł. Był to pospolity facet, ale w tej chwili wyglądał na dżentelmena w każdym calu. Miałam ochotę pobiec za nim i coś powiedzieć - ale widziałam jego oczy, nie, to nie była stosowna chwila na głupie słowa pociechy.

Filipa płakała z głową na ramieniu Owena. Izabella Clark poczekała, aż spłonie akt hipoteczny, i wyszła za mną do sieni, znów uśmiechnięta i słodka.

- Jaka romantyczna historia... Cóż, może to i lepiej. Marek zachował się wspaniale. Na jego miejscu mało kto by się na to zdobył.

Po raz pierwszy w życiu musiałam zgodzić się z Izabellą. Ale chciało mi się płakać - i popłakałam sobie. Cieszyłam się ze względu na moją maleńką i na Owena, ale wiedziałam, że Marek Foster zapłacił za to straszną cenę i już nigdy nie zazna szczęścia.